

TAM, GDZIE WYBÓR JEST BUNTEM

Zakazana miłość na przemierzającym kosmiczną
pustkę statku, z którego nie ma ucieczki

SAMOTNOŚĆ ODLEGŁYCH GWIAZD

Kate Ling


AMBER

SAMOTNOŚĆ
ODLEGŁYCH
GWIAZD

Kate Ling

Przekład
JULIA WOLIN



Korekta

Renata Kuk

Kamila Skotnicka

Adaptacja okładki oryginalnej

na podstawie projektu Sophie Burdess – L,BBYR

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce

© Shutterstock

Tytuł oryginału

The Loneliness of Distant Beings

Copyright © Kate Ling, 2016

First published in Great Britain in 2016 by Hodder and Stoughton

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6003-7

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

juras@evbox.pl

Rozdział 1

Wiem, że to ptaki, ale tylko dlatego, że tak mi powiedzieli. Jest ich mnóstwo, siedzą w długim rzędzie, jakby na coś czekały i nie wiadomo dlaczego, ale w końcu podrywają się do lotu, wzbijają się w niebo wszystkie naraz, na tysiącach drobnych skrzydełek. Niebo, którego nie znam, jest niebieskie, bardzo niebieskie i pomazane chmurami, jakby namalowanymi pędzlem.

Zawsze pokazują na pogrzebach ten sam film, na wielkich ekranach. Rozumiemy metaforę albo to, czym tam ma być. Później wyświetlają zdjęcia żegnanej osoby, tylko parę, ze współpracownikami, z bożonarodzeniowego balu, w odświętnym uniformie albo jakie kto ma. Ale tym razem jest inaczej: na samym początku pojawia się zdjęcie mojej prababci z planety, którą opuściła. Ma na nim okrągłe policzki, jest opalona, mruży oczy w słońcu, a jej nogi oblepia piasek. To zdjęcie wywołuje u wszystkich zebranych westchnienie.

Prababunia Bea miała dużo zdjęć, niektóre wydrukowane na papierze, więc można je wziąć do ręki. Wziąć i zaglądać w nie jak w okna. A kiedy się patrzy, ona odpowiada spojrzeniem. Była wtedy młodsza. Na zdjęciach wciąż żyje, chociaż już umarła.

Pogrzeb jest taki sam jak inne. Składamy kwiaty przysłane przez Produkcję, stoimy i patrzymy, patrzymy na skrzynkę, a potem dziadek wygłasza mowę. Nawet nie wspomina, że Bea była ostatnią z nas, która mieszkała na Ziemi, ale wiem, że wszyscy o tym myślimy. Tyle osób przyszło ją pożegnać, bo coś się dzisiaj dokonało, w pewnym sensie zostaliśmy tu naprawdę sami.

Następnie opuszczamy śluzę powietrzną, zostawiamy ją w środku i odchodzimy. Dziadek wychodzi ostatni i chyba tylko dlatego, że biorę go pod rękę. Do tej części nie można się przyzwyczaić, nieważne, ile razy wcześniej się to przechodziło.

Wewnętrzne drzwi śluzu się zamykają i obserwujemy przez grube szyby okrągłych okien, jak otwierają się zewnętrzne, obie połowy jednocześnie, jak wielkie szczęki i ona znika. Już jest gdzieś tam, leci przez wszechświat, nie wiadomo dokąd. W sumie dokładnie tak, jak

wcześniej, tylko że teraz zupełnie sama.

Prawie nie słyszę sygnału do pierwszego biegu dnia. Wcześniej wyszłam ze stypy, po to tylko, żeby zapaść w koszmarne, głęboki sen zombie. W północy wkładam strój sportowy, buty do biegania i idę na Główną, gdzie stoję i ziewam tak strasznie, że gdy zjawiają się inni biegacze, aż się trzęsę i lecą mi łzy, ale dołączam do nich i czuję się, jakbym wskoczyła do strumienia. Słucham muzyki z poda, ale chyba jej nie słyszę i nie wiem nawet, czy w ogóle myślę, gdy biegniemy Główną, a rytm naszych kroków nieuchronnie się zgrywa, aż dudnimy wszyscy jak jeden bęben. Wracający z trzeciej zmiany snują się jedno za drugim równoległe do nas, z oczami wbitymi w podłogę. Rozwrzeszczane, nakręcone chłopaki idą przodem i wyciągają ręce w górę, żeby dotknąć rur, pod którymi przechodzimy, a mnie chce się wrzeszczeć, bo robią to za każdym razem i ten gest mnie wsysa jak ziejące gardło przewidywalności.

Bieganie przepisał mi doktor Maddox. Tylko dlatego to robię. Muszę, żeby uniknąć Resocjalizacji. Doktor Mad nie wierzy w długoterminowe leczenie „dzieci” medykamentami i preferuje metody naturalne, takie jak zwierzanie mu się z wszystkich strasznych rzeczy, jakie dzieją się w naszych głowach albo bezsensowne bieganie w kółko, co jego zdaniem wytwarza endorfiny, chociaż ja mam co do tego poważne wątpliwości. Często myślę, że wolałabym brać leki, nawet jeśli człowiek się po nich czuje, jakby mu ktoś wyjął mózg i włożył w zamian mokrą gąbkę.

Ale nieważne, biegam z tymi wszystkimi pilotami z Inżynierii i ludźmi, którym jakimś cudem udało się utyc na nędznych racjach żywnościowych, jakie tu dostajemy. Robię to co rano od ponad roku, odkąd udało mi się wyrwać ze szponów doktora Mada w Resocjalizacji, gdzie mnie trzymali przez pięć tygodni po tym, jak na jakiś czas postanowiłam przestać mówić, a później (wyjątkowo kiepskiej nocy) próbowałam się wydostać, rozdrapując metalowe ściany gołymi rękami. W efekcie zdarłam sobie paznokcie, a wszyscy uznali, że zwariowałam. Niespecjalnie lubię o tym gadać, bo generalnie nie ma się czym chwalić. Zostało mi pełno złych wspomnień, do których niechętnie się przyznaję, nieważne, co mówi doktor Mad.

No więc biegam w kółko i staram się znów być normalna. Muszę skończyć z szaleństwem. Tyle że jeśli się raz straciło rozum, moim zdaniem nigdy nie ma pewności, że to się nie powtórzy. Człowiek z niepokojem ogląda się za siebie. Ucieka.

Dla większości z nas najlepszą chwilą w robieniu tych kółek jest dotarcie do Tarasu Widokowego. Szyba przy Głównej Zachodniej ma jakieś sto kroków długości. Są tam trochę podniszczone siedzenia, z przodu miejsce do spacerów (w naszym przypadku do biegania), a z prawej strony (z punktu widzenia biegnącego) okno od podłogi do sufitu z czterech tafli uszczelnianych próżniowo szyb. Nieskończoność galaktyki nieźle daje po oczach. Nie można nie patrzeć, ale na mnie nie robi aż takiego wrażenia, jak na innych. W każdym razie do niedawna.

Od kilku tygodni zbliżamy się do Huxley, gwiazdy wielokrotnej, a odkąd za szybą pojawiło się prawdziwe słońce, jakoś bardziej polubiłam ten widok. Od dawna go nie widzieliśmy, a jakimś cudem jego widok sprawia, że chce się żyć, nieważne, że Huxley jest starym pomarańczowym karłem, w gruncie rzeczy dość małym i ponurym. Słońce budzi i ożywia na poziomie komórkowym, którego pewnie nawet nie rozumiemy i nie musimy. Huxley to pierwszy od osiemdziesięciu czterech lat układ, w którym może potencjalnie istnieć życie. Dobra, może nie ma to wielkiego znaczenia, bo jesteśmy statkiem Pierwszego Kontakt, a nie Pionierem, ale przylecieliśmy tu pierwsi, nie mamy pojęcia, co możemy znaleźć i tylko dzięki temu chce mi się żyć, to jedyny powód do istnienia w mojej skórze.

Po bieganiu nie mam za bardzo ochoty wracać do mieszkania, więc idę do Emme. Ostatnio nie układa nam się najlepiej i jestem pewna, że to dlatego, że przecież-jestem-wariatką. Świrowanie to poważny problem, jak raz się zdarzy, nikt nie będzie cię traktował jak przedtem.

Kiedy jednak dzwonię do drzwi, od razu mnie wpuszcza. Stoimy w półmroku jej rodzinnego kambuza, panuje tu bałagan, ale na szczęście nikogo nie ma.

– Gdzie są twoi? – pytam, ale potem niechcący się wyłączam i nie słyszę odpowiedzi. Idę za nią do jej pokoju i siadam na koi. Pochyliłam się do przodu i patrzę w podłogę.

– Zagramy w szachy? – pyta.

Kiwam głową i odsuwam się pod ścianę. Opieram się, a ona chłodzi mi plecy. W milczeniu ładujemy grę do podów. Podnoszę oczy i natrafiam na jej spojrzenie.

– Przykro mi z powodu twojej prababci.

– Spoko, nie przejęłam się za bardzo, była już stara. – Wzruszam ramionami i zamykam jej usta.

– Hm. – Jednak brnie dalej. – Może i tak, ale koniec Edukacji i w ogóle...

– To też mnie nie obchodzi.

– Mnie też nie – przyznaje.

Pody piszczą i wykonujemy kilka ruchów. Potem ona zatrzymuje grę.

– No dobrze, przejęłam się – mówi. – Skłamałam, że nie. – Czekam na dalszy ciąg. – Nie jestem gotowa. – Milknie, ale ja nie przerywam ciszy. – A ty?

– Ja... Chyba nie widzę sensu myślenia o czymś, na co i tak nie mam wpływu.

– Jak to? A Służba? A Unia? Nie przejmujesz się tym?

– A czemu mam się przejmować, skoro tak będzie, nieważne, czy chcę, czy nie?

Spogląda na mnie spode łba, sznuruje usta, na chwilę odblokowuje grę, robi kolejny ruch i znów włącza pauzę.

– Jak myślisz, kogo dostaniesz? Do Unii?

Wzruszam ramionami.

– To wszystko jakieś jaja, więc co za różnica?

Patrzy na mnie z niedowierzaniem w ładnych, szeroko rozstawionych oczach.

– Kiedy się taka zrobiłaś?

– Jaka?

– Jakby nic cię nie obchodziło?

W tym momencie dociera do mnie, dlaczego Emme i ja ostatnio się nie dogadujemy: ona wciąż myśli, że w tej beznadziejnej egzystencji można znaleźć sens. Ja już wiem, że się nie da.

Rozdział 2

Moja siostra Pandora wyszła za Caina prawie rok temu i teraz, mając dziewiętnaście lat, jest w siódmym miesiącu ciąży. Jezu, jara się jak świnia w błocie. Ciągłe się śmieje, szyje miniaturowe ubranka i zaprasza wszystkie inne młode mamy, żeby dały jej prezenty i macały po brzuchu. Cain też się bardzo cieszy. I pomyśleć, że kiedyś tak mi się podobał! Jak teraz na niego patrzę, kompletnie skretyniałego i ćwierkającego nad jej brzuchem, w ogóle go nie poznaję. Zazdrościłam Pan, że jej życiowy partner okazał się fajny, ale teraz widzę w nim wyłącznie debila i nie mogę go znieść. Pandorą nie jestem aż tak rozczarowana, bo co do niej akurat nigdy nie miałam złudzeń. A jednak czasem mnie dziwi, jak niewiele mamy wspólnego. Tyle lat przeżyliśmy razem, a jej życie sprowadza się aktualnie do robienia na drutach miniaturowych butków.

Normalny człowiek już dawno wyprowadziłby się do własnego mieszkania, ale moja siostra dopiero teraz złożyła podanie. Żyje w błędnym przekonaniu, że ja i tata lubimy jej towarzystwo. Wiem to od Caina. Wyznał mi, że ona się bardzo martwi, jak sobie bez niej poradzimy i planuje zostać nawet po narodzinach dziecka, na co mu odpowiedziałam, że ja się zdecydowanie bardziej martwię, jak sobie damy radę Z NIA. To wszystko jakaś totalna paranoja. Mój tata już nawet nie umie z nami spędzać czasu wolnego. Kłócimy mu się nad głową, a on bardzo długo nie reaguje, nic nie mówi, czasem tylko się zaśmieje albo rzuci jakieś „Dajcie spokój, dziewczyny”. Kiedyś czułyśmy, że go to bawi, zwłaszcza gdy przed pójściem spać dawałyśmy mu buziaka w głowę, a teraz co, Cain i Pandora są durni i rozmawiają tylko ze sobą, a ja i tata wpatrujemy się wtedy w ekrany. W sumie ja i tak głównie się zastanawiam nad tym, jaką idiotką musi być Pandora, skoro tak się cieszy z perspektywy żalosego życia, które ją czeka.

Mam nadzieję, że kiedy się obudzę ostatniego dnia Edukacji, nie zamienię się w nią. I mózg nie wycieknie mi uszami.

Ojciec Seth, który od dziesięciu lat opowiada historie biblijne, zajrzał do nas ostatniego dnia pobytu w tej ciasnej, ponurej klitce, żeby

wyjaśnić, jaki jest sens życia, w każdym razie jego zdaniem. Oczywiście jedyną osobą, która słucha, jest Jonah. Tylko on się przejmuje takimi sprawami. Jasne, Emme jak zwykle notuje każde słowo, ale widzę, że jest na autopilocie.

– To wasz czas, Generacja 84. – Ojciec Seth regularnie występuje z takim kwasem. W tej klasie jest nas trzydzieścioro pięcioro, mamy od piętnastu do siedemnastu lat i aktualnie jesteśmy ostatnią partią przyszłych robotników ściągniętych z linii masowej produkcji. Edukacja ma tylko trzy sale, więc trzy lata spędzamy w Edukacji A, trzy w Edukacji B i trzy w Edukacji C. Później wylatujemy, a oni zabierają się do marnowania życia nowej porcji sześć-, siedmio- i ośmiolatków, którzy już wkrótce zaczną żałować, że się urodzili.

Kiedy zaczynam znów słuchać, ojciec Seth właśnie się rozgrzewa i huczy coś przez brodę, która wydaje się obowiązkowym wyposażeniem facetów związanych z Bogiem:

– To wasza chwila, Generacja 84. Ścieżka życia właśnie się przed wami rozwija. To życie, które Bóg dla was wybrał. – Co jest oczywiście totalnym kłamstwem, bo Bóg ma dokładnie zero wspólnego z tym, co się tu dzieje i ojciec Seth dobrze o tym wie. – Jutro dowiecie się, kto z kolegów będzie waszym towarzyszem w dorosłości i rodzicielstwie. Kto pomoże wam wypełnić wspaniały cel waszego istnienia na Venturze.

Ezra Lomax odpowiada:

– Spokojnie, dziewczyny, nie bijcie się. Niestety, tylko jedna z was okaże się szczęściarą. – Było oczywiste, że coś takiego powie, a jednak większość się śmieje, chociaż po samym sposobie, w jaki dziewczyny chichoczą (nawet Emme), widać, że się modlą, żeby to były one. Idiotki. Ezra to syn pani kapitan i jego przekonanie o własnej atrakcyjności jest tak dojmujące, że jest w stanie przekonać o tym innych.

Po ojcu Secie pojawia się pułkownik Maria Fernanda, po raz ostatni, i wszyscy myślimy o poniedziałkowej Służbie i partnerach z przydziału, a ona postanawia pokazać nam film o tym, jak wyglądało życie na Ziemi. To stary program, widać, że pochodzi z czasów, kiedy w ogóle o tym nie wiedzieli, nie brali nawet pod uwagę, że pewnego dnia zapakują osiemset osiemdziesiąt osiem osób do wielkiej metalowej puszki i wystrzelą w kosmos, żeby już nigdy ich nie zobaczyć. Film

okazuje się punktem wyjścia do rozważań o tym, jakie mamy szczęście, że nie żyjemy jak zwierzęta, a nasze rodziny są odgórnie projektowane i regulowane bez udziału komplikujących wszystko chaotycznych emocji i związków seksualnych oraz jakim błogosławieństwem jest fakt, że Nauka umożliwia wyssanie naszych jajeczek, a dzieci można robić za nas w laboratoriach i starannie kontrolować ich liczbę i płeć (pół na pół) w każdym z pięcioletnich cykli, jakbyśmy byli krowami na jakimś międzygalaktycznym ranczu. Na dodatek nie musimy się przejmować wypadkami losowymi, chorobami ani niedoskonałościami, które trawiły nas, gdy jeszcze byliśmy prawdziwymi ludźmi. Szczęściarze z nas, teraz mamy tylko takie choroby, które sami sobie stworzemy.

Wreszcie przychodzi czas na trzeciego z nieświętej trójcy, doktora Pena, który pokazuje nam film propagandowy nagrany przez Ventura Communications Incorporated i nieważne, że widzieliśmy go już jakiś milion razy, grunt, że słycać pulsujący, splątany dźwięk Sygnału, nad odcyfrowaniem którego ekipy specjalistów spędziły na darmo w sumie ponad sto lat, ale my nadal podążamy za nim aż do Epsilon Eridani, co tam, że droga w jedną stronę potrwa trzysta pięćdziesiąt lat, najważniejsze, że chcemy na własne uszy usłyszeć, co nam chcieli przekazać, jeśli to oczywiście byli jacyś „oni”, a nie przypadkowe kosmiczne pierdnięcie. Pewnie powinnam zniechęcić ten dźwięk, głupi dźwięk, bo przecież z jego powodu to wszystko – łącznie ze mną – powstało, ale ja go zawsze lubiłam. Jest taki nieugięty. Po postu trwa. Przez ponad sto lat nikomu nie udało się złamać szyfru (jeśli oczywiście jakiś istnieje) i mają tylko falę dźwiękową, totalnie bezsensowną, w którą jednak tyle osób uwierzyło, odebrało ją jako wezwanie i podjęło tę karkołomną próbę dotarcia do jej źródła. Według mnie jedyna nauka, jaką można z tego wyciągnąć, to że desperacko boimy się samotności.

Ten wstęp stanowi tylko przygrzywkę do żenującej imprezy, która odbędzie się potem: trochę karaoke (jedna z naszych rozrywek) i my, okropnie speszeni, stojący wkoło i słuchający, jak nauczyciele, nieszczerze wzruszeni, wygłaszają idiotyczne przemówienia o każdym z nas i produkują się na temat tego, jacy będziemy w przyszłości strasznie szczęśliwi.

Zdaje się, że już na tym etapie do nikogo się nie odzywam, bo cała

sytuacja przekroczyła akceptowalne przeze mnie granice absurdu. Jest paru chłopaków, z którymi się kumplowałam głównie dlatego, że lubiłam gry wideo, a Emme nie, ale przysięgam, nie mogę na nich nawet normalnie spojrzeć, odkąd wisi nad nami ryzyko zostania parą. Siedzę z Emme w kącie i patrzę w podłogę.

– Dobra, ale tak na serio, jak myślisz, kogo dostaniesz? – pyta.

Opieram brodę na ręce i patrzę na nią. Nie wierzę, jaką mam ciężką głowę.

– Mówiłam ci, że...

Podnosi ręce.

– Dobra, jest ci wszystko jedno. W takim razie: jak myślisz, kogo ja dostanę?

– Wiem, że liczysz na Ezrę.

Uśmiecha się szeroko.

– A kto nie liczy? Syn pani kapitan... Totalnie słodki...

Krzywię się.

– Zauważyłaś, jaki jest w sobie zakochany?

Wzrusza ramionami.

– No wiem. Ale myślę, że mogłabym z tym żyć.

Brandon kończy występ i woła do Emme, że teraz jej kolej. Stoi na scenie i czeka, by oddać jej mikrofon, a ona wyciąga do mnie rękę.

– Seren, chodź, zaśpiewamy w duecie, jak za dawnych dobrych czasów – woła, a ja mam dreszcze, przysięgam.

– Dzięki, wolę posiedzieć.

– No chodź! – podskakuje i łapie mnie za nadgarstek. Wrywam jej rękę i patrzę wściekle.

– Dzięki, Em. Serio. – Wreszcie wzrusza ramionami, ale uśmiech jej trochę rzednie, gdy idzie na scenę, w samą porę, żeby zacząć śpiewać.

Nie jest najlepszą wokalistką świata, ale w miarę trafia w nuty i robi to z takim przekonaniem, że ogólnie efekt jest całkiem niezły. Zawsze chciałam umieć robić to tak jak ona, ale niestety, przy tych rzadkich okazjach, kiedy się dawałam namówić na śpiewanie, jedynym sposobem przetrwania wydawało mi się zgrywanie jeszcze bardziej ponurej i smętnej wersji siebie. Nie chodzi o to, że nie chcę się bawić. Chyba po prostu nie umiem. Z tym się można się urodzić. Albo nie.

Rozglądam się, patrzę na ludzi, z którymi spędziłam ten żaloszny czas, dzień za dniem i stanowczo za długo; siedzą na ławkach, w ostrym świetle wyglądają blado, a mój wzrok spoczywa w końcu na Jonahu, przycupniętym w kącie naprzeciwko mnie i czytającym coś. Biblię, jak go znam. To dziwne, że jako jednojajowy brat bliźniak Ezry jest do niego tak podobny fizycznie, a jednocześnie tak skrajnie różny pod względem charakteru. Piszemy sobie jakieś głupie pamiątkowe hasła na podkoszulkach, tak jakby czas spędzony w tym ciasnym pomieszczeniu nie był kompletnie stracony, a potem rozlega się sygnał oznaczający drugą zmianę i dzięki Bogu na tym kończymy.

Rozdział 3

Koniec nauki. Musimy być ubrani na galowo, a ponieważ dla mnie to pierwszy raz, mój strój jest nowiutki, nawet nierozpakowany: koszula, krawat, szary rozpinany sweter z guzikami pod szyję i dziwny okrągły kapelusik z logo Ventury, takim samym, jak na wszystkich naszych ubraniach, tylko że ten znaczek jest metalowy, srebrny i zimny, a nie wyhaftowany. Przez chwilę przyglądam się sobie w lustrze, myślę o tym wszystkim i staram się ogarnąć temat. Wieczorem nie będę już w Edukacji. Wieczorem zacznie się Służba. Dwuletnia obowiązkowa, a później specjalizacja. Ośmiogodzinne zmiany pięć dni w tygodniu. Wieczorem się dowiem, z kim spędzę życie, komu urodzę modyfikowane genetycznie dzieci i przed kim będę udawać miłość.

Kapitan Katerina Lomax, zwana też kapitan Kat lub zwyciężczynią wszelkich sondaży, prowadząca takie imprezy od czterech lat, odkąd umarł poprzedni kapitan, kapitan Lee, wchodzi teraz na scenę w granatowym galowym mundurze Dowództwa. Chociaż jest dopiero po trzydziestce, już ma dwoje dziwnych dzieci, jej mąż nie żyje, a ona tak konsekwentnie pięła się po szczeblach kariery, aż wylądowała tu, gdzie chciała się znaleźć: na szczycie. Jest wysoką, cholernie atrakcyjną blondynką, więc nie trzeba się zbyt długo zastanawiać, jakim cudem wszystkie drzwi stają przed nią otworem. Nieważne, ewidentnie poświęciła życie na wykorzystanie wszystkich możliwości. Moja siostra na przykład uważa ją za wcielenie Boga Wszchemogącego, ale mało, że nigdy nie udało się jej udowodnić tej tezy, to nie przekonała mnie nawet, że kapitan Kat nie jest przerażająca, a być może wręcz nie do końca poczytalna. Tak czy siak, obok mnie jest tata, a dalej Pan z Cainem. Tata bierze mnie za rękę, gdy siadamy w lodowatej auli i patrzymy, jak pani kapitan wchodzi na podium.

– Jak wiecie, w tym roku mijają osiemdziesiąt cztery lata, odkąd Ventura opuściła Ziemię. Zostały jeszcze dwieście sześćdziesiąt dwa, zanim dotrzemy do celu. Jesteśmy ofiarą, jaką zdecydowali się złożyć mieszkańcy Ziemi, żeby się dowiedzieć, co zamieszkuje, lub nie, Epsilon Eridani. Tak, dobrze słyszeliście, powiedziałam: „ofiarą”. W imię tej

misji ponieśliśmy ogromne ofiary. Gdy Ventura Communications Incorporated zostali sponsorami NASA, a European Space Agency dołączyła do programu SETI, nie mogli mieć pojęcia, dokąd ich to zaprowadzi. Zakodowana wiadomość, pochodząca z okolic układu gwiazdowego Epsilon Eridani, była dopiero początkiem. Gdy powstała idea naszej misji, jej twórcy natrafili na szereg problemów, które trzeba było rozwiązać. Przede wszystkim: budowa statku. Samowystarczalnego, napędzanego baterią jądrową o dużej mocy, wytwarzającego sztuczne pole grawitacyjne, oraz żywność na bazie rybiego białka i jaj, a także w nieskończoność filtrującego powietrze i wodę. W efekcie wychodzi na to, że jedynym słabym ogniwem w tym łańcuchu byliśmy my i nasza śmiertelność. Gdy stało się jasne, że tej podróży nie da się odbyć w ramach jednego życia, narodził się pomysł wyprawy wielopokoleniowej. Jesteśmy jedną z międzygwiazdnych generacji. Nigdy nie widzieliśmy Ziemi i nie ujrzymy celu naszej podróży. Znamy tylko ten statek, który ma za sobą już osiemdziesiąt cztery lata z zaplanowanej na siedemset lat podróży. Tylko ten statek poznają nasze dzieci, tak jak znali go nasi rodzice. Do celu dotrą nasi potomkowie, a pewnego dnia ich dzieci powrócą na Ziemię, dostarczając najważniejszą wiadomość, jaką kiedykolwiek dostała ludzkość. W międzyczasie jednak musimy pamiętać, kim jesteśmy i nie zapominać, że niesiemy ze sobą ziemskie wartości, idee i kulturę. Pochodzimy z Ziemi, chociaż nigdy jej nie widzieliśmy. Z tego właśnie powodu Edukacja, którą właśnie kończycie, jest absolutnie kluczowa dla naszej misji i wiem, że każde z was starało się ze wszystkich sił i ceniło każdą wspólną chwilę. Teraz przyszedł czas na wstąpienie w szeregi pracujących, danie czegoś od siebie, przyczynienie się do dobrobytu społeczności i zostanie jej produktywnym członkiem. Pierwszym krokiem będzie Służba. Odśłużycie dwa lata w Konserwacji, Produkcji, Hodowli lub jednym z pozostałych działów. Udowodnicie, że jesteście elastyczni, odpowiedzialni i pracowici, a być może nawet odkryjecie powołanie. Nie mniej ważna jest Unia. Dziś dowiecie się, kto spośród szkolnych kolegów zostanie waszym życiowym partnerem. Nasz program rozrodczy jest jednym z priorytetów misji i wiemy, że odegracie w nim swoją rolę z dumą i radością, tak jak wasi rodzice, a

wcześniej dziadkowie. Zatem, bez zbędnej zwłoki, mam zaszczyt ogłosić, że oto ukończył naukę Cykl 84!

Wszyscy biją brawo, a mnie się zbiera na wymioty. Pan wyciąga rękę nad kolanami taty i ściska mi dłoń, a on miażdży w uścisku moje ramię i się uśmiecha. Uśmiecha się, na litość boską, cokolwiek z tego wszystkiego mogło się okazać przyjemne. Boże, nie ma o niczym pojęcia.

Kiedy z powrotem dostrajam się do kapitan Kat, okazuje się, że wyjątkowo ma do powiedzenia coś ciekawego:

– Zanim przejdę do wyczytania nowych Unii, chciałabym ogłosić coś jeszcze. Jeden z tegorocznych absolwentów wybrał wyjątkową drogę przez życie. Nie posiadam się z radości, mogąc poinformować, że mój syn, Jonah Lomax, odkrył powołanie do życia duchowego. Oczywiście nie posiadamy się ze szczęścia. – Biję brawo, w jej oczach pobłyskują perfekcyjnie ukształtowane łzy, on wstaje i idzie na scenę, a my wpatrujemy się w niego z otwartymi ustami i generalnie nas zatyka. Naprawdę, nie istnieje granica absurdu, której nie przekroczyłaby ta kobieta. Inna sprawa, że pomysł nie jest głupi, bo Jonah zawsze miał pociąg do takich klimatów, ale problem związany z nadprogramowym zarodkiem, który siedemnaście lat temu powstał z nieoczekiwaniem podzielonego jajeczka, został rozwiązany nieco zbyt łatwo. Chyba mu nie współczuję, kiedy wchodzi na scenę i stoi jak oniemiały przed ojcem Sethem, który zawiesza mu na szyi fioletowy szal. Tak, tak naprawdę cholernie mu zazdroszczę, w końcu załatwił sobie bilet w jedną stronę, który uchroni go przed tym całym koszmarem.

Nie mam jednak czasu o tym pomyśleć, bo kapitan Kat jest w swoim żywiole: światła przygasają i zaczyna się ogłaszanie Unii, na wielkich ekranach pojawiają się nasze zdjęcia, wywołujące fale gwizdów i oklaski. Niech będzie, dobrze, że nie dostanę Arthura (dostała go Phoebe). A Eric trafił się Nice (Jezu, to by było najgorsze). Emme będzie następna, więc podchwytyjemy swoje spojrzenia, mimo że siedzi na drugim końcu sali z rodzicami i babcią, którzy prawie tracą rozum z emocji. Na ekranie pojawia się jej zdjęcie, całkiem ładne, chociaż dobrze wiedziała, z jakiej okazji jest robione, więc na twarzy widać kiepsko zamaskowany wyraz przerażenia. Prawie nie mogę patrzeć na puste

miejsce obok, gdzie zaraz pojawi się zdjęcie... Leona Witneya. Mogło być gorzej. To znaczy, dobra, jest dziwny, cichy, jąka się i potworny z niego nudziarz, ale patrzę w jej stronę i podnoszę dwa kciuki, bo kurczę, to mógł być Ezra, czyli Najgorszy Scenariusz z Możliwych, bez względu na to, co sobie myśli.

No więc tak, podejrzewam, że wszyscy już wiecie, czyje zdjęcie wyświetla się obok mojego. Przede mną było jeszcze kilka osób, ale... Tak. Zgadliście! Oto ja, totalnie wkurzona i blada jak trup, a obok mnie Ezra. Ezra Lomax. Mój partner życiowy. Ojciec moich nienarodzonych dzieci. Ogłasza to jego matka, której tupet pozwala na pełne wątpliwości uniesienie brwi, gdy dociera do niej, co się dzieje. Patrzy na niego, na swojego potomka, siedzącego w pierwszym rzędzie, któremu jasne włosy opadają na twarz, gdy zerka na mnie przez ramię, żeby nasze oczy spotkały się na moment, a potem posuwistym ruchem odwraca się i już musimy iść na scenę, wstać i przestawiać nogi, żeby odebrać certyfikaty. To wszystko spotyka mnie, ale tak naprawdę jakby kogoś innego. I oto stoję tam z nim, a ciepło jego ramienia zlewa się z ciepłem mojego, aż się odsuwam, ale mimo wiwatującego tłumu (którego zresztą nie widzę, jestem w takim szoku), słyszę, że... Co on robi?! Buczy. Buczy. To nie jest melodia, tylko jeden dźwięk, pojedynczy, niekończący się dźwięk, jakby bzyczenie rozwścieczonej osy.

Tak można podsumować Ezrę Lomaxa: arogancki, bezczelny i po uszy zakochany w sobie. Stoję tam i wiecie co? Uświadamiam sobie, że przecież zawsze o tym wiedziałam. Życie nie będzie dla mnie miało miłych niespodzianek. Już po wszystkim rozgrywa się między nami taki oto dialog:

On: No to...

Ja: No to...

On: W sensie, że...

Ja: No tak.

On: Czyli...

Ja: Co?

On (wsadza ręce do kieszeni, bo nie wie, co z nimi zrobić): Nie wiem, ale chyba...

Ja: Co?

On (śmiejąc się): Boże, nie wiem!

Przez cały czas wszyscy przemieszczają się z miejsca na miejsce. Odbył się już maraton oklasków, wiele osób ociera oczy i zdaje się, że powinnam myśleć, że to jakiś przełomowy moment, ale czuję tylko suchość w ustach, mdłości, pocę się jak mysz i wydaje mi się, że wzrok mi się maże. Może tak by to było, gdybym miała guza mózgu albo coś w tym stylu. Ponieważ nadszedł moment na wymianę pełnych skrępowania uścisków, moja rodzina pojawia się obok i patrzy z takim przerażeniem, jakbym zamierzała zrobić nie wiadomo co, więc robi mi się ich żal i siłą woli wywołuję na twarzy grymas trochę przypominający uśmiech. Wygląda na to, że czekali na ten sygnał, bo ozywają, tata mnie przytula i całuje w oko, Cain jedną ręką obejmuje mnie, a drugą wyciąga do Ezry, żeby ucisnąć mu dłoń, Pan miażdży mi ręce w uścisku i piszczy coś na temat tego, że jest strasznie podekscytowana. Łapię spojrzenie dziadka, który stoi z tyłu, wystrojony w czarny mundur Ochrony; wysoki, nieprzenikniony i mający wszystko na oku. Mruga do mnie prawie niedostrzegalnie, jak to on.

Patrzę, jak tata ściska dłoń Ezry i klepie go po plecach tak mocno, że ten aż leci naprzód.

– Dobry chłopak – powtarza, pewnie starając się przede wszystkim przekonać samego siebie. Wiem, że nie przepada za nim ani jego rodziną, ale zorientowałam się już, że liczy się jedynie, że Ezra jest synem pani kapitan, bo z tego można wyciągnąć jakieś dodatkowe korzyści, chociaż cholera wie jakie. Nawet nie jestem pewna, czy chcę się dowiedzieć.

Na tym etapie kapitan Kat ma z głowy Jonaha, bo odegrała już rolę zachwyconej matki (wszyscy wiedzą, że to jej ulubieniec, chociaż, między nami mówiąc, obaj mają swoje wady), rusza więc do nas i oto stoi przede mną, oddycha dramatycznie i patrzy błękitnymi oczami, w których łzy lśnią jak diamenty.

– Jak się cieszę! Co za cudowna chwila! Patrzcie na siebie i nie możecie się doczekać życia pełnego radości! – woła, a ja myślę, że tata miał rację, twierdząc, że ona jest jedną wielką przesadą. Powinna zostać aktorką, naprawdę, w zwykłym życiu się nie mieści: jest zbyt wysoka, zbyt blondwłosa i ogólnie zbyt wszystko.

Obejmuje jedną dłonią jego twarz, drugą dłonią moją i patrzy to na mnie, to na niego z taką miną, jakby zaraz miała uronić łzę. W następnej chwili ściska w obu rękach dłoń taty, a potem ręce Pan i Caina, chociaż w zasadzie nie zwraca na nich uwagi, bo już toruje sobie drogę do dziadka.

– Och, Joshuo! – mówi, gdy do niego dociera i kładzie mu rękę na ramieniu. Dziadek trzyma pod pachą czapkę. – Jak się doskonale złożyło! Nie mogliśmy sobie tego lepiej wymarzyć! Nasze rodziny zostały rozdzielone i poddane próbom, ale teraz możemy znów być razem i iść naprzód. Boża szczodrość wręcz mnie onieśmiela!

Patrzę na dziadka, który spogląda na Ezrę, stojącego nieco dalej, jak zawsze nabzdyczonego i bez przerwy odgarniającego włosy, co jest idiotyczne, nawet jeśli się to potraktuje z dużą wyrozumiałością, a dziadek oczywiście tego nie robi, zastanawia się tylko, jak do tego doszło. Pewnie dlatego, że był bardzo zżyty ze starym kapitanem, kapitanem Lee, kolegą z Edukacji, i który kierował statkiem w określony sposób. Po jego śmierci kapitan Kat zmieniła zasady i teraz wszystko odbywa się po nowemu, co niekoniecznie oznacza zmiany na lepsze, jeśli wicie, co mam na myśli.

W każdym razie tak to mniej więcej wygląda: mamy się napić musującego wina (nasz pierwszy alkohol wypity zgodnie z prawem), zjeść trochę pyszniącego się na stole paskudnego ciasta w kolorze surowego mięsa i zapewne także się pointegrować, ale tego nie robimy. W każdym razie ja nie. Stoję, ludzie cały czas coś mówią, a ilekroć ktoś się do mnie odezwie, mówię tylko: „Co?”, bo jak Boga kocham, zupełnie nic nie słyszę. Następuje też koszmarowa chwila, gdy pojawia się koleś z Kulturalnego, robi wszystkim zdjęcia, w końcu zaczyna się zbliżać i dociera do mnie – chociaż nadal nie słyszę ani słowa – że chce nam zrobić wspólne zdjęcie, przyszłym państwu Lomaxom. Stajemy więc obok siebie, Ezra mnie obejmuje, a ja czuję jego zapach, ten paskudny dezodorant, który pod pozorem słodczy ukrywa nutę jakby moczu i nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o wycieczce szkolnej do Inżynierii, gdy specjalnie się „zgubiliśmy”, bo Ezra się zarzekał, że ma swój własny wahadłowiec i umie nim latać, a skończyło się na tym, że tylko szamotał się jak idiota. Teraz jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, on trzyma rękę na

wysokości mojego krzyża i lekko klepie. Klep, klep, klep. Pewnie nadaje
coś morsem, ale nie chcę wiedzieć co.

Rozdział 4

To niesprawiedliwe, że Pan i tata, czyli jedyni członkowie najbliższej rodziny, jacy mi zostali, stwierdzili u mnie depresję i ogólnie problem psychiczny tylko dlatego, że po zakończeniu Edukacji poszłam prosto do swojego pokoju i przez kilka dni się do nikogo nie odzywałam ani się nie ruszałam. Fakt, nie mogę znieść obowiązujących na statku zasad, ale to według mnie świadczy wyłącznie o tym, że jako jedyna z towarzystwa zostałam przy zdrowych zmysłach.

– Pytałeś, jak się czuję, więc mówię szczerze. Czasem mi się wydaje, że lepiej by było nie istnieć. – Jak tylko to kończę mówić, od razu wiem, że lepiej było milczeć, bo potrąciłam jedną z drażliwszych strun taty i na widok zmarszczki nad górną wargą czuję, że przekroczyłam granicę.

– Dla twojego dobra zabieram cię do doktora Maddoxa. – Tak się zachowuje tata, kiedy straci cierpliwość.

– Nie. – Ale nie jestem już zła, tylko smutna, mam w gardle coś dużego i twardego, jakbym połknęła kubek, i czuję, że nigdy nie będę w stanie tego przełknąć ani tym bardziej zacząć mówić. Jestem też przekonana, że mam nad górną wargą taką samą zmarszczkę jak on.

Tata wzdycha i wyciąga ramiona tak daleko do tyłu, że natrafia na półkę, gdzie leży moja jedyna prawdziwa książka, *Czuła jest noc*, należąca kiedyś do babci Bei, otwarta, odłożona stronicami do dołu, zbierająca czarny kurz. Tata chwilę się jej przygląda, a potem zauważa:

– Kiedyś tyle czytałaś. Teraz w ogóle cię nie widuję z książką.

– Tato...

Podnosi rękę i kontynuuje.

– Nie mogłem cię odessać od poda. Przerobiłaś chyba całą bibliotekę, kochałaś czytać. Dlaczego już tego nie robisz?

– Bo – wzruszam ramionami – nie ma sensu. Po co czytać o prawdziwym życiu w świecie, który, o ile wiemy, już nawet nie istnieje, a jedyne, co jest i zawsze będzie, to Ventura? Szare ściany, szare sufity, szare uniformy, wszystko zimne, ponure... – Kręcę głową i już żałuję, że się w ogóle odezwałam. Nie dlatego, że mówię nieprawdę, ale każde

kolejne słowo pogarsza moją sytuację.

Tata zdejmuje czapkę, opiera łokcie na kolanach i przeczesuje włosy tam i z powrotem, aż każdy sterczy w inną stronę. Na szyi, z boku, ma czerwony ślad. Mówi, że od zimna panującego w Produkcji. Od razu się na niego wściekam, że dopuszcza do takiego wychłodzenia. Wściekam się, że jest taki samotny i że pozwala mi na to samo.

– Po co miałabym czytać – kończę swój wywód.

Patrzy na mnie, zakłada z powrotem czapkę, pociera nos i wbija wzrok w podłogę, a jego mina świadczy o tym, że już to przerabiał.

– Musisz wstawać, chodzić do pracy, wracać do domu i kochać swoją rodzinę, kropka. Na tym to polega. Iść naprzód. Naprzód. Robimy to dla naszych dzieci, wnuków i dla tych, którzy nadejdą później. Na Venturze jest tak samo, jak byłoby na Ziemi. Za bardzo ją idealizujesz. Myślisz, że tracisz coś wielkiego, ale tak nie jest.

– Skąd wiesz?

– Bo... – Wzrusza ramionami i kuli ramiona. – Po prostu wiem. Zaufaj mi, skarbie.

Patrzę na wentylator w suficie i modlę się, żebym się nie czuła uwięziona w tym pokoju, chociaż wiem, że tak właśnie się skończy.

Tata kładzie mi rękę na kolanie.

– Masz przed sobą dobre życie, Seren. Czemu tego nie widzisz? Zaczekaj na dalszy rozwój wypadków i przyjmij je z radością w sercu.

– Ale czego? Ślubu z Ezrą Lomaxem, tym aroganckim wieprzem czy wyciskanie z siebie jego potwornych dzieci, które spędzą życie uwięzione w tej puszczy, zanim zostaną wyssane w próżnię razem ze ściekami?

– W niczym nie dostrzegasz dobrych stron. Z ostatnią osobą, która mówiła tak jak ty, było bardzo źle. – Ma oczywiście na myśli moją matkę, której wkrótce po moim urodzeniu udało się wydostać przez służbę powietrzną.

– Skąd wiesz, że to z nią było źle? Może po prostu miała wszystkiego dosyć? Dosyć ciebie?

W tym momencie wstaje i wychodzi, a ja czuję się tak podle, że daję mu wygrać.

Zgadzam się iść do Medycznego, ale demonstracyjnie wlokę się

noga za nogą. Siedzę teraz w poczekalni i myślę, że pewnie wszyscy wiedzą, że to wieczór przyjęć w klinice psychiatrycznej, więc łypimy na siebie kątem oka, ale udajemy, że tak nie jest i zastanawiamy się, kto z nas ma największego świra. Prawie każdy jest z osobą towarzyszącą. Młody chłopak z Kulturalnego z matką, jakaś para i dwie starsze kobiety.

Oraz Domingo Suarez.

Rozmawia z tymi paniami, po hiszpańsku!, a ponieważ w tych czasach już bardzo niewiele osób zna ten język, jestem pod wrażeniem, a wręcz czuję, jakbym obserwowała sztukę magiczną. W pewnym momencie zauważa mój wzrok, więc też zerka, nie przerywając wypowiedzi, tak jakby mnie włączał do rozmowy, chociaż ja oczywiście nic nie rozumiem, obstawiam tylko, że w pewnym momencie mówi coś bardzo zabawnego, bo obie jego ciotki, czy kim tam są te kobiety, wybuchają śmiechem i wszyscy troje klepią się po kolanach.

Zaraz potem zauważam jego usta. Miękkie, pełne, ciemne na tle białych zębów, piękne. A kiedy się uśmiecha i przeczesuje lśniącego włosy, czarne jak woda w nocy, moje myśli się zatrzymują i dosłownie opada mi szczęka, bo po raz pierwszy dociera do mnie, jaki jest niesamowicie atrakcyjny.

Nie wiem, jak wyglądam w chwili, kiedy spływa na mnie to objawienie, ale podejrzewam, że dziwnie, zwłaszcza że nie udaje mi się opamiętać dość szybko i w pewnym momencie zauważa, że się gapię z otwartymi ustami. Mina natychmiast mu rzednie, odwraca się do dwóch pań, ale uśmiecha się sztucznie, jest rozproszony i zaledwie kilka sekund później przeprosza je, wstaje i jestem pewna, że skieruje się do wyjścia, ale siada obok mnie.

Początkowo na niego nie patrzę, bo czuję się tak niezręcznie, że wpatruję się w swojego podda i udaję, że czytam, chociaż od kilku minut tylko przelatuję wzrokiem ciągle te same słowa. Obserwuje mnie, patrzy na mój policzek, a potem spogląda na swoje dłonie, luźno zwisające między szeroko rozstawionymi kolanami i zderzające się w powietrzu. Następnie znów podnosi wzrok na mnie. W końcu przesuwając odrobinę łokieć, na tyle, żeby mnie trącić w bok, bo wie, że wtedy będę musiała na niego spojrzeć, co oczywiście robię, starając się łypnąć jak

najgniewniej, chociaż niechcący cały czas się uśmiecham. Patrzy mi w oczy, odpowiada uśmiechem, potem naśladuje mój złowrogi grymas i znów się śmieje.

– Pamiętasz mnie? – pyta. Jestem w szoku, byłam pewna, że to on nie będzie pamiętał mnie. – Chodziłem do Edukacji z twoją siostrą.

– Ja... Ty...? – Potem znów na niego patrzę.

– Ja... Ty... – nabija się ze mnie i oślepia białymi zębami.

Wtedy kobieta w recepcji pyta:

– Seren Hemple? – Moja kolej. W tej samej chwili rozlega się głośny klakson i moje nazwisko wyświetla się wielkimi literami na ekranie, a ja nie mogę nawet przełknąć śliny.

Domingo patrzy to na ekran, to na mnie, czekając, aż wstanę i pójdę. Ale ani drgnę, więc chichocze, nachyla się do mnie, zakrywa usta dłonią i scenicznym szeptem pyta:

– Idziemy sobie stąd?

A ja na to:

– Nie znam cię.

– Znasz. Już to przecież ustaliliśmy. Nazywam się Domingo Suarez. Chodziłem do Edukacji z twoją siostrą. – Klakson. Moje nazwisko znów się wyświetla i teraz już wszyscy na mnie patrzą, łącznie z ciotkami Dominga, o których całkiem zapomniałam. Ja siedzę bez ruchu i myślę, że może wcale nie muszę być dziewczyną czekającą na wizytę u swojego psychiatry, w każdym razie, jeśli tego nie chcę oraz że kiedy tu przyszłam, nie widziałam żadnej innej możliwości, jak tylko wejść do gabinetu, ale teraz pojawiło się tyle nowych, znacznie lepszych.

– Chodźmy – postanawia i chociaż wykonuje tylko subtelny ruch głową i ramieniem, wstaje, jakby mnie za sobą ciągnął, wychodzę za nim z kliniki, idę korytarzem Medycznego, mijając po drodze swoje nazwisko na kilku kolejnych ekranach i ląduję obok niego na Głównej Południowej. Dopiero gdy trochę się oddalamy od Medycznego, patrzymy na siebie, a ja staję jak wryta.

– Twoje ciocie!

– Moje co? – śmieje się.

– Zostawiłeś swoje ciocie, czy kogo tam z twojej rodziny, w klinice.

Kręci głową.

– Nie, nie przyszedłem z nimi. Po prostu je znam.

Wkłada ręce do kieszeni i dopasowuje się do mojego rytmu, chociaż jest ode mnie o wiele wyższy i jego jeden krok to dwa moje. Z tego samego powodu, gdy chce na mnie popatrzeć, musi się trochę schylić. Nie tłumaczymy się z tego, co robiliśmy w poradni zdrowia psychicznego, jakbyśmy się po cichu umówili. On mówi za to:

– No więc, panno Seren Hample, siostró Pandory, moja nowa przyjaciółko, na co masz ochotę, teraz, kiedy uciekłaś z czyścica, zwanego poczekalnią szpitalną?

Wzruszam ramionami.

– Nie mam żadnych konkretnych planów.

– Nie masz planów, co? – powtarza. – Super, tak lubię najbardziej.

Jest coś tak intensywnego w kontakcie wzrokowym, którego nie pozwala mi przerwać i w bliskości ramienia, którym dotyka mnie prawie, ale nie do końca, że kiedy pyta, czy chcę zobaczyć coś superfajnego, nie ma siły, żebym mu odmówiła.

Nakazuje mi iść za nim, więc idę do transporterów w południowo-zachodnim rogu placu. Stajemy, czekamy i patrzymy na siebie, a ja pytam:

– Mówisz po hiszpańsku?

Uśmiecha się.

– Tak jest.

– Nie sądziłam, że ktoś to jeszcze robi.

– Niektórzy tak. Ale tylko wybrańcy. – Obserwuję jego grdykę, która się porusza, gdy mówi, a potem wybucha śmiechem. – Nie, żartowałem, po prostu kiedy obydwójce partnerzy w Unii znają ten język, dzieci też się go uczą. Ale pewnie nie potrwa to już zbyt długo.

– Szkoda. – Uśmiecham się półgębkiem. – Podoba mi się. Jest super.

– Tak? W takim razie muszę zapamiętać: mówić więcej po hiszpańsku.

Śmieję się, chociaż tak naprawdę wolałabym rozpaść się u jego stóp na tysiąc kawałków. Muszę zmienić temat.

– Dokąd jedziemy?

Opiera się o ścianę, krzyżuje ramiona na piersi i pyta:

– Lubisz niespodzianki?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Nie mam z nimi dużego doświadczenia.

Czuję, jak jego słodki uśmiech przelewa się z jego twarzy na moją.

Wysiadamy przy Produkcji. Wymienia uścisk dłoni ze strażnikiem, a potem wprowadza mnie do pomieszczenia tak ciemnego i lodowatego, że przechodzi mi przez myśl śluza powietrzna, ale okazuje się, że jesteśmy w Rybiarni.

Cała nasza dieta opiera się na białku uzyskiwanym z ryb i jajek. Na tej podstawie Nauka jest w stanie spreparować w zasadzie wszystko, w związku z czym jedyne żywe stworzenia na Venturze, oczywiście nie licząc nas, to jakiś milion ryb i kur niosek. Ryby hoduje się w kilku wielkich zbiornikach z wodą w przedniej części statku, gdzie wbudowane są prawdziwe okna (w naszych mieszkaniach nie ma takich luksusów). Przez luki w bocznej ścianie wpada blade światło Huxleya.

– Jak tu niesamowicie! Dlaczego nigdy tu nie byłam?

Uśmiecha się szeroko, rozkłada ręce i powoli obraca się wkoło.

– No właśnie! Tu jest prawie jak na prawdziwej plaży!

Kiwam głową, chociaż jest tu lodowato, a zimne powietrze wypala mi gardło i pierś. Kucam i gapię się w czarną wodę, z której nagle prawie wypływa na powierzchnię piękna, srebrna ryba, a ja jestem tak przerażona, że lecę do tyłu.

– Wow! – słyszę swój głos.

– Wiem! – śmieje się.

– Jak się tu pracuje?

– Super. Mnie się tu podoba bardziej niż w Konserwacji. Produkcja jest ciekawa. Lubię ryby.

– Ile masz lat? – pytam.

– Osiemnaście. Skończyłem Edukację zaraz po piętnastych urodzinach. Byłem najmłodszy w Cyklu 81.

Wskazuję na siebie:

– Ja byłem czwartą najstarszą w swoim. Mam prawie siedemnaście lat.

Wystawia rękę, żebym mu przybiła piątkę, ale wychodzi mi to

jakoś koślawo. Potem coś mi nagle wpada do głowy.

– Moja siostra i ja... Ona jest tylko dwa lata starsza ode mnie. No, trochę więcej, ale z powodu tej opcji z różnicą jednej generacji zachowywała się całe życie w zasadzie jak moja matka. Jakby już doświadczyła wszystkiego, o czym ja nie mam mieć pojęcia. – Kręcę głową i trochę się nawet rumienię, bo nagle stwierdzam, że to kiepskie nie lubić swojej siostry. Nigdy dotąd się nie przejmowałam, czy coś jest fajne, i nagle, z gwałtownością kamiennej lawiny, dociera do mnie, jakie to ma kolosalne znaczenie.

– Starsze rodzeństwo zawsze tak ma. – Uśmiecha się on. – Mój brat się mnie czepiał o wiele bardziej niż tata.

– Czyli musisz być bardzo niegrzeczny – zauważam, a potem czuję, że się rumienię.

– Nie ma nic złego w byciu niegrzecznym od czasu do czasu. – Mruga do mnie, a ja prawie umieram.

– A ty... – Kręcę głową i próbuję coś szybko wymyślić, ale mam kompletną pustkę w głowie. – Mieszkasz w kajutach?

– Tak.

– Czyli jeszcze nie wzięłeś ślubu ze swoją partnerką życiową?

– Jeszcze nie. – Wzrusza ramionami.

Patrzę na niego i zastanawiam się, dlaczego nie zauważyłam, jaki jest piękny, gdy chodził do klasy z Pan, a co więcej: dlaczego prawie w ogóle go nie pamiętam! Jest chyba jedyną w historii osobą wyglądającą dobrze w uniformie Ventury, na który wszyscy jesteśmy całodobowo skazani. Ja na przykład nie znoszę czapki, ale do niego pasuje, a głupi szary kombinezon tak się opina na jego szerokich ramionach, że nie jestem w stanie zebrać myśli, zwłaszcza że stanowczo za dużo (a może akurat?) zatrząsków na piersi jest rozpiętych. Jak większość gości z Produkcji nosi klucze elektroniczne zawieszane na łańcuszku na szyi, ale nigdy dotąd nie spędziłam tyle czasu na obserwowaniu linii łańcuszka chowającego się w kombinezonie.

Przez cały ten czas przygląda mi się w napięciu, z cieniem uśmiechu na ustach, jakbym miała zaraz powiedzieć coś bardzo ciekawego czy zabawnego albo była jakimś dziwnym bytem, który właśnie odkrył. A ja się tylko kulę pod presją oczekiwań, których

prawdopodobnie nie będę potrafiła zrealizować.

– No co? – pytam.

– Opowiedz coś. – Odchyła się i opiera na rękach. – Chcę się o tobie więcej dowiedzieć.

Wzruszam ramionami.

– W sumie nie ma o czym mówić. Koniec nauki, realizowanie wiekopomnego celu mojej egzystencji, te sprawy.

– Ach. – Szczerzy zęby. – Widzę, że ojciec Seth nie ustaje i przepelnia nadzieją generację za generacją. Ale z drugiej strony może pewnego dnia będziesz najlepszą obsługującą latryny, jaką widziała Zachodnia. – Znów się śmieję, a gdy mówi, obserwuję jego usta, staram się za dużo o nich nie myśleć, ale nie udaje mi się, bo wtedy on zapewnia: – W końcu się przyzwyczaisz do zapachu, nie zrażaj się.

– Dobrze, chłopaku od ryb – zgadzam się z uśmiechem.

– „Chłopaku od ryb”? – Łapie za kołnierzyk i wacha. – Jest aż tak źle?

Kręcę głową i w ostatniej chwili powstrzymuję się przed wyznaniem, że pachnie obłędnie.

– W poniedziałek się dowiem, jaki dostałam przydział, więc jeśli mi się trafią latryny, będę dobrej myśli.

– Serio, nie spanikuj. – Uśmiecha się. – Może być gorzej. Ja dostałem utylizację odpadów.

Czuję, że się krzywię.

– Oj.

Kiwa głową.

– Wiem. Wiodłem bardzo światowe, aromatyczne życie. – Rozkłada ręce. – Zresztą, możesz sobie wyobrazić.

Oboje spoglądamy w górę, a tam, przez luki nad naszymi głowami widać skraj Huxley-3, planetę, która właśnie robi się widoczna, a w każdym razie ta jej połowa, którą akurat oświetla słońce. Robi się duża jak mały, niebieski półksiężyc, łuk obciętego paznokcia.

– Czemu ryby mają okna? – pytam.

– Lubią mieć trochę słońca. Jak jakieś jest. Ostatnio świeci, bardzo to miłe.

– Bardzo – kiwam głową i wracam do patrzenia na swoje stopy

dyndające nad czarnym, lśniącym lustrem wody. Przecinają je ciała ryb, błyskających to tu, to tam we wkradającym się przez luki światłe gwiazd. Jedna wystawia pyszczek nad powierzchnię i mam wrażenie, że patrzy mi w oczy. Nachylam się i pytam:

– Mogę dotknąć?

Domingo udaje, że jest w szoku.

– No nie wiem, to się dzieje tak szybko...

Wywracam oczami i staram się nie uśmiechnąć.

– Chodzi mi o rybę.

Oczywiście rzuca jeszcze tysiąc głupich żarcików, ale i tak zdejmuję trampki, a on pomaga mi zejść po metalowych szczeblach do wody, która ma prawie temperaturę lodu i jest czarna jak smoła. Niezrażona i tak zanurzam w niej rękę i wkrótce ryba muska moją dłoń, tak niesamowicie pełna rozmigotanej energii i życia, że aż przeszywa mnie dreszcz i krzyczę. Oboje się śmiejemy, gdy on mnie wciąga po drabinie i żartuje, że muszę być cicho albo mu się oberwie od chłopaków i że w ogóle nie powinien był mnie tu przyprowadzać, bo od początku wiedział, że będą ze mną kłopoty, a ja przez cały czas myślę o jego pięknych, jakby zmrużonych w słońcu oczach. Nie wiem, jak to wyjaśnić, bo przecież jest całkiem obcy, jak prawie każdy na tym statku, ale jeszcze nigdy w niczym towarzystwie nie czułam się jak z przyjacielem.

Odprowadza mnie do domu, zostawia przed drzwiami i oficjalnie ściska moją dłoń, a potem trzyma ją tak długo, że sama się wyślizguje; wtedy zaczynam się zastanawiać, jak ja żyłam bez niego i jak będę żyła dalej.

Moje uczucie do niego jest błyskawiczne, potężne i piękne.

A do tego kompletnie beznadziejne.

Rozdział 5

Pandora wyciąga mnie na wieczorek z kapitan Kat, jakieś spotkanie społeczności czy zebranie, w każdym razie kompletna strata czasu, ale Cain pracuje, a tata bierze wolne. Nie robi tego często, ale gdy już postanawia odpocząć, wyraźnie o tym informuje. „Biorę wolne”, oznajmia, a potem zajmuje się, czym chce, na przykład ogląda coś na ekranach, i właśnie to zamierza robić dzisiejszego wieczoru, dlatego absolutnie nie da się wciągnąć w coś, co nazywa „propagandową sieczką”. Emanuje rewolucyjnym duchem przez jakieś pięć minut, a potem wraca do grania w piłkę nożną na swoim podzie. Pan jest jednak największą fanką kapitan Kat, a ja wyjątkowo nie mam na podorędziu żadnej kąśliwej uwagi (może dlatego, że jestem w wyjątkowo dobrym humorze ze znanych tylko mnie samej powodów), więc kończy się na tym, że zmierzamy do auli.

Po drodze zatrzymują nas jacyś ludzie, klepią Pan po plecach i wydziwiają nad jej brzuchem, jakby była pierwszą ciężarną w historii. Żartują też, że na pewno będę następna, a mnie zbiera się na wymioty, autentycznie mogłabym zwymiotować na samą myśl, że to może dotyczyć mnie. Ale to jeszcze nic. Docieramy na miejsce, potwornie zimne i ciemne, bo jedyne światło pali się na scenie, siadamy na krzesłach wystawionych przez Konserwację, trzęsiemy się i czekamy na występ kapitan Kat, a wtedy Pan macha do jakiegoś ciemnowłosego chłopaka z Kulturalnego, kolegi Caina, który rozstawia kamery. On uśmiecha się szeroko i kieruje w naszą stronę, jednocześnie nawijając kabel na dłoń i łokieć, a mnie się wydaje, że to chyba... Ale już za późno.

– Cześć, Pandoro – wita się, a „r” wymawia tak, jak osoby mówiące po hiszpańsku. Wymieniają uprzejmości i przez chwilę rozmawiają o niczym, a potem on pyta: – Nie widziałaś może mojego brata? – Potem rozgląda się wkoło.

Czuję, że cierpnie mi skóra, gdy Pan odpowiada:

– Od wieków. Co tam u Dominga?

Uśmiecha się.

– Nic nowego. Chodzi swoimi ścieżkami. Wczoraj nie przyszedł na próbę, bo zdaje się, że pożałował jakiejś chorej dziewczyny z Medycznego i odprowadził ją do domu. – Śmieje się, a ja nie zdążam odwrócić wzroku na czas i Pan kątem oka przyłapuje mnie na wpatrywaniu się w niego. – Zawsze zgrywa przed kimś bohatera – dodaje, a ja zauważam, że ma identyczne zęby jak jego brat, mocne i nieskazitelnie białe, ale jeden jest trochę skrzywiony.

– Ty byłaś wczoraj wieczorem w Medycznym, prawda, Seren? – pyta Pan.

Błyskawicznie analizuję sytuację.

– Tak, ale... Nie zauważyłam niczego dziwnego. – Potem uznaję, że najlepszą taktyką będzie ignorowanie ich obojga i udawanie, że szalenie mnie zainteresował odległy kraniec auli, gdzie zbierają się ludzie z Zachodniej, wyglądający na zziębniętych i znudzonych. Jednocześnie myślę o Domingu, że najwyraźniej wziął mnie za wariatkę i zrobiło mu się mnie żal, więc postanowił zabawić się w wybawcę. Mój dobry humor, delikatnie mówiąc, trafia szlag.

Brat Dominga jeszcze coś tam mówi, ale potem ktoś go woła i wraca do swojej kamery. Zaraz potem Pan zaczyna się wpatrywać w mój profil, a gdy do niej dociera, że nie zamierzam się odwrócić, zagaja:

– Słucham.

– Czego?

– Słucham, dlaczego zaczęłaś się tak dziwnie zachowywać.

– Wcale nie.

Przygląda mi się spod półprzymkniętych powiek.

– Spędziłaś wczorajszy wieczór z Domingiem Suarezem!

– Wcale nie!

– I wypierasz się tego, co robi się jeszcze bardziej podejrzane.

– Jezu, daj mi spokój. – Wiem jednak, że jestem cała czerwona i musiałabym się odwrócić tyłem, żeby nie było tego widać.

Pan bierze to za ostateczne potwierdzenie i kręci głową, a usta ma tak skrzywione, jakby właśnie potwierdziły się wszystkie jej najgorsze podejrzenia wobec mnie (a jest tego dużo).

– Co by pomyślał Ezra, gdyby się dowiedział, że się prowadzasz z innym chłopakiem?

– Nie mam pojęcia i mam to gdzieś.

– Nie rozumiem cię, przysięgam. Od wieków nikomu nie trafiła się tak dobra Unia jak tobie, a ty się tylko pakujesz w problemy.

Na szczęście w tej chwili rozlega się muzyka i wszyscy obecni, chociaż wcale nie ma ich wielu, siedzący w kurtkach i czapkach, trochę się prostują i wpatrują w scenę. Wychodzi kapitan Kat, unosi ręce i pozostaje w takiej pozycji, aż rozlegają się dość żalosne brawa, a za nią pojawia się Ezra, domniemana miłość mojego życia, zadowolony z siebie jak zawsze, oraz Jonah, też jak zawsze oszołomiony otaczającym go światem.

– Cześć. – Obok mnie ląduje Emme, trąca mnie w bok i macha do Pan. – Co straciłam?

– Jeszcze nic.

Generalnie nie ma powodu, żeby tu przychodzić, bo transmisja jest dostępna na każdym ekranie i przez każdy system nagłośnieniowy, ale dobra, Pan lubi brać udział w takich imprezach. I okazuje się, że tym razem miała rację.

– Znajdujemy się bardzo blisko planety o nazwie Huxley-3 – zaczyna kapitan Kat. – Ma dwa księżyce, okrąża pomarańczowego karła o nazwie Huxley i wygląda na to, że ma jakąś formę atmosfery. Z tego powodu postanowiliśmy w Dowództwie, że zrobimy nieprzewidziany postój na jej orbicie i zbadamy ją.

Wszyscy, którym chciało się tu przyjść, zaczynają się teraz wiercić i zerkać na siebie, a Pan łapie mnie za rękę uściskiem kończącym się na łokciu.

– Seren! – piszczy szeptem i przyznaję, że nawet ja coś czuję, choć w zasadzie nie wiem co. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy wcześniej, więc nie znajduję żadnych punktów odniesienia, odczuwam tylko natłok niespokojnych myśli o tym, jak to będzie przebywać tak blisko planety i co to dla mnie oznacza, skoro moje życie było dotychczas jednym wielkim *status quo* składającym się z nieskończonej czarnej przestrzeni.

– Okrążymy planetę dziewięćdziesiąt razy i w tym czasie przeprowadzimy testy. – Następnie kapitan Kat miażdży nadzieje wielu z nas, choć większość nawet nie wiedziała, że je ma: – Ze względów bezpieczeństwa nie przewidujemy innych niż konieczne wyjść ze statku.

Tarasy Widokowe będą jednak otwarte przez całą dobę i zachęcam do wykorzystania tej niecodziennej okazji do przyjrzenia się z bliska prawdziwej planecie.

Tylko że ja – chociaż wszystko fajnie, naprawdę – i tak cały czas myślę o Domingu.

Rozdział 6

I oto zaczynam Służbę. Pracuję. Tak, wiem, że Służba ogólnie rzecz biorąc oznacza dwa lata wyjęte z życia, kiedy robisz wszystko, czego nikt inny nie chce, bierzesz jakieś totalne ochłapy w Hodowli, Konserwacji albo Produkcji, ale ja i tak się cieszę, bo mam dość Edukacji, tkwienia w tej samej ciasnej klasie z tymi samymi ludźmi i tymi samymi nauczycielami, mówiącymi nam wciąż to samo, tylko na różne sposoby: jesteście tu uwięzieni, jesteście na siebie skazani, róbcie, co macie do zrobienia, nie narzekajcie, wasze istnienie sprowadza się do pchania tego wszystkiego naprzód, dla nas, dla Ziemi, dla ludzkości, dla przyszłości, dla Boga, kimkolwiek jest.

Docieram do tablicy ogłoszeń, z której dowiaduję się, że mój pierwszy przydział to Konserwacja i napełnianie automatów z przekąskami, ale chociaż wiem, że pod czapką będę musiała nosić siatkę na włosy, tego pierwszego dnia jestem na fali. Mniejszej czy większej, nieważne. Poza tym trafiłam na pierwszą zmianę, co też jest super, bo nie muszę zmieniać rozkładu dnia. Zerkam na tablicę po raz ostatni, żeby zapamiętać, jak trafić tam, gdzie mam się znaleźć i słyszę, że ktoś się zbliża, a gdy się odwracam, widzę Ezrę. Wita się i staje za mną, tak blisko, że czyta listę przydziałów ponad moim ramieniem, a jego oddech rozwiewa mi włosy. Przez moment patrzę na jego policzek, włosy i ucho z tak bliskiej odległości, jakbym je widziała pod mikroskopem.

– Powinieneś trochę ograniczyć zużycie wosku do włosów.

Uśmiecha się, kładzie mi rękę na ramieniu i mówi:

– No, proszę bardzo, już się o mnie troszczysz. Kochana żonka!

Strząsam jego dłoń, jakby był czymś zarażony i odchodzę, zaklinając go, żeby nie laźł za mną, ale idzie.

– Pewnie zauważyłaś, że trafiłem do Inżynierii. Prosto na trening lotów. Nie zazdrość. Po prostu umiem rozpoznać prawdziwy talent.

– Jasne.

– Na początku czeka mnie niewolnicza praca, wszyscy o tym wiemy, ale grunt to wsadzić stopę między drzwi i dać się zapamiętać. Jaki ty masz przydział?

– Konserwacja, pierwsza zmiana.

– No jasne, że pierwsza.

– Dlaczego jasne?

– Myślisz, że daliby szesnastoletnią dziewczynę na nocki? Z tym wszystkim, co się tam dzieje po godzinach? Daj spokój! – Nie mam czasu zapytać, co ma na myśli, bo znów mnie obejmuje i przyciska do siebie, tak że jego miednica wbija mi się w żebro, a potem mówi prosto w moje włosy, aż stają się wilgotne: – Jak tylko będziesz chciała, żebym włożył chlebuś do twojego piecyka i uwolnił cię od tego wszystkiego, daj znać, skarbie.

Dźgam go łokciem w pachwinę. Nie tak mocno, jak bym chciała, ale wystarczająco, żeby mnie puścił i zatoczył się na ścianę. Odchodząc, rzucam przez ramię, że ma sobie wsadzić cuchnące chlebusie.

Idę do biura Konserwacji w Północnej, dzwonię do drzwi, chociaż są otwarte i widzę dziewczynę, którą jakby trochę znam, napełniającą wózek batonikami orzechowymi i paczkami nachosów. Nie patrzy nawet na mnie, tylko mówi:

– Szeregowiec Seren Hemple, początek Służby?

– Tak.

– Bosman Mariana Moreno. Spóźniłaś się.

– Przepraszam.

– Szkoda czasu, pomóż mi z wózkiem. – Dzisiaj mam chodzić za Marianą jej trasą po Północnej i uczyć się. – Ogólnie mieszkańcy statku mają nieposkromiony apetyt na chemiczny syf, więc można napełniać te maszyny na okrągło. Jak dojdiesz do ostatniego automatu na trasie, pierwszy będzie już pusty. Najbardziej bezsensowne zajęcie we wszechświecie, ale przez najbliższe pół roku to twoje życie.

Okazuje się, że Mariana dużo mówi, więc od razu ją lubię, chociaż ona mnie chyba nie.

Superfajne w napełnianiu maszyn jest to, że znajdują się w różnych miejscach, do których normalnie trzeba mieć przepustkę, więc oczywiście nigdy tam nie byłam. Mariana ma specjalną kartę wydaną przez Konserwację, którą przykładają do czytników przy drzwiach, a one się od razu otwierają. Byłyśmy na przykład w Naukowym, gdzie jest cicho, dziwnie pachnie, mija się otwarte drzwi, a ludzie odzywają się

prawie szeptem, patrzą w rozświetlone monitory komputerów i mówią rzeczy w stylu: „Gdzie jest analiza tej próbki?”

Boże, a poza tym mają cudowne okna. Prawdziwe okna, nie luki, więc można wyjrzeć i natknąć się na Huxley-3. W pewnym momencie Mariana wysłała mnie po ręczniki papierowe, więc po drodze zatrzymuję się w drzwiach pustego laboratorium, przekraczam próg, przesuwam się w lewo i na moją twarz zaczyna padać słońce, a po chwili mam wrażenie, że robi się jakby odrobinę cieplej. I oto jest, Huxley-3, piękna, w odcieniach jadeitu i turkusu. Ma też chmury! CHMURY! Przesuwające się, wirujące, może powolne, ale prawdziwe, najprawdziwsze.

Trafiamy nawet do Inżynierii i jesteśmy tylko trzy pomosty od pasa, z którego startują wahadłowce zwiadowcze; słyszę je, jak odlatują i wracają, a brzmi to jak eksplozja połączona z tarciem metalu o metal. W międzyczasie patrzę na facetów chodzących pojedynczo lub dwójkami po korytarzach. Ubrani w kombinezony lotnicze i uprząże, pod pachami niosą maski dekompresyjne, bo właśnie wrócili z lotu i nadstawiam uszy jak wariatka, ale mówią albo bardzo cicho, albo w ogóle, z wyjątkiem jednego, który powiedział: „Stary, nie wiem, tak to wyglądało”.

W tym momencie Mariana woła:

– Halo, rekrutko! – Jej głos brzmi tak przenikliwie, że aż podskakuję. – Będiesz tu stała cały dzień i gapiała się na pilotów czy weźmiesz się do roboty? – Wracam, a ona rzuca mi pudełko z batonikami proteinowymi. Nie udaje mi się złapać. – Słuchaj – mówi i ściera z rąk czarny smar, którym się umazała, grzebiąc w maszynie. – Nie oczekuję, że pokochasz tę pracę. Proszę tylko, żebyś jej nie olewała. Nie rób tego chociaż przez te parę zmian, które musisz odbębnić, zanim zdecydujesz się poślubić swojego chłoptasia, zająć w ciążę i zniknąć stąd na najbliższe parę lat.

Podnoszę pudełko z batonami i otwieram je po drodze do maszyny.

– Żebyś się nie zdziwiła – mówię.

Rozdział 7

Poranna przebieżka. Zauważam go na wysokości basenów. Uśmiecha się tak, że nie mogę się nie odwzajemnić, ale cały czas biegnę, bo rozwinęłam za duże tempo, żeby się gwałtownie zatrzymać albo chociaż zwolnić.

Domingo Suarez.

Odwracam się i wyjmuję z uszu słuchawki. Stajemy, patrzymy na siebie, kilkoma krokami pokonujemy dzielący nas dystans, znajdujemy się tuż przy wodzie i myślę, że jest coś pierwotnego w tym, jak ja przyciągam jego albo on mnie, nie wiem, kto jest pierwszy, zresztą nieważne, bo gdy stoi tuż obok, tak mnie pochłania patrzeć na niego, że nie przychodzi mi do głowy nic do powiedzenia. Zwłaszcza że spływam potem i wyglądam koszmarnie w uniformie rekreacyjnym składającym się z szarego bezrękawnika i szortów, za to on... Musicie wiedzieć, że ten koleś zawsze wygląda dobrze, nawet jeśli właśnie wraca do domu po zmianie, rękawy kombinezonu ma związane w pasie, T-shirt brudny i w ogóle, jest po prostu jednym z tych ludzi, którym nic nie szkodzi. Stoi więc i spełnia wszystkie wyznaczniki męskiego piękna, a ja jestem spocona jak świnia, tylko że im dłużej na mnie patrzy, tym bardziej zapominam, jak wyglądam.

– Znowu ty. – Uśmiecha się jedną stroną ust i na policzku pojawia mu się dołeczek.

– Mogłabym powiedzieć to samo.

– Tak.

– Ale nie powiem, żeby nie przynudzać.

Kiwa głową.

– Rzeczywiście, to by było strasznie nudne.

Patrzy na mnie przez chwilę, ale żadne z nas nie przestaje się uśmiechać. W pewnym momencie prawie zaczyna mi dzwonić w uszach.

– Jak się masz? – pyta.

– I kto tu jest nudny?

Śmieje się.

– Dobra, masz rację. – Przeczesuje włosy, a potem na mnie patrzy.

– Trochę mnie teraz zestresowałaś.

– Dobrze! – Śmieję się i cały czas trochę dyszę po biegu. Nawet nie staram się nad tym zapanować, bo obserwuję, jak niebieskie światło podświetlające wodę w basenach tańczy na jego skórze i żałuję, że akurat mijają nas setki osób, bo kończy się jedna zmiana, a druga zaczyna.

– Pewnie musisz biec dalej? – pyta, a ja się zastanawiam, czy powinnam potwierdzić, a może zaprzeczyć i jakiej odpowiedzi on oczekuje. Pewnie wszystko mam wypisane na twarzy, gdy patrzę na niego, potem na potok mijających nas ludzi, później znów na niego i dukam:

– Ale... Może moglibyśmy się przejść wokół basenu?

– Przejść się wokół basenu? – powtarza jak echo i oboje spoglądamy na wodę wydymającą się lekko od wibracji statku, których my nie jesteśmy w stanie poczuć. – Nooo... Tak, chyba możemy.

Na początku jest dziwnie, bo oboje idziemy bardzo wolno i jest tyle rzeczy do powiedzenia, a żadne z nas nie wie, jak zacząć. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że ilekroć na mnie patrzy, mam pustkę w głowie, tak jakby fala nagłej amnezji wymywała wszystko z wyjątkiem niego, a kiedy się uśmiecha, ja też to robię, zupełnie wbrew woli. W końcu się odzywa:

– Nie widzieliśmy się od tej całej akcji z Huxley-3.

– Dokładnie! – wołam trochę za głośno. – Rany, ile bym dała, żeby być teraz pilotem.

Krzywi się.

– A oni pewnie tego nie doceniają.

– Właśnie! – Odwracam się i wytrzymuję kontakt wzrokowy. – Nie mogę znieść takiego marnowania przygody. – Kręcę głową, ale jednocześnie robię się tak dogłębnie świadoma łączącego nas spojrzenia, że muszę odwrócić głowę, by w ogóle móc wypuścić powietrze z płuc. – A jeśli się okaże, że jest bezpiecznie? Myślisz, że nas wypuszczą?

– Hm. Może? – Potem dodaje ze smutkiem: – Ale, prawdę mówiąc, wątpię.

– Nasza jedyna szansa zobaczenia planety, pewnie ostatnia w życiu. Dlaczego mielibyśmy umierać, nie wiedząc, jak tam jest?

– To chyba oczywiste? – Odwraca się do mnie z półuśmiechem. – Bo moglibyśmy się dowiedzieć, czego nas pozbawiono. Oni myślą, że dopóki nie wiemy, będziemy zadowoleni z tego, co mamy. Takie założenie stoi za wieloma decyzjami.

Jego słowa zawisają między nami. Chyba zawsze o tym wiedziałam, ale nie wiedziałam, że wiem. Zawsze o tym myślałam, ale nie sądziłam, że tak myślę. On coś mówi i nagle wszystkie pokręcone rzeczy, które bezładnie krążyły w mojej głowie, krystalizują się i nabierają sensu. Wpatruję się w niego spomiędzy zmrużonych powiek, potem kręcę lekko głową.

– Czasem mówisz coś takiego... – zaczynam, ale dociera do mnie, że nie mogę mu powiedzieć i przesywa mnie lodowaty żal.

– No? – Uśmiecha się. – Co takiego mówię?

Ale ja przyspieszam i macham ręką. Nic mu oczywiście nie powiem, tylko kręcę głową, więc po kilku metrach poddaje się i zmienia temat.

– Cieszysz się, że nie będziesz już miała lekcji pływania? Założę się, że tak. – Rатуje mnie z potrzasku, wskazując brodą basen.

– Jezu, tak! Z porucznik Marią Fernandą wrzeszczącą na nas i dżgającą szczotką do czyszczenia basenu, jeśli się nieprawidłowo machało nogami...

Śmieje się.

– Zawsze się zastanawiałem, jaki ma sens uczenie pływania mieszkańców statku międzygwiazdowego. Pomijając fakt, że mnie się akurat przydało.

– Tobie, jasne, ale reszcie jest to całkowicie zbędne.

– No właśnie, wiem. Pewnie chodziło po prostu o to, żebyśmy mieli coś do roboty i pozostali aktywni. Wydaje mi się też, że kiedyś ludzie chętniej korzystali z basenu, na przykład w wolne dni.

– Fakt, co się stało? – Patrę na prostokąt z błękitną wodą i wbudowane w podłogę fotele, z których nikt już nie korzysta.

– Średnia temperatura na statku była wtedy wyższa. Odkąd statek znajduje się głębiej w kosmosie, spadła o ponad dwa i cztery dziesiąte stopnia.

– Uwielbiam, kiedy mówisz tak naukowo.

– Zapamiętaj! – mówi do siebie. – Cieszę się, że mogę pomóc. – Dotyka czapki i mruga, a ja w tej samej chwili trącam go w łokieć i się śmieję.

Robię to odruchowo, ale jestem pod wrażeniem tego dotyku. Następuje po nim pół sekundy, kiedy oboje się rumienimy i zupełnie tracimy rezon. Dopiero potem wydajemy kilka wypełniających ciszę dźwięków i wreszcie on mówi:

– Pamiętam, że Pandora była najlepszą pływaczką w klasie.

– Pan? Niemożliwe. Chyba ci się z kimś pomyliło.

– Nie, naprawdę. Była bardzo dobra. Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć?

Wzdycham.

– Pewnie dlatego, że teraz nie robi nic poza zachwycając się Cainem i ćwierkaniem o dzieciach. Zrobiła specjalizację w systemach operacyjnych, bo wiedziała, że tam się pracuje tylko na pierwszą zmianę, a ona chce mieć czas dla dzieci. Strasznie żalosne.

Zastanawia się nad tym przez moment. Spogląda w sufit.

– Wcale nie.

– Może dla mnie każdy, kto jest zadowolony z tego, co ma do zaoferowania Ventura, jest żaloszny. – Nie wiem, dlaczego to mówię. Pewnie przestanie mnie lubić. Ale już tak mam, że od czasu do czasu nie mogę się powstrzymać przed odrobiną autodestrukcji.

Przez dłuższą chwilę milczy. Zwalniamy, aż wreszcie całkiem się zatrzymujemy, a ja patrzę na nasze stopy, jego i moje trampki, stojące prawie nos w nos, jedno i drugie szare z niebieskimi paskami na bokach, oczywiście identyczne, tylko że moje wyglądają na miniaturowe.

Kiedy wreszcie zbieram się na odwagę, żeby na niego spojrzeć, okazuje się, że on też na mnie patrzy. Ruszam, a on idzie za mną.

– Pamiętasz nasze rozmowy? Znaczą te dawne, zanim się ostatnio spotkaliśmy.

– Hm. – Zastanawiam się, a on mi się bacznie przygląda, ale nie widzi, żebym sobie coś przypomiwała. W końcu kręci głową.

– Nie martw się, to nie ma znaczenia. Kiedy mój rocznik kończył, ty byłaś dzieciakiem. Nic dziwnego, że nie pamiętasz.

– Miałam trzynaście lat – obliczam i mrużę oczy. Musiał się bardzo

zmienić przez ten czas, bo, jak słowo daję, zupełnie go nie kojarzę.

Śmieje się.

– Pamiętam cię z przerw śniadaniowych, jak szliśmy do stołówki i Edukacja B właśnie kończyła jeść. Pan mówiła, że jesteś jej siostrą, a ty byłaś uroczą małą dziewczynką z kucykami i wielkimi brązowymi oczami. Bardzo spokojną i... Nie wiem, chyba poważną, bo wszystkie inne dzieciaki szalały, rozwalaly jedzenie, a ty tylko wywracałaś oczami.

– Tak, to by się zgadzało – przyznaję i trochę się rumienię.

– A pamiętasz imprezę z okazji szesnastych urodzin Pan?

Marszczę czoło.

– Trochę.

– Nie pamiętasz naszej rozmowy?

– O czym?

– Głównie, że wszystko jest do dupy.

Śmieję się.

– Pasuje do mnie, ale nadal ci nie wierzę.

– Dlaczego?

– Nie ma siły, żebym zapomniała chwile spędzone z tobą. – Jak zwykle mówię spontanicznie i bez zastanowienia, a to, co powiedziałam, dociera do mnie dopiero później i za bardzo się wstydzę, żeby na niego spojrzeć. Odwracam się, odchodzę i zmieniam temat: – Teraz na basen przychodzą tylko dzieciaki pić kradziony alkohol, bo tu nie sięga kamera.

Zachodzi mnie od tyłu i śmieje się.

– Rozmawiałaś z Cainem?

– Rozumiem, że ty też bywałeś? – Nareszcie dochodzę do siebie i podnoszę wzrok.

– Zdarzało się – z uśmiechem kiwa głową. – Cain był zawsze dobry w pakowaniu się w kłopoty. Nieźle się bawiliśmy. – Już zamierzam mu powiedzieć, jakim frajerem stał się ostatnio, ale wtedy stwierdza: – No to jesteśmy. – Faktycznie, obeszliliśmy basen dookoła i dotarliśmy z powrotem do Zachodniej Głównej, spokojniejszej, odkąd zaczęła się pierwsza zmiana. – Gdzie właściwie idziesz? Mógłbym cię odprowadzić?

Zastanawiam się przez sekundę, patrzę, jak zagryza wargę i

choć przychodzi mi to z trudem, mówię:

– Chyba raczej nie, prawda?

Śmieje się i patrzy pod nogi.

– Wolno nam się przyjaźnić. – Wzrusza ramionami, a ja się tak strasznie wstydzę, że prawie dostaję dreszczy, bo okazuje się, że coś sobie wymyśliłam, chociaż on nie dał mi w zasadzie żadnych powodów.

– Jasne, że możemy. Przepraszam. Myślałam tylko... Nieważne.

Odchodzę, kręcę głową, mówię do siebie, owijam przewód od słuchawek wokół poda i wsadzam go do kieszeni spodenek. W tej chwili mnie dogania. Czuję jego palce na nadgarstku. Odzywa się ledwo słyszalnym szeptem:

– Nie chcę, żebyś sobie myślała, że ja...

Nie wiem, jak się kończy to zdanie, bo wtedy słyszymy krzyk:

– Dominguito! – Odbija się echem po całej Zachodniej Głównej, a wydobywa się spoza chodzącego pęku różowych i purpurowych kwiatów, zbliżającego się do nas niebezpiecznie szybko.

– *Hola, abuelita!* – odkrzykuje Dom, a gdy zaczynam się oddalać, obiecuje: – Dogonię cię.

Idę szybko, ale muszę się odwrócić i popatrzeć, jak ta czarnowłosa drobniutka Hiszpanka z białym pasmem z przodu wręcza Domowi kwiaty i rzuca mu się na szyję, a on musi się nie tylko schylić, ale również ugiąć kolana, żeby móc ją ucałować w oba policzki. Ona coś trajkocze, a on uśmiecha się i kiwa głową.

Tak się pograżyłam w myślach, że aż podskakuję, gdy pojawia się obok mnie z bukietem.

– Dała ci je? – marszczę czoło.

Śmieje się.

– Cóż mogę powiedzieć? Ma się ten urok! – Ale gdy nie reaguję śmiechem, wyjaśnia: – Nie, mam je zanieść do auli, na *la misa*. Na mszę, nabożeństwo, czy jak zwał, tak zwał. Poprosiła, żebym je tam podrzucił. Powąchaj.

Podsuwa mi kwiaty, a ja się nachylam, ale zdaje się, że i tak cały czas patrzę na niego, ja na niego, a on na mnie. Wdycham cudowny zapach, ale jak zawsze, gdy go czuję, robi mi się smutno, bo Produkcja hoduje kwiaty tylko na ceremonie Unii i pogrzeby. Po raz pierwszy

poświęcam chwilę na powąchanie ich z bliska, ale kiedy próbuję opisać zapach, wyduszam z siebie tylko:

– Są... – i milknę. Boże, to strasznie krępujące, ale piecze mnie pod powiekami, jakbym się miała rozpłakać, a on cały czas patrzy, przestaje się uśmiechać i marszczy czoło, więc się odwracam i kręcę głową.

– Weź je.

– No co ty! Są dla kościoła, nie mogę. Zresztą, co by ludzie pomyśleli, gdybym wróciła do domu z bukietem?

Kiwa głową i wpatruje się w podłogę między nami, a ja akurat wtedy zauważam, że ma na twarzy śliczne pieprzyki układające się prawie w prostą linię, jakby tworzyły konstelację biegnącą od kości policzkowej przez płatek ucha do kości szczęki i niżej, na gardło, a potem gdzieś pod ubranie, jak szlak wytyczony na mapie. Każdy pieprzyk jest czarny i doskonale ukształtowany.

Na końcu korytarza rozlegają się głosy. Trzech pracowników Administracji, spóźnionych na swoją zamianę.

– Powinienem... Chyba muszę iść – oznajmia Domingo. Wyciąga poda i sprawdza godzinę.

– Tak, jasne. – A później, nie mam pojęcia dlaczego, dodaję: – Możesz do mnie czasem zadzwonić, przez poda. To znaczy gdybyś chciał.

– To chyba... Hm. Ja... – Śmieje się, ale nie kończy, więc spieszę ze sprostowaniem:

– Jasne, masz rację. To nie jest dobry pomysł.

– Posłuchaj, Seren... Ty... – Uśmiecha się półgębkiem. – Nie ułatwiasz mi tego.

W momencie, kiedy faceci z Administracji nas mijają, pewnie w drodze do biur na drugim końcu placu, podnoszę rękę i kończę rozmowę:

– Dobra, do zobaczenia. – A później biegnę. Biegnę i odwracam się za siebie tylko raz, zanim wpadnę za róg i zniknę mu z oczu. Widzę wtedy, że stoi na rozstawionych nogach, kwiaty trzyma w spuszczonej ręce i patrzy na mnie, jakby nie do końca rozumiał, co się stało.

Dopiero po powrocie do domu, kiedy wrzucam spodenki do torby na pranie i wywracam na wszelki wypadek kieszenie, znajduję w jednej

z nich purpurowy kwiat, doskonały, ale więdnący już na mojej rozgrzanej dłoni.

Rozdział 8

Któregoś dnia wracam z pracy do domu Główną Północną, kiedy nagle ktoś łapie mnie za rękę i widzę przed sobą blade oczy. Ezra.

– Dzwoniłem do ciebie – mówi. – Nie dostałaś moich wiadomości?

– Nie. Byłam zajęta.

– Zajęta? – Wybuchła śmiechem. – Błagam cię. – Przesuwa rękę wyżej, na moje ramię, a potem zaciska palce. – To przecież ja.

Co oznacza jedynie, że przechodzą mnie paskudne dreszcze, ale ponieważ mijają nas ludzie, a niektórzy patrzą, nie chcę robić sceny i pozwalam mu poprowadzić się na plac, gdzie się zatrzymuję i odwracam w jego stronę.

– Czego chcesz?

– Kochanie! – Śmieje się i rozgląda jednocześnie, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie słyszał.

– Nie mów tak do mnie.

Wtedy się poddaje i przechodzi do rzeczy.

– Mama chce, żebyś przyszła z rodziną do nas na kolację. Dzisiaj.

– Z moją rodziną? – Nawet nie próbuję ukryć przerażonej miny. – Nie możemy, mamy plany. – Odwracam się, żeby odejść, ale znów mnie łapie za rękę, tym razem mocniej. Patrzę na niego, a on się nachyla, nadal kontrolując otoczenie.

– Bądźcie na siódmą, dobra?

I chociaż mu się wyrywam i odchodzę bez słowa, oboje wiemy, że przyjdę. Stawianie się kapitan Kat i jej pomiotowi nie jest warte aż tyle zachodu.

Przenieśmy się zatem o kilka godzin naprzód. Jest osiem minut po siódmej, siedzimy przy stole jak kukły, a kapitan Kat kończy rozmowę w pomieszczeniu obok. Ja, tata, Pan z Cainem (który się szczerzy jak idiota), dziadek, Ezra i Jonah. Milczymy, prawie nie oddychamy, patrzymy na siebie i słuchamy jej głosu, wślizgującego się do pokoju jak wąż. Prawidłowe odpowiedzi, śmiech w odpowiednich miejscach, wszystko tak, jak powinno być.

– Naprawdę muszę iść. To wyjątkowy wieczór. – Zniża zalotnie

głos i zgrywa rozkoszną, podczas gdy nam cierpnie skóra. – Z okazji zaręczyn syna wydaję uroczystą kolację. To ważna chwila dla nas wszystkich, więc pozwól, że oddzwonię rano.

Zaraz potem pojawia się przy stole, rozkłada ramiona i opromienia nas uśmiechem.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam, ale wiecie, jak to jest, pilny telefon zawsze nie w porę. Witam was serdecznie! Tak się cieszę, że jesteście. – Mówiąc to, obchodzi stół dookoła i kładzie na moment dłoń na naszych ramionach. Zatrzymuje się dłużej przy Cainie.

– Mój Boże, czy to Cain Keller z Inżynierii?! Zastanawiałam się, cóż to za dziwny młodzieniec trafił do mojego apartamentu i nie zdjął czapki!

Szybko ściąga nakrycie głowy i mruży słowa przeprosin, a Pan patrzy, jakby go chciała zabić.

Kapitan Kat zajmuje miejsce.

– No dobrze, a gdzie się podziewa jedzenie? – woła i w tej samej chwili rozlega się brzęczyk przy drzwiach.

Może dwa razy w życiu jadłam poza stołówką. Dziadek, jako szef ochrony, ma dostęp do kantyn oficerskich, ale przestał tam chodzić po śmierci babci, czyli dobre dziesięć lat temu. Zresztą, to nie jest jakaś wielka gratka, bo jedzenie i tak wszędzie jest takie samo, a zanim dotrze poza stołówkę, jest już zimne. Dziwnie się czuję, siedząc tutaj, z tymi ludźmi, gdy chłopaki z Hodowli wtaczają wózek z działu Konserwacji i wystawiają naczynia na środek stołu, a tymczasem kapitan Kat wsuwa poda do stacji dokującej w ścianie i rozlega się dziwna muzyka. Zerkam na Ezrę, który odpowiada wściekłym spojrzeniem. Wszyscy się zastanawiamy, kto odezwie się pierwszy.

W końcu pada na tatę.

– No więc, Jonahu, usłyszałeś powołanie?

Jonah prawie podskakuje na krześle i chwilę trwa, zanim dojdzie do siebie na tyle, żeby odpowiedzieć:

– Tak. – Kiwa głową. – To wielki zaszczyt, że mogę iść tą drogą.

– To prawda – zgadza się tata. – Wielki zaszczyt, jak najbardziej.

– I jaka wygoda! – wtrącam, zanim zdołam się powstrzymać.

Wszyscy na mnie patrzą. – Po prostu... No wiecie... Mamy nierówny

rozkład płci w roczniku i oto jeden z chłopaków postanawia zostać księdzem. – Wzruszam ramionami i staram się nie zwracać uwagi na wzrok Pan, w którym widzę zapowiedź śmierci, ale niepotrzebnie się przejmuję, bo kapitan Kat nie daje się zbić z pantafelku.

– Nieprzeniknione są zamysły boskie. – Uśmiecha się z takim wysiłkiem, że niemal słycać tarcie warg po zębach. – Proszę bardzo, kto ma ochotę na potrawkę drobiową?

Jakiś czas później Pan nawija o swoim brzuchu, dziecku i całej reszcie, ale nawet ja widzę, że wszyscy są znudzeni, więc jej przerywam:

– A co do Huxley-3... – Nie ma mowy, żebym straciła okazję do przyciśnięcia kapitan Kat. Wiem, że któregoś dnia zostanie moją teściową, ale nigdy dotąd z nią nie rozmawiałam. – Będziemy mogli tam polecieć, skoro jesteśmy na Służbie?

Wybucho śmiechem, ale brzmi to tak, jakby udawała, a nie śmiała się naprawdę, urywa stanowczo za szybko i zaczyna popijać wino z kieliszka.

– Jesteś taka urocza, Seren! Oczywiście, że nie! Chciałabym, żeby życie było tak proste, jak ci się wydaje.

Ignoruję fakt, że chce ze mnie zrobić idiotkę i oddycham głęboko, żeby się uspokoić. Gdy jestem już gotowa, brnę dalej.

– No dobrze. Więc jaki jest plan?

– Za jakiś tydzień wlecimy na orbitę i spędzimy tam sześćdziesiąt dwa dni. Okrążymy planetę dziewięćdziesiąt razy, przeprowadzimy badania, pomiary, wyruszymy na rekonesans, a przede wszystkim podejmiemy próbę nawiązania kontaktu.

– Ja wylatuję jutro! – chwali się Cain i uśmiecha się szeroko, nie zważając na pełne usta.

– A jeśli się okaże, że jest tam życie? I da się tam zamieszkać. Co wtedy?

Kolejny wybuch wymuszonego śmiechu, ale tym razem w towarzystwie rzutu okiem na dziadka, jakby kapitan nie mogła uwierzyć w nasze pokrewieństwo.

– Szansa na znalezienie tam cywilizacji jest jak jeden do miliona.

Dopiero teraz zerkam na Jonaha, wpatrującego się w jedzenie, którego nie tknął, oraz na Ezrę, powoli skubiącego bułkę i

wzdychającego głęboko. Tylko Pan słucha.

– Co odkryliśmy dotąd?

Dziadek się nachyla, ociera usta serwetką, a następnie patrzy w sufit, jakby myślał o co najmniej dwudziestu innych miejscach, w których wolałby się znajdować.

– Pierwsze wahadłowce zwiadowcze nie zauważyły absolutnie nic interesującego.

– No chyba! – parska Ezra, a Cain ze śmiechem dodaje:

– Co nie?

Patrzę na nich i nic nie rozumiem.

– Jakim cudem was to w ogóle nie obchodzi? – pytam na tyle głośno, że nawet Jonah budzi się z uduchowionego letargu, w którym dotychczas trwał, a pozostali zaprzestają głupawych chichotów. Zapada cisza, rozlega się tylko cichy brzęk filiżanki, którą niechcący potrąciłam nożem. – Pierwszy raz przydarza nam się coś takiego, a wy nie chcecie w tym uczestniczyć? Pozwolicie, żeby po prostu się stało i minęło jak wszystko inne?

– Pani kapitan, nie wiem, czy już wspominałam, ale cudownie pani urządziła swoją kwaterę – przerywa mi Pan z lizusowskim uśmiechem. – Obrus jest przepiękny!

Kapitan Kat uśmiecha się szeroko i powoli mruga.

– Bardzo dziękuję, Pandoro. Dostałam go w spadku. Pochodzi oczywiście z Ziemi. Przekazała mi go babcia, świeć Panie nad jej duszą.

Wszyscy przez minutę wpatrują się w obrus (jest zielony i paskudny), a nawet wydają pomruki świadczące o tym, że im też się podoba, ale atmosfera pozostaje niezręczna. Pewnie dlatego głos zabiera dziadek:

– Jeśli można, pani kapitan...

– Mów do mnie Kat. W końcu wkrótce będziemy rodziną

– W takim razie, Kat – wymawia jej imię, jakby je brał w cudzysłów – obawiam się, że trochę zbczyliśmy z tematu.

– Czyżby? A o czym chciałeś porozmawiać? Tylko nie o sprawach służbowych! To prywatna wizyta. Z radosnej okazji. Powiedziałabym nawet, że szczęśliwej!

– W rzeczy samej, dlatego też zastanawiałem się, czy mógłbym

zapropionować toast.

Ona uśmiecha się rozkosznie i sięga po kieliszek.

– Jak najbardziej! Co za ciapa ze mnie, nie zaproponowałam wcześniej! Cóż ja bym bez ciebie zrobiła? – Wymieniają spojrzenie, z którego można wyczytać, że miała na myśli coś dokładnie przeciwnego i oboje świetnie o tym wiedzą.

Tak czy inaczej, wszyscy podnoszą kieliszki, nawet Cain (który wygląda na zakłopotanego, bo już swój opróżnił).

– Za Seren i Ezrę – ogłasza dziadek i wbija we mnie spojrzenie szarych oczu. – Przed nimi życie pełne miłości, szczęścia, śmiechu i dzieci.

Wszyscy powtarzają „za Seren i Ezrę”, a ja odnotowuję w myślach, że jedynymi osobami, które tego nie robią, jesteśmy Ezra i ja. Później rozgrywa się nieznośna scena, kiedy każdy z każdym stuka się kieliszkiem, jakby to była jakaś niesamowicie ważna sprawa, w tym celu wszyscy wstają, przemieszczają się i przewracają naczynia na stole, a ja w końcu nie wytrzymuję, siadam i po prostu patrzę.

– Mówiłam to już wcześniej – odzywa się kapitan Kat po powrocie na miejsce i przywdziewa kolejny szeroki uśmiech. – Nie mogło się lepiej złożyć. Unia między naszymi rodzinami! – Składa dłonie i przytula do nich policzki, a następnie kręci głową i patrzy na Ezrę, a potem na mnie, tak jakby z trudem wierzyła w swoje szczęście. – Idealnie!

– I po raz kolejny podejrzenie wygodnie – komentuję, a ona szerzej otwiera oczy. Zapada cisza tak niezręczna, że nawet ja się wiję.

W końcu dziadek odchrząkuje.

– Jak wiesz, Seren, partnerów dobiera Naukowy. Dowództwo nie ma na ich decyzję żadnego wpływu. Brane są pod uwagę kombinacje genetyczne, mające zapewnić naszej populacji korzystną przyszłość.

Patrzmy sobie w oczy ponad stołem.

– Rozumiem, jasne. Nie jestem głupia. Zastanawiam się tylko dlaczego, skoro i tak wszystko odbywa się w laboratorium pod mikroskopem, muszą nam nakazywać, z kim mamy spędzić życie, nieważne, czy nam się to podoba.

Czuję, że Ezra przez kilka sekund wpatruje się w mój profil, a gdy

odwracam głowę w jego stronę, kręci głową, mruży oczy i stwierdza:

– Jesteś naprawdę urocza!

Tacie aż wypada widelec, ale wykrztusza:

– Seren, skarbie, o czym ty mówisz?

Ale kapitan Kat stuka dłonią w stół i odgarnia z twarzy pasma jasnych włosów, jakby się szykowała do bitwy.

– Chyba nie ma lepszej okazji do przedyskutowania ewentualnych wątpliwości, nie sądzisz, Jamie? – Nie czekając na jego reakcję, zwraca się do mnie: – To nie twoja wina, że straciłaś z oczu pewne założenia funkcjonowania Ventury. Być może życie na statku stało się dla ostatniej generacji zbyt... łatwe. Wygodne. A w konsekwencji niektórzy zapomnieli o naszej prawdziwej tożsamości. – Milknie, zamiera z półuśmiechem na ustach i gładzi ten paskudny obrus. Muzyka w tle to składanka śpiewu wielorybów czy czegoś podobnego. Raczyli nas tym w czasie przerw relaksacyjnych w Edukacji.

– Nasza prawdziwa tożsamość – powtarzam jak echo. – Czyli co?

Jej uśmiech blednie.

– Współtworzymy najambitniejsze, najważniejsze dzieło ludzkości. Będziemy Pierwszym Kontaktem. Każdy mężczyzna i każda kobieta, którzy wsiedli na ten statek, wiedzieli, na co się decydują i dlaczego. Przysięgali wykonać swój obowiązek wobec ich kraju, planety, gatunku, rozwoju, nauki, przyszłości... A ty, ja i my wszyscy jesteśmy tylko kontynuacją tego dzieła. Nie wiedziałaś? – Znow się śmieje i udając zalotną, potrząsa jasnymi włosami. – Czego oni was uczą? Chyba potrzebujemy nowych programów. – Ostatnie zdanie kieruje do dziadka, w ramach zrozumiałego tylko dla nich żarciku, ale nikt nie wygląda na rozbawionego.

– To nie była moja decyzja – upieram się. – Ja tego dla siebie nie wybrałam.

– Nieważne – rozpromienia się kapitan, a jej uśmiech i łagodny głos kompletnie nie przystają do brutalności tego, co mówi. – Istniejesz jedynie po to, żeby być częścią misji. Ty i my wszyscy jesteśmy własnością NASA, ESA i naszych sponsorów z Ventura Communications Incorporated, musimy zatem kontynuować misję, do której zostaliśmy powołani. Spełnianie obowiązku nie jest kwestią

wyboru. Pierwsza obsada statku liczyła osiemset osiemdziesiąt osiem osób. Czteryście czterdzieści cztery płodne pary, cykl narodzin co trzy lata i niemożliwa do przewidzenia liczba śmierci. Populacja na pokładzie liczy obecnie dwa tysiące dwieście dwadzieścia trzy osoby. Przed nami podróż trwająca siedemset lat. Żeby powoływać do życia zdrowe dzieci i zapewnić Venturze przyszłość, musimy robić, co do nas należy. Stabilne Unie i odgórnie zaplanowane rodziny są fundamentami, na których opiera się cała nasza cywilizacja. Zatem to, czy chcesz poślubić mojego syna, dawać mu dzieci i wychowywać je, aż będą na tyle samowystarczalne, żeby móc zająć twoje miejsce, nie jest moją sprawą. Jego też nie, a nawet nie twoją. Nikt nie będzie tego analizował. Tak po prostu jest i koniec dyskusji.

Wpatruję się w nią i czuję, że zaciskam usta.

– Mamy przeżyć całe życie, udając szczęśliwych?

– To taki etap – wtrąca przepraszająco tata. Jest spocony i czerwony, dziwię się, że może w ogóle mówić. – W jej wieku ja też miałem mnóstwo wątpliwości. – Kręci głową, jakby po prostu o tym wspominał, a nie zamierzał mnie upokorzyć.

Kapitan Kat się śmieje, a potem cicho mruży, mruży oczy i przechodzi w tryb flirtu:

– Fakt, Jamie, zawsze byłeś buntownikiem! Nie ukrywam, że mnie to pociągało.

– Mamo! – Ezra wygląda na szczerze wstrząśniętego.

– No co? Wszystkie dziewczyny tak myślały! A zwłaszcza Gracie, ma się rozumieć. Droga, kochana Gracie... – Znów przeskakuje między rolami, prezentując teraz perfekcyjną mimikę kogoś wspominającego bolesną przeszłość. Obserwujemy jej malowniczo przedstawiony smutek. – Gdyby tylko mogła tu być... Wyobrażacie sobie, jaka by była szczęśliwa. Jaka dumna!

Chociaż nie znałam mamy, mam poważne wątpliwości. A sądząc po minie i uniesionych brwiach, dziadek ma podobne odczucia.

Odchrząkuje i odzywa się jakby z daleka:

– Grace też miała wiele zastrzeżeń co do naszej społeczności. A mój drogi przyjaciel, kapitan Lee, uwielbiał filozoficzne i ideologiczne debaty. W Grace często znajdował godną partnerkę do dyskusji.

Kapitan Kat wybucha nieco histerycznym śmiechem.

– Rzeczywiście! Lee był ekscentrykiem.

Dziadek się nie uśmiecha.

– Był wspaniałym człowiekiem i mądrym przywódcą.

Gdy ona otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć, dzwoni jego pod.
Zerka na wyświetlacz i mówi:

– Obawiam się, że będę musiał przeprosić. Jestem potrzebny na dole. Bardzo mi przykro i dziękuję za zaproszenie, pani kapitan. – Wstaje, lekko się kłania, a potem wychodzi.

Ona nie odrywa od niego wzroku, a usta wciąż ma lekko uchylone, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Gdy drzwi się za dziadkiem zamykają, dziwnie chichocze, a potem zwraca się do swojego talerza, tak jakby nas tam nie było.

– Lee i te jego idiotyczne fora, kluby dyskusyjne i Bóg jeden wie, co jeszcze! Ludzie strzępili języki po to tylko, żeby dochodzić wciąż do tego samego wniosku: będzie jak zawsze, bo to jedyny sensowny sposób życia. Nic się nie da zmienić. Każda zmiana może naruszyć naszą cywilizację i zagrozić jej. Nieważne, co sądzi Joshua, na statku nigdy nie było takiego chaosu i tylu podziałów, co za rządów kapitana Lee. Dobrze o tym wiesz, Jamie. – Tata postanawia w ogóle nie reagować. – Rzecz w tym, że odkąd straciliśmy kontakt z Ziemią, jesteśmy zdani na siebie i prawdopodobnie będzie tak przez następne dwieście sześćdziesiąt dwa lata. Bierzymy na siebie odpowiedzialność za przetrwanie naszego gatunku. Obowiązkiem każdego jest uczynienie z tego życiowego priorytetu.

Nic nie mówię i przyjmuję jej słowa jak opadający kurz. Obowiązek. Misja. Wypełnianie zadania, do którego zostaliśmy powołani. Do tego się to sprowadza, mimo czasu, który poświęcają na wmówienie nam, jakimi jesteśmy szczęściarzami, wybranymi do spełnienia niezwykłej misji i zaszczyconymi zesłanym przez Boga zadaniem, dzięki któremu tworzymy nową siostrzaną galaktykę.

Jakby słyszała moje myśli. Rozgląda się, jakby się obudziła z głębokiego snu i z fałszywym uśmiechem wraca do zwykłej roli.

– Jesteśmy tutaj gospodarzami. Jesteśmy wiadomością skierowaną do istnień, które mogą się znajdować we wszechświecie. Powołujemy do

życia ludzi, którzy...

Ale ja się już nasłuchałam. Odsuwam krzesło i rzucam serwetkę na stół.

– Dziękuję za kolację, ale muszę już iść.

– Seren! – krzyczy piskliwie moja siostra. – Nie możesz tak po prostu wyjść!

– Muszę iść do pracy – kłamię. – Zupełnie zapomniałam.

– Ależ skarbie, nie odchodź! – Ezra tłumi ziewnięcie, odchyła się na krześle i dyskretnie pokazuje mi środkowy palec.

Poza nim wszyscy milczą, Pan i Cain gapią się na mnie, a tata szura krzesłem, jakby też zamierzał wstać. W końcu odzywa się kapitan Kat:

– Są tacy, którzy tu nie przetrwają, dobrze o tym wiesz. Najczęściej to ci najbardziej zbuntowani.

Ale ja i tak wychodzę.

Rozdział 9

Nie mam pojęcia, jak tu trafiłam. Platforma Produkcyjna nr 6, wiem, że go tu znajdę i rzeczywiście, widzę go, a on mnie. Jest zaskoczony, a ja się zastanawiam, czy powinnam była przychodzić, zwłaszcza że, kiedy się do mnie zbliża, ogląda się przez ramię.

– Cześć. Co tu robisz?

– Chyba... Chciałam cię zobaczyć.

Reaguje dziwnie: przez chwilę mi się przygląda, bardzo poważnie, potem się trochę uśmiecha, następnie znów poważnie, a wreszcie mówi:

– Kurczę, Seren... – Kręci głową. Cicho warczy, sam do siebie, tak jakby był... Nie wiem, totalnie sfrustrowany? Wtedy reaguję:

– W porządku. Pójdę do domu, niepotrzebnie przyszłam.

Dopiero wtedy łapie mnie za rękaw i prosi:

– Zostań.

Więc zostaję.

Ma jeszcze coś do zrobienia przed końcem zmiany, więc idziemy do wielkich podwójnych drzwi, wciska czerwony guzik, one się otwierają i znajdujemy się w pomieszczeniu, w którym jest prawie całkiem ciemno i dziwnie pachnie, jakby wymiocinami, ale słodziej. To najcieplejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłam, a dookoła rozlega się ciche gdakanie.

– Kury – uprzedza pytanie.

Idziemy między klatkami z setkami tysięcy kur, a co jakieś sto metrów pali się jedynie słaba żarówka, dlatego prawie nic nie widzimy, może poza odbiciem światła w ich czarnych, paciorkowatych ślepkach albo refleksami na piórach. Nagle poraża mnie smutek, bezdenny, bolesny, bo celem ich istnienia jest znoszenie dla nas jaj, dawanie mięsa i rozmnażanie się co jakiś czas, żeby powstało więcej kur, a wszystko to w ciemnej metalowej puszcze unoszącej się w kosmosie. Patrzę na Doma, który zatrzymuje się przy jednej klatce, otwiera ją, sięga w głąb i wyjmuję kurę, a potem, trzymając ostrożnie, wyciąga rękę w moją stronę. Dotykam ptaka po raz pierwszy w życiu. Jest cudowna.

– Wczoraj patrzyłem na Huxley-3 – mówi. – Na Tarasie Widokowym. Myślałem, że może przyjdiesz.

Uśmiecham się.

– Tak? Ale mogłeś przecież... zadzwonić.

– Myślisz? – Śmieje się cicho i kręci głową. – Mówiłem już, że nie powinienem robić takich rzeczy. W sensie dzwonienia do ciebie. – Przygląda się mojej twarzy, a ja uparcie się uśmiecham.

– Ale w zasadzie dlaczego? – pytam. – Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, a potem kiwa głową.

– W sumie tak. Dlaczego nie mógłbym zadzwonić do przyjaciółki i spytać, czy może miałaby ochotę przyjść popatrzeć na naszą sąsiadkę planetę.

– No właśnie – uśmiecham się.

– W takim razie może następnym razem tak zrobię.

– A jeśli ja mam ochotę zobaczyć mojego przyjaciela pod koniec jego zmiany, nie mogę po prostu do niego wpaść?

– Nie widzę żadnych przeszkód! – Też się uśmiecha i nagle uświadamiam sobie, jak szybko zapominam o wszystkim poza nim, nawet kiedy wkoło jest tak strasznie. Zauważa jakiś cień na mojej twarzy, bo pyta:

– Kiepski dzień?

– Bywały lepsze.

– Opowiedz.

– Mam dość tego miejsca.

– Zdarza się – przyznaje i kiwa głową. Przez cały czas głaszcze kurę, a potem delikatnie przekłada ją z ręki do ręki, żeby mi pokazać, jak stabilnie trzyma głowę, nawet jeśli się porusza jej ciałem. Oboje się śmiejemy.

– Powinnaś być jak ta kura – podpowiada. – Rób swoje, bez względu na wszystko.

W kurniku jest tak ciepło. Śmierdzi, ale jest ciepło. Nigdy dotąd się tak nie czułam i muszę z sobą walczyć, żeby się nie położyć, bo ciepło i wszechobecne ciche gdaknie sprawiają, że robię się śpiąca. Wyciągam rękę, muskam kurę po jedwabistych skrzydłach i chciałabym się w nich

zanurzyć. Dotykam palcami Doma, ale tylko na sekundę, potem zabieram rękę.

Wzdycham, bo nie chcę pokazać, jakie to na mnie zrobiło wrażenie.

– Jak tu przyszedłam, byłam wściekła, a teraz już prawie nie pamiętam, o co mi chodziło.

Wybucham śmiechem, a ja czuję – albo sobie wyobrażam – że jego oddech owiewa mi usta.

– To już nie ma znaczenia. I tak nic nie zmienisz, więc po co się tym przejmować?

Wychodzimy na Platformę.

– Co to? – Zauważam w jego ręce pomarańczową plastikową torbę.

– Nic – odpowiada i widzę, że nie chce mi pokazać, więc zwalniam, a potem staję. Odwraca się, a kiedy to robi, poważnie patrzę mu w oczy. – Naprawdę nic. – Za plecami przekłada torbę do drugiej ręki. – No dobrze, to są martwe.

Zaciskam usta.

– Co martwe?

– Kury. – Patrzy niemal przepaszająco. – Mamy pewien procent... odrzutów.

– Odrzutów?

Wzrusza ramionami i patrzy na podłogę.

– Niektóre po prostu... umierają.

– Ze starości?

– Nie zawsze. – Uśmiecha się ze smutkiem. – Staramy się, ale prawda jest taka, że nie jest im tu łatwo.

Wychodzimy na ciemną Platformę Produkcyjną nr 6 i idę za nim do koszy na śmieci. Nagle się odzywa:

– Uwielbiam pogłós w tym miejscu. Fajny, nie? – Unosi brwi. – Myślisz, że brzmię tu bardziej seksownie?

Marszczę czoło, bo odczuwam nagły wystrzał adrenaliny.

– Dlaczego echo miałoby być seksowne?

– W sumie nie wiem. – Oboje się śmiejemy, potem ja prowokuję kontrolowane zderzenie, on robi to samo i niemal omdleam w ciepłe, którym emanuje. Wtedy słyszę głos.

– Cześć, Seren. – Odwracam się i widzę Grahama, który pracuje z moim tatą i właśnie nas minął, ale zatrzymał się i marszczy czoło. – Szukasz Jamiego?

Zupełnie nie wiem, co powiedzieć, ale interweniuje Dom:

– Tak, ale powiedziałem jej, że ma wolne, więc właśnie wraca do domu. – Patrzy na mnie i wręcz odrobinę kiwa głową, żebym potwierdziła jego wersję.

Patrzę na niego jak zaczarowana i prawie zapominam, że muszę zareagować. Wreszcie zmuszam się do powiedzenia:

– Tak właśnie było.

Macham do Grahama i odchodzimy, chociaż on nie ruszył się z miejsca i wciąż na nas patrzy, na tyle znacząco, że czuję ciężar jego wzroku, więc odwracam się tuż przy drzwiach, a on wpatruje się we mnie zmrużonymi oczami, marszczy czoło i pociera policzki.

Okazuje się, że Dom mieszka w Zachodniej, więc idziemy, ale każde z nas zajmuje się myśleniem o tej sytuacji z Grahamem i zastanawianiem się, czy to na pewno dobrze, że jesteśmy widywani razem. Kiedy docieramy, w przejściu nikogo nie ma, więc chyba niezbyt subtelnie staję obok Doma, rozglądamy się po pustym korytarzu, a on wstukuje kod wstępu do swojej sali. W środku podnosi z podłogi gitarę, a gdy drzwi się za nami zamykają, odwraca się do mnie z uśmiechem.

Znajdujemy się w kajutach takich jak wszystkie: koje przymocowane do ścian, między nimi półki, w każdej wnęce lampka. Z wentylatora pośrodku sufitu zwisa rozkołysany metalowy ptaszek. Jest tu siedem innych łóżek, ale wszystkie puste.

– Są w pracy – odpowiada na niezadane pytanie. – Wejdz i siadaj. – Zgarnia ubrania ze swojego łóżka.

Zerkam, ale nie ma innego miejsca, więc siadam powoli, wciąż nieprzekonana, czy naprawdę zostanę, bo serce tak mi wali, że może po prostu ucieknę albo wybuchnę. On siada przede mną na podłodze i zaczyna stroić gitarę, oboje przez jakiś czas milczymy. Opieram się o ścianę i patrzę na niego, wsłuchuję się w melodię, którą gra, śpiewa coś bardzo cicho, ale słodko, tylko odrobinę głośniejsze niż poziom słyszalności, a kiedy wpada mi w ucho moje imię, milknie:

– Nie powiedziałaś mi, co robiłaś dzisiaj wieczorem.

– No bo... Nie wiem. Chyba nic... W każdym razie nic miłego.
Zaczyna znów śpiewać.

– Jest pełna tajemnic...

Śmieję się.

– Nie o to chodzi. Po prostu... Nienawidzę życia. Naszego. Byłam u kapitan Kat.

Przestaje grać.

– TEJ kapitan Kat?

Wzruszam ramionami.

– A jest inna? Mam nadzieję, że nie, jedna zupełnie wystarczy.

– Znasz ją?

– Jasne, jej syn jest moim...

– Partnerem życiowym?

Gapię się w podłogę i tylko robię minę, a Dom się śmieje.

– Nie wyglądasz na bardzo szczęśliwą z tego powodu.

– A ty byś był?

Dalej się śmieje.

– No cóż, wygląda trochę... lizusowato.

Kiwam głową.

– Zdecydowanie jest lizusem. Ale to tylko jedna z jego wad. – Ze śmiechem uderza w struny. Znowu milczymy przez jakiś czas, ale potem pytam: – Skąd masz gitarę?

Uśmiecha się.

– Na statek wsiadło czterdzieści siedem gitar. Trzydzieści już się do niczego nie nadaje i nie da się ich naprawić. Zostają trzydzieści cztery, a ja jestem jednym ze szczęśliwców.

– Pytam serio, jak ją zdobyłeś?

– Mój pradziadek, dziadek i tata dobrze grali, a ja ją po nich odziedziczyłem. Naprawdę miałem fart, ale to tyle.

– Mogę zobaczyć? – pytam, a on znowu robi taką minę, że zaczynam się śmiać, wywracam oczami i precyzuję: – Gitarę!

Okazuje się lżejsza, niż myślałam. Kładę ją sobie na kolanach i przyglądam się pięknym bursztynowym plamkom na gładkiej powierzchni. Dotykam rowkowanych strun, podnoszę ją do nosa, żeby się głęboko zaciągnąć i sprawdzić, jak pachnie w środku.

– Z czego jest zrobiona? – pytam. Odwracam się do niego i okazuje się, że przez cały czas na mnie patrzył.

– Z drewna. Z drzew.

Jeszcze kilka razy muskam ją dłonią i dopiero oddaję.

Później już tylko słucham, jak śpiewa, a głównie nuci, do melodii, której nigdy nie słyszałam.

– Co to za piosenka? – pytam.

– Jeszcze nie wiem.

– Jak to? – Aż się podrywam.

– Dopiero nad nią pracuję.

Nie wiem, jak to możliwe, ale nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że ludzie piszą własne piosenki. Aż takie pokopane jest to miejsce. Nie pozwala nam się tego robić, więc myślałam, że nikt nie robi.

Dowództwo nazywa to Ochroną Dóbr Kulturalnych. Chodzi o to, żebyśmy nie stworzyli nic nowego, lecąc miliony kilometrów od miejsca, z którego wyruszyliśmy. Mamy być posłańcami z Ziemi, a nie nowym narodem. Wiem, że nigdy nie zapomnę tej chwili: Dom siedzi przede mną, dotyka palcami strun, przekrzywia głowę, słuchając gitary, jakby to ona generowała muzykę, jakiej nigdy nie słyszał, a on był tylko przypadkowym świadkiem. Czuję, że przenika mnie dreszcz.

– Zimno ci – zauważa, zdejmując kurtkę i mi podaje. Jest (oczywiście) identyczna jak moja, tylko znacznie większa. Tak cudownie otulić się jego ciepłem i zapachem, słodkim, czystym, jak masło na świeżym chlebie, jak coś własnego, tylko jeszcze lepszego. Odczuwam jego spojrzenie, jakby miało fizyczny ciężar. Patrzy na mnie, potem na gitarę i znów na mnie, a to spojrzenie ma jakby fizyczny ciężar. Walczę z dziwną pokusą zdjęcia butów i dotknięcia stopą jego ramienia, przejechania mu palcami po klatce piersiowej i postawienia stopy na kolanie. Czuję, że na mojej twarzy rozlewa się powoli taki uśmiech, jak na jego.

– Domingo?

– Tak?

– Kto jest twoją życiową partnerką?

Przestaje grać, ale nie podnosi wzroku znad gitary.

– Annelise Gutchenmeyer.

Wysoka blondynka, robiąca specjalizację w Medycznym, kapitan drużyny siatkówki, w której grałam, zanim do mnie dotarło, że nienawidzę gier zespołowych.

– Fajnie.

Wzrusza ramionami.

– Pewnie tak.

I milknie.

– Problem w tym... – zaczyna i wygrywa pojedynczy akord, bardzo smutny. – Staram się, ale wciąż nie mogę uwierzyć, że to tak działa. Rozumiesz? Serce wie swoje i tyle.

Kiwam głową i czekam, aż coś doda, ale milczy.

– Czyli twoje... – podpowiadam – nie chce Annelise?

Nic nie mówi, tylko gra najsmutniejszy, najpiękniejszy zestaw nut, jaki można sobie wyobrazić. Oboje obserwujemy jego palce na strunach, a gdy kończy, marszczy brwi i wyznaje:

– Chyba... napisałem to dla ciebie.

– Dla mnie? – Nie podnosi wzroku, tylko kiwa głową. Odzywam się bardzo cicho, bo tak mi podpowiada instynkt. Jakby był zwierzęciem, które łatwo spłoszyć. – Zagraj jeszcze raz.

Ale kiedy już ma zaczynać, rozlega się brzęczyk przy drzwiach, wchodzi dwóch rozwrzeszczanych chłopaków, a my podrywamy się na ich widok i on mnie przedstawia jako przyjaciółkę, ja mówię, że właśnie wychodziłam, oni patrzą na nas ze zmarszczonymi czołami, więc macham na pożegnanie, a on idzie ze mną i chce mnie odprowadzić, ale odmawiam, bo teraz nawet ja widzę, że za bardzo się zbliżyliśmy przekroczenia granicy.

Jestem już prawie w domu, kiedy uświadamiam sobie, że ciągle mam na sobie jego kurtkę.

Rozdział 10

W Zachodniej, niedaleko transporterów, jest miejsce, gdzie można zajrzeć przez podłogę do Produkcji, więc chodzę tamtędy z nadzieją, że zobaczę Doma. I parę razy dostrzegam w ciemności błysk jego włosów, które opadają mu na twarz, gdy na chwilę zdejmuję czapkę. Albo jak się śmieje z czyjegoś żartu. Jak się opiera o trzymetrowy stos skrzynek z jajami, żeby coś napisać na podzie, a ja się zastanawiam, do kogo pisze i żałuję, że nie do mnie.

Ilekcioć mijam w czasie drugiej zmiany drzwi do stołówki w Zachodniej, myślę, że powinien tam być, więc stoję na palcach przy szybie, przyklejam do niej dłonie, podciągam się, przyciskam nos, a serce dosłownie tłucze mi w piersi, gdy pomyślę, że mogłabym go zobaczyć, ale potem ktoś chce przejść i patrzy dziwnie, gdy się oddalam. Za każdym razem, gdy napełniam automaty w pobliżu Produkcji, odczuwam idiotyczne, niemal nieznośne wystrzały adrenaliny, czaruję batonik orzechowy, który trzymam w ręce, żeby był jego, muskam batona Cheeso, którego być może dotkną potem jego usta. Jezu, jakie to żałosne. Nie wiem, jak wyrazić słowami ogrom tej żalosności. Ale nigdy nie było mi tak dobrze.

Któregoś dnia po pracy wracam do naszego mieszkania i zastaję zapłakaną Pan miotającą się nad stosem skarpetek. Odkąd przeszła na urlop macierzyński, ma stanowczo za dużo czasu, a hormony rzucają jej się na mózg, więc nie jestem zaskoczona, że ryczy i interesuję się dopiero, gdy trwa to dłużej niż zazwyczaj.

– Co się stało? – pytam w końcu. Czuję, jak powala mnie sięgające kości zmęczenie po całym dniu w pracy.

– Cain skończył zmianę trzy godziny temu, ale jeszcze nie wrócił...

– Aha. – Wzdycham. – Ale gdyby coś się wydarzyło, Inżynieria dałaby ci znać.

– Wiem. Po prostu chodzi o to, że kiedyś pędził do domu, żeby spędzić ze mną wieczór... – Wyciera nos jedną ze skarpetek, a potem wskazuje brodą na resztę. – Chciałam, żeby wrócił i zastał zacerowane

skarpetki, ale nawet tego nie umiem zrobić dobrze.

– Ale... co? Myślisz, że kogoś ma?

Uderza dłońmi o blat stołu i patrzy na mnie z szałem w oczach.

– Nie myślałam tak aż do teraz! Na litość boską, co się z tobą dzieje?!

– Ze mną?! To ty rozpaczasz, bo twój mąż nie chce lecieć jak na skrzydłach do domu.

Zaczyna autentycznie zawodzić i w końcu robi się z niej taka zasmarkana kupka nieszczęścia, że jest mi jej żal.

– Zawsze próbuję ci pomagać – siąka nosem. – Jak masz jeden ze swoich kryzysów, robię, co mogę żeby ci pomóc, chociaż jest to z góry skazane na niepowodzenie. Nie mogłabyś choć raz wykazać się odrobiną wrażliwości? Chciałabym tylko, żeby ktoś mnie wysłuchał.

Wzruszam ramionami.

– Dobra, przepraszam. Mów. Proszę...

– Chodzi mi o to, że teraz potrzebuję obecności Caina, a czuję się samotna i nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

Nie wiem właściwie czemu, ale żal mi jej. Może dlatego, że po raz pierwszy w życiu sama za kimś tęsknię. Zbliżam się o krok i proponuję:

– Powiedz mu, co czujesz.

Znowu wali w blat i wywraca oczami.

– Nie bądź taka naiwna. Nie wiem, dlaczego w ogóle o tym z tobą rozmawiam. Przecież ty nic nie wiesz o związkach. – Cofam się, bo brakuje mi słów.

– Zaczyna się od tego, że jesteście w sobie zakochani, dobrze się ze sobą czujecie... Ta druga osoba jest jedyna na świecie. Możesz na niej polegać, nigdy cię nie zawiedzie...

– Nie. – Kręci głową. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Krzywię się.

– Aha...

– Oczywiście, że nie! Jeszcze nawet nie zawarłaś Unii!

Kręcę głową.

– Jesteś idiotką. Nie wierzę, że jesteśmy spokrewnione.

Wychodzę z mikroskopijnej kuchenki i mijam tatę, który właśnie staje w przejściu. Pan idzie za mną i wrzeszczy:

– Nie masz prawa mnie oceniać, nigdy! Jesteś tylko żalonym dzieckiem!

– Dziewczynki! – Tata podejmuje daremną próbę interwencji.

Odwracam się w miejscu i staję twarzą w twarz z Pan.

– Nic nie wiesz o miłości. Tak ci do niej daleko, że nawet nie masz pojęcia o jej istnieniu! Nic nie wiesz. Nie chcę skończyć jak ty.

– A właśnie, że chciałybyś! – piszczy, a tata wciąż na nas patrzy. – Wiem to! Żalona dziewucho, przerażona faktem, że twój życiowy partner cię nienawidzi. Ale nie dziwię mu się! Nic a nic! Też cię nienawidzę, a przecież jestem twoją siostrą.

Tata marszczy czoło i patrzy to na mnie, to na nią.

– Ezra cię nienawidzi?

Robię minę.

– Nie zorientowałaś się? No to już wiesz! – syczy Pan. – Jedno drugiego nienawidzi. Całe szczęście, że nie muszą się rozmnażać w tradycyjny sposób, bo nigdy by nie mieli dzieci. – Śmieje się, odrzuca włosy i idzie do swojego pokoju. Jestem tak wściekła, że ruszam za nią.

– Myślisz, że mnie obchodzi, co ten idiota o mnie myśli? Mam go gdzieś. A już na pewno nie chcę jego głupich dzieci. W przeciwieństwie do ciebie nie zajdę w ciążę tylko po to, żeby mieć co zrobić ze swoim żalonym życiem.

– Seren! – Tata przyszedł za nami, stoi w otwartych drzwiach do pokoju Pan i mówi głosem, którego używa, kiedy chce dać do zrozumienia, że żarty się skończyły, ale chociaż ona przez kilka sekund wygląda, jakbym jej dała w twarz i nawet robi mi się żal mojej nienarodzonej siostrzenicy, jestem tak rozwścieczona, że już mi wszystko jedno.

– Nie wyżywaj się na mnie tylko dlatego, że twój życiowy partner jest łajzą, która woli chlać na placu niż spędzać wieczory z tobą.

– Pracuje do późna!

Parskam.

– Taaa, jasne!

Tata powstrzymuje mnie, kiedy chcę wyjść. Kładzie mi rękę na ramieniu, a drugą niepewnie macha między nami.

– O co tu chodzi, dziewczynki?

O ironio, w tym momencie obydwie milkniemy. Dopiero po chwili mówię:

– Wychodzę. – Pan przeszywa mnie jednym ze swoich szyderczych spojrzeń i pyta:

– Spotkać się z Domingiem Suarezem?

Potem staje ze skrzyżowanymi ramionami, a jej oczy rzucają mi wyzwanie. Chyba niezbyt dobrze udaje mi się ukryć szok, więc chcę wyjść jak najszybciej, ale tata zagradza mi drogę. Zaciska mi palce na ramieniu i powtarza:

– Domingo Suarez? Ten chłopak z Hodowli i Rybołówstwa? Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

Wtedy Pan mija nas oboje i zmierza do mojego pokoju.

– Ej! – wrzeszczę i lecę za nią, ale już zdążyła wrócić.

W ręce trzyma jego kurtkę.

Przykłada ją do siebie, jakby przymierzała, uśmiecha się chytrze i zanim zdołam jej wydrzeć ubranie z rąk, stuka palcami w miejsce, gdzie wyhaftowane jest jego nazwisko.

– Znalazłam to, jak sprzątałam jej pokój – wyjaśnia. – Pod poduszką!

Tata powoli się do mnie odwraca i czeka na jakieś wyjaśnienie, a ja w tym czasie desperacko przeczesuję zwoje mózgowie w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym powiedzieć. Ponieważ nie znajduję, śmieję się idiotycznie.

– Było zimno, więc pożyczył mi kurtkę. Nic ponad to.

Tata marszczy czoło.

– Gdzie i kiedy dokładnie się z nim spotkałaś?

Znów się śmieję.

– Kiedy... – zaczynam, a potem odwracam się do Pan. – Co ty w ogóle robiłaś w moim pokoju?

– Gdybyś nie była takim syfiarzem i sama sobie zmieniała pościel, tobym nie musiała tam wchodzić.

Jeszcze nigdy się tak nie cieszyłam na powrót Caina.

– To tylko ja! – woła od drzwi. – Haaaalo?! Gdzie są wszyscy?

Wtedy nurkuję pod ręką taty i znikam u siebie. Trzaskam drzwiami w chwili, gdy rozlega się krzyk Pan:

– Im szybciej się stąd wyprowadzimy, tym lepiej!

Co według mnie jest i tak sporym niedopowiedzeniem.

Nie mam pojęcia, jak mi się udaje przeżyć następny dzień w pracy, bo cały czas to w sobie czuję: częściowo strach, częściowo mdłości. Właśnie się zbieram do wyjścia i parkuję wózek w biurach Konserwacji, gdy Mariana mówi:

– Dyrektor Sherbakov cię do siebie prosi.

Jest to tak przewidywalne, że aż zabawne.

Ona się jednak dziwi.

– Powiesz, o co chodzi?

– O nic, jak podejrzewam – Ściągam z włosów siatkę i mierzwię je trochę przed włożeniem czapki. – To mój dziadek.

U dziadka jest dziwnie, bo ma bardzo duże mieszkanie jak dla jednej osoby. Zajmuje wysokie stanowisko w Dowództwie i mieszka tu, odkąd pamiętam. Wcześniej z babcią. Lianne znam tylko ze zdjęć i filmów, bo umarła na PEST, jak byłam jeszcze mała. Nie pytajcie mnie, co to znaczy PEST, nie wiem, ale na pewno nic dobrego. Skrót oznacza chorobę autoimmunologiczną zdiagnozowaną na Venturze, wywoływaną przez marne jedzenie, brak świeżego powietrza, słońca i takich tam. W końcu ciało się sprzeniewierza przeciwko sobie i samo siebie truje. Dla obserwatora z zewnątrz objawia się to tak, że chory robi się coraz chudszy i chudszy, nieważne, ile je, zupełnie tak, jakby kawałek po kawałku wymeldowywał się z istnienia. Później zaczyna się krwotok i to już jest koniec. Spotkało to także tę kobietę, matkę mojej matki, której nigdy tak naprawdę nie znałam.

Idę do Dowództwa, gdzie mieszkają oficerowie. Panuje tam niepokojąca cisza, wszystkie światelka nad drzwiami, informujące, czy lokator znajduje się w środku, są czerwone, z wyjątkiem zielonej lampki dziadka, na końcu korytarza.

Brzęczyk buczy, dziadek mnie wpuszcza, więc wędruję po mieszkaniu, aż go znajdę. Jest na samym końcu. Ze zmarszczonym czołem wpatruje się w ekran. Nawet się ze mną nie wita, od razu przechodzi do rzeczy:

– Kim jest Domingo Suarez? – Czeka, a cisza, którą powinnam wypełnić, dłuży się, bo nic nie mówię. Wzdycha. – Dobrze go znasz?

Kręcę głową.

– Żyjemy na statku kosmicznym w otoczeniu dwóch tysięcy ludzi, znam w zasadzie wszystkich! To małe miasto, dziadku.

Przygląda mi się uważnie, ściąga czapkę i rzuca na biurko, ale ta się zsuwa.

– Powiem ci, jak wygląda nasza rzeczywistość. Poznajesz kogoś i przez chwilę marzysz, żeby wszystko było inaczej, ale nie jest i nie będzie, szybko się o tym przekonujesz. Jednak oboje żyjecie dalej. – Wzdycha. – Musisz pamiętać, jaki masz cel, Seren. Nie spuszcza z oczu piłki.

– To znaczy? – Idę do luku i wyglądam, starając się zapanować nad pełnym poczucia winy uśmiechem, którego nie mogę usunąć z twarzy.

Podchodzi i kładzie mi dłonie na ramionach. Są ciężkie i uginam się pod ich ciężarem, jakby wylądowała na mnie spadająca gwiazda.

– Jesteś moją wnuczką. Poślubisz syna pani kapitan. Pod wieloma względami możesz być uznana za symbol całej misji.

– Symbol? Jezu... – Widzę w naszym odbiciu w szybie, że zmarszczył brwi. – Przepraszam. Ale nie jestem symbolem niczego. A już na pewno nie tej głupiej misji.

Puszcza moje słowa mimo uszu.

– Ty, twój mąż i wasze dzieci, czy chcesz tego, czy nie, staniecie się symbolem podróży Ventury ku przyszłości.

Odwracam się i patrzę w jego błyszczące oczy i na rozpięty mundur, pod którym widzę podkoszulek i kręgi potu pod pachami.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

– Oczywiście – zapewnia i masuje łysą głowę. – Po prostu teraz musimy trzymać się razem, bardziej niż kiedykolwiek.

– Dlaczego?

Nie odpowiada, skąd. Joshua Sherbakov, Szef Ochrony i mój dziadek, nigdy nie był wylewny, nawet w najlepszych czasach. Ale ponieważ wraca do biurka i się w nie wpatruje, nie widząc go, dotyka czoła, a później zerka przez palce w geście, jakiego nigdy u niego nie widziałam, wiem, że coś naprawdę nim wstrząsnęło, coś, co wiąże się ze mną i może z czymś jeszcze.

– Posłuchaj mnie, Seren. Znasz Ezrę Lomaxa całe życie. Możesz o

nim myśleć, co chcesz, ale przynajmniej cię nie zaskoczy. – Wzdycham ciężko, ale ten dźwięk niemal przeradza się w warkot.

– Otóż to! W tym problem. Nie widzisz tego? – Sprawdzam godzinę na podzie, bo potrzebuję wymówki, żeby stąd wyjść. – Dziadku, naprawdę muszę iść.

Przygląda mi się chwilę, a potem kiwa głową, ale ze smutkiem, jak nie on. Potem prosi jeszcze:

– Poświęć trochę czasu na zastanowienie się nad różnymi sprawami, dobrze? Powinnaś się dogadać z Ezrą. Musisz zrealizować cel, do którego zostałaś powołana. Niepokoisz ojca. I co by powiedziała twoja matka, gdyby się dowiedziała, co robisz? Mamy obowiązki. Są takie rzeczy, które po prostu trzeba zrobić dla rodziny, dla innych. Nie zmuszaj mnie do... – Milknie, opamiętuje się, ale ja się odwracam prawie od drzwi.

– Do czego mam cię nie zmuszać?

Bierze czapkę, nakłada i daje mi znak, żebym wyszła.

– Jestem przekonany, że zrobisz, co należy.

– Tak? – pytam.

Bo ja nie mam takiej pewności.

Rozdział 11

Dzisiaj pierwsza faza planu taty i dziadka, którzy postanowili sprawić, żebyśmy się z Ezrą polubili. Zgodziłam się, bo mnie zmusili, ale nigdy w życiu nie słyszałam o czymś bardziej skazanym na porażkę.

Brzęczek w drzwiach to on.

– Skarbie... – syczy i mnie mija.

– Wyjdź z mojego pokoju! – krzyczę, bo przeraża mnie sam jego widok. Dopiero potem zauważam jego kombinezon, świeżo wyprasowany w kant i włosy, które nie są jak zwykle nawoskowane i rozczochrane w artystycznym nieładzie, tylko na mokro zaczesane do tyłu.

Widzi, że mu się przyglądam, ale mówi tylko:

– Szykuj się. Idziemy na randkę. – Potem stoi i wygląda na śmiertelnie znudzonego, gdy zbieram swoje rzeczy. – Co tak długo? – jęczy po jakichś dziesięciu sekundach, ale równocześnie zaczyna dzwonić jego pod. – Cześć! – odbiera. Nie znam u niego takiego tonu. Wychodzi z mojego pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Jestem gotowa, więc podchodzę, nadstawiam uszu i przeklinam szczelność drzwi. Dociera do mnie tylko jego głos, łagodny, całkiem obcy i nagle uświadamiam sobie również, że kompletnie mnie nie interesuje, z kim rozmawia ani dlaczego. Wkładam kaptur, wychodzę i zastaję go z miną kogoś przyłapanego na gorącym uczynku.

– Dobra, pogadamy później – mówi do poda i rozłącza się.

– Kto to był? – pytam nie z ciekawości, tylko żeby go wkurzyć, ale nie odpowiada. Łapie mnie natomiast za kark i popycha do kuchni, gdzie siedzi tata.

– Dzięki, że mi ją pan wypożyczył – ćwierka, a tata robi pauzę w grze w futbol i niepewnie kiwa głową.

Na korytarzu mnie wyprzedza, idzie jakieś trzy metry przede mną, sprawdza wiadomości na podzie i zachowuje się, jakby mnie w ogóle nie było. Wlekę się za nim i też się zajmuję podem, na którym znajduję na przykład wideowiadomość od Doma. Oczywiście nie mogę się powstrzymać, żeby jej nie odsłuchać (bardzo, bardzo cicho).

– Cześć – zaczyna Dom. – Chciałem... No, nie wiem, mówiłaś, że mogę czasem zadzwonić, więc pomyślałem, że faktycznie. Chodzi o to... – Prawie go nie widać w mroku Platformy Produkcyjnej. – Chyba lubisz muzykę, więc pomyślałem, że może chciałabyś przyjść na występ mojego zespołu. Nie jesteśmy jacyś superfajni, wcale nie. Tak naprawdę jesteśmy chyba do dupy, ale może przypadkiem masz bardzo zły gust. – Śmieje się. – Wyślę ci szczegóły i zrobisz, co będziesz chciała, ale wiesz, jak jest: zawsze miło zobaczyć znajomą twarz w tłumie, jak się z siebie robi idiotę. No a tak w ogóle mam nadzieję, że docenisz to echo, które tu dla ciebie wygenerowałem. – Zanim się rozłączy, patrzy przez chwilę w kamerę poda... Przez moment się zastanawiam, czy przypadkiem nie umrę, jest taki cudowny. Później w myśli wcina mi się Ezra.

– Daj rękę! – warczy.

– Co? Nie!

– Daj mi tę głupią rękę i chociaż raz nic nie mów.

– Nie wiem, czy się zorientowałaś, ale nie jesteś królem.

– Dla ciebie jestem, więc możesz zacząć się przyzwyczajać.

Kiedy to mówi, staje jak wryta i wybucham śmiechem.

– Zgłupiałaś, naprawdę!

Odwraca się i pędzi w moją stronę z wściekłością, a gdy podnosi rękę, jestem pewna, że mnie uderzy, więc wbrew sobie kulę się w środku. Kończy się na tym, że wskazuje na mnie palcem.

– Posłuchaj, droga Seren Hemple – moje imię wypowiada tak, jakby to był żart. – Nawet nie wiesz, jakie miałaś szczęście, że na partnera życiowego dostałaś mnie. Mnie, Ezrę Lomaxa! A ty się tylko rzucasz i jęczysz. Mam tego dość. Tak dość, że brak mi słów.

Ale mnie nie stać na nic, poza kolejnym wybuchem śmiechu, co go rozwściecza, ale trudno, mam to gdzieś.

Idziemy oczywiście na plac, tu nie ma innego miejsca, gdzie można pójść. To wielka, wolna przestrzeń pośrodku statku, gdzie stoi kilka barów, kawiarni i tym podobnych, a na dodatek zsyntetyzowane drzewa w plastikowych tubach, wokół których porozstawiano krzesła. VCI było hiszpańską firmą, więc zdaje się, że cały projekt statku oparli na planie miasta, jakby Ventura była miejscowością, a mieszkańcy

schodzą się na ten plac, żeby miło spędzić z sobą czas. Na jednym końcu jest wejście do auli (gdzie odbywają się zebrania, nabożeństwa i śluby) oraz inne miejsca z wejściami z placu, na przykład kino i drzwi do Kulturalnego. Cztery zasadnicze części statku, Północna, Wschodnia, Południowa i Zachodnia, zostały umiejscowione wokół placu, najpaskudniejsze przedmieścia, jakie w życiu widzieliście.

Przyjechaliśmy transporterem z części mieszkalnej, ale nawet gdy siedzimy już przy stoliku, nadal zajmujemy się podami, a co jakiś czas się rozglądamy i patrzymy na ludzi, którzy z jakiegoś powodu udają, że życie jest piękne, tak jakby tutaj, na statku, było to w ogóle możliwe.

– Co chcesz? – pyta, wachlując się menu z napojami.

– Wszystko jedno – odpowiadam. – Kawę.

– Kawę? – powtarza takim tonem, jakbym zamówiła coś, co można wyłowić z kibla, więc patrzę na niego przez moment, a potem olewam. Nigdy nie traciłam czasu na słuchanie, co ma do powiedzenia, ale teraz mnie potwornie wkurza. Dotąd po prostu gdzieś tam sobie istniał, ale odkąd wiem, że mam z nim spędzić resztę życia, jego obecność stała się nieznośna. Chyba zawsze robił to coś z włosami (odgarnia je na bok i czochra), ale teraz, za każdym razem, gdy to widzę, ze wszystkich sił muszę się powstrzymać, żeby nie zacząć wrzeszczeć.

Potem robi się jeszcze gorzej.

Mój wzrok biegnie w stronę Doma, jakbym wyczuła, że tu jest. Patrzę na niego i dokładnie w tej samej chwili on patrzy na mnie. Zupełnie spontaniczne spotkanie spojrzeń. Następuje ułamek sekundy, w którym uświadamiamy sobie swoją obecność, dziwimy się, a potem odwracamy wzrok.

Bo to nie wszystko: przyszedł z nią. Choć nie widzę twarzy, i tak wiem, że to Annelise. Jasne włosy ma splecione w gruby warkocz, profil wyrazisty, na skórze trochę piegów. Ładna. Mówi, gestykuje, śmieje się. Wygląda na to, że on też by się roześmiał, gdyby nie czuł na sobie mojego spojrzenia, ale ponieważ czuje, uśmiecha się tylko, a potem zaczyna się bawić daszkiem czapki i przesuwając go w górę, a potem w dół; nie widziałam u niego takiego ruchu, więc instynktownie wyczuwam, że robi to, gdy czuje się niezręcznie.

Siadają trzy bary dalej, pod ekranem, na którym leci bez głosu

dokumentalny film o naturze, a z wnętrza dobiega fatalne karaoke. Staram się nie patrzeć w jego stronę, ale okazuje się to niemal fizycznie niemożliwe. Może dlatego, że co jakiś czas on odrywa od niej wzrok i patrzy w moim kierunku, a kiedy to robi, widzę w jego oczach smutek, taki sam, jak ten, który ja odczuwam. Na szczęście Ezra jest albo pogrążony w swoim monologu, albo sprawdza coś na podzie, więc nie zwraca na nic uwagi, aż do chwili, gdy Annelise wstaje i wychodzi, prawdopodobnie do łazienki, a ja odważam się i patrzę wprost na Doma z nadzieją, że zrobi to samo, ale on tylko wyjmuje z kieszeni poda i coś pisze, a mnie się zdaje, że mam na gardle ostrze. Później jednak mój pod ćwierka, dostaję wiadomość i okazuje się, że to od niego.

„Miło Cię widzieć”.

I właśnie wtedy, gdy znów podnoszę wzrok, żeby na niego spojrzeć, Ezra podłapuje moje spojrzenie i ogląda się przez ramię. Dom szybko się orientuje w sytuacji i udaje, że się tylko drapał w policzek i rozglądał. Ezra musi się jednak czegoś domyślać, bo gdy znów na mnie patrzy, krzywi się bardziej niż zwykle.

– Słyszałaś chociaż jedno słowo z tego, co powiedziałem?

– No... – Ale nie chce mi się nawet ściemniać, więc mówię po prostu: – Ogólnie to nie.

Wzdycha.

Udaje nam się wycisnąć jeszcze godzinę, może dzięki temu, że prawie nie rozmawiamy, zresztą karaoke i tak jest zbyt głośne, by cokolwiek słyszeć. Na Doma ośmielam się spojrzeć jeszcze tylko raz, gdy Ezra idzie do toalety, ale nigdzie go nie ma, spędzam więc haniebnie dużo czasu na zastanawianiu się, co mu odpisać i w efekcie nie piszę nic. Ezra odprowadza mnie do domu i wszystko się prawie zbliża do końca, już stoję przy drzwiach i wstukuję kod, kiedy nagle się odzywa:

– Idę z tobą.

Otwieram usta i chcę mu powiedzieć, że nie ma mowy, ale kiedy się odwracam, stoi oparty o ścianę, wykrzywiony jak litera S, oczy ma blade i coś każe mi się na sekundę zawahać. Niestety, ten moment wystarczył, zauważył.

– Prawie się zgodziłaś! – Uśmiecha się i radośnie wskazuje na moją twarz. – Nieźle! Jedna kawa i już nie możesz mi się oprzeć!

Kręcę głową.

– Dobranoc.

Jedną ręką łapie mnie za ramię, a drugą za szyję.

– Chcę dostać buziaka. – Zbliża się i jestem uwięziona między ścianą a nim.

– Kurde, co robisz?! – wrzeszczę. Kładę mu ręce na piersi i odpycham, tak że musi się cofnąć, ale wyraz jego twarzy się nie zmienia, wciąż ma półuśmiech i coś mrocznego w oczach.

– Posłuchaj, Seren, nie zamierzam cię zmuszać, ale chyba oboje się zgadzamy, że w tej sprawie musimy chwycić byka za rogi.

– Chwycić byka za rogi?!

– Czemu ty musisz tak wszystko utrudniać? – W tym momencie bierze moją twarz w dłonie, unosi ją do góry i zbliża usta do moich, szybko, tak że nasze nosy na siebie napierają i czuję jego zęby. Ponieważ żadne z nas nie zamyka oczu, widzę wielką czarną dziurę zlewających się źrenic, jednocześnie głośno oddychamy przez te zmiażdżone nosy i nie wiem dlaczego, ale lekko rozchylam usta, w których natychmiast czuję język, obrzydliwie mokry. Wtedy znów go odpycham, tym razem mocno, walę go w pierś, aż sapie, ale wciąż się śmieje, nawet gdy zamykam za sobą drzwi. Opieram się o nie na chwilę, a myśli mi szaleją i Cain musi mi dwa razy zamachać ręką przed oczami, żebym się ocknęła. Jego pytanie, jak minął wieczór, pozostaje bez odpowiedzi.

Rozdział 12

Domingo przysłała mi szczegółowe informacje o koncercie, a ja dwa dni spędzam na zastanawianiu się, czy iść, chociaż przez cały czas wiem, że i tak pójdę. Tego dnia wieczorem pukam do drzwi Emme i pytam, czy wybierze się ze mną. Chociaż jesteśmy już pełnoletnie, czuję, że jej mama nie będzie zadowolona z naszej obecności w barze, więc mówimy jej, że idziemy popatrzeć na Huxley-3, a ponieważ ostatnio wszyscy to robią, nie jest ani trochę zaskoczona.

Z powodu planety mnóstwo ludzi cały czas siedzi na Tarasie Widokowym, więc w barze jest pustawo, zamawiamy mrożoną herbatę i gadamy, a ja przez cały czas zerkam na scenę, gdzie trwają przygotowania do koncertu.

Opowiadam Emme, że Ezra prawie mnie pocałował, jakbym mówiła o wkurzającym incydencie z pracy albo w ogóle o innej osobie.

- Ale z ciebie szczęściara, nawet nie wiesz! – odpowiada.
- Słyszałaś, co mówiłam? Zaatakował mnie!
- To bardzo emocjonujące.
- Czyli po prostu źle to przedstawiłam.
- Jest namiętny.
- Nie wiem, Em. Myślę, że po prostu mieliśmy strasznego pecha.
- Daj spokój. Ezra jest boski! Nie wydziwiaj, cudownie ci się trafiło!

Łypię na nią spode łba.

– Pamiętasz jego zachowanie, kiedy w zeszłym roku wróciłam do szkoły po chorobie? Czy jednak masz amnezję selektywną?

- No dobrze – przyznaje. – Może był lekko niewrażliwy.
- Nazywanie kogoś psycholem to chyba coś więcej niż lekka niewrażliwość.

– Nieważne, Seren, dla ciebie szklanka jest zawsze do połowy pusta. Przecież mogło być gorzej! Mogłaś dostać Leona!

– Leon jest fajny.

Ale ona już kręci głową.

– Jest dziwny. Przysięgam ci, on się mnie boi. Nawet do mnie nie

podchodzi. Prędeż by skonał, niż rzucił mnie na ścianę, żeby się ze mną całować...

Śmieję się.

– Jest w porządku, daj mu tylko trochę czasu, przyzwyczai się.

Wywraca oczami, a potem zaczyna przesłuchanie.

– No dobra, więc co tu robimy? Czyj to zespół?

– Jednego znajomego.

– Z pracy?

– Tak. Nie.

Marszczy brwi.

– Dziwnie się zachowujesz.

Oczywiście nic jej nie mówię o Domie, a już na pewno, że wzięłam ją tutaj, bo sobie nie ufam: na tym etapie wystarczy jedno jego słowo, żeby było po mnie, bardzo po mnie. Chwilę później widzę, jak wbiega na scenę po dwa stopnie, chodzi, sprawdza różne rzeczy, uśmiecha się do kogoś, kto rozstawia sprzęty, a potem mnie zauważa ponad ramieniem jakiegoś chłopaka.

– Cześć! – Podchodzi i siada obok. – Przyszłaś!

– To jest Emme – wyjaśniam od razu i wskazuję na nią. Wymieniają nad stołem uścisk dłoni, a jej mina wyraża jedynie: „Ale o co chodzi?”

– Fajnie, że jesteś – wita ją, ale zaraz zwraca się znów do mnie, cicho, ale nie dość cicho: – To było dziwne, wtedy, w barze. Chciałem podejść i się przywitać, ale w sumie nie wiedziałem...

Uśmiecham się i wzruszam ramionami.

– W porządku. Przecież oboje byliśmy... No wiesz. Zajęci.

Kiwa głową.

– Właśnie. Tak. Byliśmy zajęci. – Uśmiecha się i widzę, że mu ulżyło. – U ciebie wszystko w porządku?

– W porządku – odpowiadam, chociaż brzmię jak papuga, ale to dlatego, że oparł rękę na siedzeniu między nami i jego palce są blisko mojej nogi, nie mogę się na niczym skupić, zawsze tak na mnie działa, czuję, jakbym się znajdowała poza ciałem.

– To dobrze. – Uśmiecha się powoli. – Pogadamy później?

Wstaje, ale przed odejściem lekko klepie mnie w nogę grzbietem

palców i chociaż to takie nic, z trudem nad sobą panuję, patrzę na niego, na czarne jak smoła, trochę za długie włosy, ciemne rzęsy, usta. Jest tak piękny, mam ochotę się w to jego piękno wtulić jak w świeżą pościel. Myślę o tym, gdy odchodzi, a Emme patrzy na mnie z otwartymi ustami. Wreszcie pyta:

– Przepraszam, ale co TO miało być???

Dzięki Bogu w tej właśnie chwili zespół zaczyna grać i nie muszę odpowiadać, zwłaszcza że grają głośno, więc po prostu go obserwuję. Przysięgam, nie słyszę nawet muzyki, bo jestem zbyt zajęta analizowaniem, jak się nachyla nad gitarą, że lekko mu się unosi podkoszulek na plecach, a nad związanymi w pasie rękawami służbowego kombinezonu widać kawałek skóry. Są dobrzy, on i jego zespół, czyli brat, kumpel z kajuty i jeszcze jeden chłopak z Edukacji; grają, czasem na siebie patrzą, śpiewa głównie jego brat, ale potem, po paru piosenkach, przychodzi kolej Doma. Kiedy myślałam, że on mówiący po hiszpańsku to magia, jeszcze nic nie wiedziałam. Chce mi się umrzeć i wiem, że nigdy już czegoś podobnego nie usłyszę. Znam tę piosenkę, jest wesoła i zwykle śpiewa ją chyba dziewczyna, ale w jego wykonaniu staje się najsmutniejsza na świecie, więc siedzę jak zahipnotyzowana, aż podłapuje mój wzrok i się uśmiecha. Czuję się, jakbym tego doświadczyła po raz pierwszy w życiu.

Piosenka dobiega końca i zaczyna się następna, którą też kiedyś słyszałam, ale nie kojarzę gdzie i dopiero na dźwięk głosu Doma uświadamiam sobie, że śpiewał mi ją tamtego wieczoru; wtedy jeszcze nad nią pracował. Ciekawa jestem, czy ludzie się zorientują, bo jak mówiłam, nie wolno na Venturze komponować własnej muzyki, kręcić filmów ani nic swojego pisać. Teraz, kiedy po raz pierwszy słyszę jego utwór w pełnej krasie, dociera do mnie, ile tracimy.

Oczywiście większość myśli, że to numer z jakiejś z płyty, którego po prostu nie znają, ale Emme jest sprytniejsza i nie daje się zwieść. Dopiero po chwili zauważam, że stoi, nachyla się nade mną i coś mówi.

– Seren, chodźmy stąd. To Naruszenie Ochrony Dóbr Kulturalnych.

– Co???

– To autorska piosenka. – Kręci głową. – Chcę pracować w

Naukowym, nie mogę mieć w papierach NODK-a. Ty też nie powinnaś. Narobi ci to kłopotów.

Wybucham śmiechem, ale wygląda na to, że mówi serio.

– Idź – mówię.

– Nie zostawię cię samej.

– Myślę, że jakoś przeżyję odrobinę muzyki.

– To tylko połowa problemu. – Zerka na Doma. – Nie zostaniesz za długo?

Obiecuję jej wszystko, chociaż nie mam zamiaru dotrzymać słowa. Zostaję do końca i już mam wychodzić, kiedy Dom zeskakuje ze sceny, podbiega do mnie i staje tak blisko, że nie mogę mu nawet spojrzeć w oczy.

– Byłeś świetny – mówię.

Śmieje się.

– Wątpię, ale dzięki.

– Będę już szła, bo źle się to skończy. Tata myśli, że jestem na Tarasie Widokowym.

– Już późno. Chcesz, żebym cię odprowadził? – Przekrzywia lekko głowę, włosy na czole ma wilgotne, policzki zarumienione i bucha od niego słodkie ciepło, w którym mam ochotę się zanurzyć. Oczywiście powinnam odmówić, ale nie mogę, nie jemu, zresztą prawda jest taka, że nawet nie próbuję, zwłaszcza gdy robi takie coś, co czasem mu się zdarza: przygryza lekko dolną wargę, a wtedy nie mogę przestać myśleć o jego ustach.

No więc chociaż oboje wiemy, że nie powinien, idzie za mną. A ja mu pozwalam. Może nawet za sobą prowadzę. Jak zwał, tak zwał, chodzi mi o taki stan, gdy twoje serce całym sobą kogoś wzywa i ciało też, każda cząstka, chociaż głowa dobrze wie, że to się źle skończy.

Odchodzimy już kawałek od baru i wokół nas nikogo nie ma, więc zaczyna mnie wypytywać, co ostatnio robiłam i nie wiem, co powiedzieć, wszystko z powodu tej sytuacji z Ezrą. Nie umiem tego wyjaśnić, ale czuję, że nie powinnam mieć przed nim tajemnic.

Przed drzwiami do mieszkań opiera się o framugę, taki wysoki, smukły, i patrzy na mnie, a ja na niego. Może dlatego, że w tym samym miejscu stał wczoraj Ezra, pytam:

– Wejdiesz?

Nie odpowiada, ale patrzy na mnie poważnie i tak stanowczo, że prawie nie mogę tego znieść. Potem odwraca wzrok i wpatruje się w podłogę.

– Jezu – mówi i szczypie się w czubek nosa. – Nie mogę. Po prostu... nie mogę.

Znow zaczynam walczyć z klawiaturą do wpisania kodu wejściowego, a jednocześnie mówię:

– Jasne. Masz rację. Absolutnie masz rację.

– Nie, Seren, chodzi o to, że...

– W porządku, rozumiem.

A jednak bierze mnie za rękę, za same końce palców, a kiedy się trochę odwracam, żeby na niego spojrzeć, następuje długa chwila, podczas której stoimy całkiem nieruchomo i czuję, jakby przeglądał stronicę książki o mnie, jakbym była opowieścią napisaną w języku zrozumiałym tylko dla niego. Następnie wskazuje głową na klawiaturę, oddycha głęboko i pyta:

– Wchodzimy czy nie?

Tak jak podejrzewałam, tata śpi przed ekranem na ławce w kambuzie, a niebieskie światło Huxley-3, której obraz emitują teraz niemal bez ustanku, pada mu na twarz, więc szybko idziemy do mojego pokoju, otwieram drzwi, a po sekundzie słyszę, jak Dom je za nami zamyka.

– Jamie Hemple to twój tata??? – syczy i widzę po jego minie, że nie może w to uwierzyć. Opiera się o ścianę. – Wiedziałem, że jesteście jakoś spokrewnieni, ale... Jezu, to twój tata? Ja z nim pracuję!

– Wiem. – Marszczę brwi. – I co z tego?

Śmieje się pod nosem, a potem zbliża o parę kroków.

– To z tego, że w środku trzeciej zmiany wślizgnąłem się do pokoju jego córki!

Te słowa, ich brzmienie i znaczenie, kiedy wszystko zostało już dokonane, przesycają powietrze wokół nas jakimś ogniem. Nagle się okazuje, że stanie w odległości jednego kroku i patrzenie na siebie jest najintymniejszą rzeczą, jaka mnie z kimś łączyła.

Może dlatego się odwracam, podchodzę do stacji dokującej w

ścianie i podłączam do niej pod, a potem przeglądam muzykę w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym puścić.

– Śpiewasz czasem po hiszpańsku? – pytam.

– Nie. Znam mało hiszpańskich piosenek. Zresztą hiszpański stopniowo wychodzi z użycia.

– W ogóle nie masz akcentu, gdy mówisz po angielsku.

– Bo chyba jest tak, że wszyscy już brzmimy tak samo. Każdy mówi jak na Venturze i tyle.

Znajduję wreszcie idealną piosenkę i włączam.

– Możesz sobie mówić jak na Venturze, ja podziękuję.

Śmieje się.

– Niech ci będzie. – Potem dodaje: – Skąd znasz tę piosenkę? Uwielbiam ją!

Uśmiecham się i w tym momencie czuję go za plecami, bliskiego i ciepłego. Kładzie mi rękę na ramieniu, zsuwa w dół, po chwili mnie obejmuje i przyciąga do siebie.

– Dzisiaj... – zaczynam mówić, ale nie mogę. – Byłeś niesamowity. Jakby... – Ale nie wiem, jak to opisać, zresztą, jego oddech we włosach uniemożliwia mi nawet myślenie, więc o mówieniu mogę zapomnieć.

– Seren? – szepcze. – Chciałbym ci coś powiedzieć.

Od jego bliskości kręci mi się w głowie i z trudem udaje mi się cokolwiek wykrztusić.

– Co takiego?

Ale nie odpowiada, nie musi, wystarczy, że odwracam się do niego przodem, a on kładzie mi dłoń na policzku, muska kciukiem moje usta, raz, patrzy na nie, dwa razy, i czuję, że zadaje mi bez słów pytanie, czy chcę, żeby mnie pocałował. W mojej głowie rozbrzmiewa jedno wielkie „Tak”, głośnie „tak”, więc jestem pewna, że je słyszy, wyczuwa jego pulsowanie pod moją skórą. Uśmiecham się i myślę, że też się uśmiechnie, ale nie robi tego, tylko przygląda mi się niesamowicie poważnie, obezwładniająco piękny w półmroku mojego pokoju, jakby wciąż sprawdzał. Wydaje się, że już jest pewny, ale następuje jeszcze chwilowe zamieszanie, bo on jest wysoki, a ja niska, on się nachyla, ja staję na palcach, wyginam plecy w łuk i chyba niemożliwe jest

pragnienie czegoś tak bardzo, jak ja w tej chwili pragnę jego.

I nagle się dzieje: zaczynamy się całować. Wiem, że do niego należę, że to się nigdy nie zmieni. Zawsze byłam jego.

Znajdujemy się w świecie, w którym nie ma śladu dnia powszedniego. Jest tylko próżnia naszego własnego wszechświata. Jest tylko pocałunek. Jego smak, pierwszy łyk, na który czekałam całe życie tylko po to, żeby się przekonać, że zawsze wiedziałam, jaki będzie słodki. Wystarczy, że przesuwa kciukiem po moim policzku, a ja już wiem, że po to przyszedłam na świat.

Odsuwa się trochę i zabija mnie, bo patrzy mi w oczy, a potem opiera czoło na moim i mówi:

– Przepraszam, moja wina. Nie powinienem był.

Przełykam ślinę, żeby zlikwidować pulsowanie, które czuję w gardle.

– Dlaczego?

– Bo nie możemy w to brnąć. Wiesz o tym.

– Więc dlaczego ja tego tak bardzo chcę? – Przesuwam dłonią po wilgotnej od potu koszulce, słyszę jego ciężki oddech i wiem, że to z mojego powodu.

– Masz pojęcie, jak mi wszystko utrudniasz? – pyta zachrypniętym głosem i kręci głową.

Wtedy dopiero zauważam gęsią skórę na jego ramionach, wystarczy, że widzi, jak wsuwam ręce pod rękawy jego podkoszulka.

– Mam twoją kurtkę. Chcesz? – Kiwa głową, ale kiedy robię ruch, żeby po nią iść, nie chce mnie puścić (ja też nie chcę, żeby to zrobił) i oboje się z tego śmiejemy. – Wpakowała mnie w niezłe kłopoty – opowiadam, gdy już idę do komody poszukać jej pod tylną ścianką.

– Tak? – Niemal podnosi głos, dopiero potem zakrywa usta, bo przypomina sobie, że musimy mówić szeptem. – Jak to?

Znajduję kurtkę pod całym stosem rzeczy i niosę mu, przyciskając do piersi.

– Moja siostra powiedziała o niej tacie – wyjaśniam. – Ale to nic takiego.

Siada na brzegu mojego biurka i podnosi kciuk do ust, a ja przez chwilę myślę, że zacznie obgryzać paznokiec, choć nigdy nie widziałam,

żeby to robił, ale tylko dotyka kostką zębów, co i tak wystarczy, żebym poczuła się źle.

– Jesteś pewna?

Wzruszam ramionami.

– Na tyle, na ile mogę.

Wkłada kurtkę przez głowę, a kiedy znów widzę jego twarz, parska śmiechem przez nos, ale bez patrzenia w oczy.

– Jak tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że będą z tobą kłopoty, z których się nie wygrzebię.

Udaję, że chcę go walnąć, ale on chwyta mnie za pięść, którą wymachuję, a potem także za drugi nadgarstek i znów mnie całuje, miękko, delikatnie i długo, zapominam o wszystkim, a już na pewno przestaję się tym przejmować. Kiedy kończymy pocałunek, przytrzymuje mnie przy piersi, a ja słyszę bicie serca, oddech i jest mi cieplej niż kiedykolwiek wcześniej, podnoszę głowę, on swoją opuszcza i patrzymy na siebie uśmiech w uśmiech.

– Robiłeś to kiedyś? – pytam najcichszym szeptem, nie do końca pewna, czy chcę znać odpowiedź.

Uśmiech powoli znika, a on marszczy brwi w sposób, jakiego wcześniej u niego nie widziałam.

– Może coś podobnego, ale na pewno nie było tak.

I wtedy nagle wszystko podskakuje. Rozlega się zgrzyt, jakby cały świat wzdychał, a może jęczał. Oboje tracimy równowagę i lecimy na ścianę, a kilka par moich złożonych w kostkę ubrań spada z półek na podłogę. Nasłuchujemy dochodzących z oddali dźwięków, które brzmią jak nawoływania jakiegoś zwierzęcia albo jakby przez statek szedł olbrzym.

– Co to? – pyta z szeroko otwartymi oczami.

Ale ja wiem, nawet nie muszę się zastanawiać.

– Orbita. Weszliśmy na orbitę Huxley-3.

Kiwa głową i się uśmiecha.

– Masz rację.

Rozlega się brzęczyk przy moich drzwiach i oboje podskakujemy. Patrzymy na siebie, ale nie mam lepszego pomysłu niż włączyć interkom.

– Tak?

– O, jesteś. To świetnie, martwiłem się. Czulaś to?

Przez chwilę nic nie mówię.

– Pewnie. Orbita, tak?

– Zmiana grawitacji. Wszystko jest na ekranach. – Słyszę, że jest rozemocjonowany. – Wpuścisz mnie?

Patrzemy na siebie z Domem wytrzeszczonymi oczami.

– Teraz nie, jestem rozebrana. Idę już spać. Możemy porozmawiać jutro?

Zostawiam kanał otwarty, ale zapada cisza. On nasłuchuje i ja nasłuchuję. W końcu wzdycha.

– No dobrze. – Jest tak rozczarowany, że robi mi się smutno. – Chcieliśmy dzisiaj z dziadkiem o czymś z tobą porozmawiać. Przyjdzie jutro wieczorem.

Nie waham się.

– Jasne. Dobranoc, tato.

– No to dobranoc.

Wyłączam interkom i Dom już zamierza się odezwać, ale kładę palec na ustach i kręcę głową. Wiem, że tata ciągle stoi po drugiej stronie drzwi. Czuję jego obecność. Dopiero po jakichś dziesięciu sekundach słyszymy, że zasuwiają się drzwi do jego pokoju i wiem, że teraz jesteśmy sami. Odwracamy się do siebie i splotamy palce.

– Jak myślisz, o co chodzi twojemu dziadkowi? – pyta Dom.

Mam parę pomysłów, ale wzruszam ramionami.

– Co za różnica.

– Ale... Czy on nie jest szefem ochrony?

– No i?

Śmieje się.

– Przyznaję, że trochę się boję.

– Nie bój się.

– Posłuchaj – mówi. – Wierzysz, że nie chcę ci narobić żadnych kłopotów?

– Tak. – Nachyliam się do niego i czuję, że to prawda.

Całą noc rozmawiamy, oglądamy przekaz z Huxley-3 na moim ekranie i całujemy się tak, że aż boli. Prawie się zaczyna pierwsza

zmiana, gdy w końcu godzimy się z faktem, że musi iść, a gdy wychodzi, kładę się na koi i zasypiam; zwijam się w kłębek i lecę w niebyt. Wiem już, co to znaczy się zakochać.

Rozdział 13

Jasne, to była tylko kwestia czasu. – Nie przychodzi mi do głowy inna odpowiedź, gdy siedzę tego wieczoru w kambuzie, a tata przekazuje wiekopomną wieść, która brzmi oczywiście tak, że zostaliśmy przeniesieni i musimy się wyprowadzić. On ma status SD (Samotnego Dorosłego), ja też, a Pan i Cain przeprowadzą się do własnego mieszkania, kiedy urodzi się dziecko.

– Mogłabyś rozważyć... – zaczyna, ale ponieważ wiem, co chce powiedzieć, kręcę głową, zanim choćby na mnie popatrzy.

– Nie wylewaj dziecka z kąpielą, Seren – włącza się dziadek. Zdjął czapkę i trzyma ją pod pachą, żeby podkreślić, że rozmawia z rodziną, a nie z niesubordynowanymi mieszkańcami statku.

– Co to ma znaczyć? – pytam, co sprowadza na mnie jedno z jego spojrzeń.

– W twojej obecnej sytuacji rozsądnie byłoby przyspieszyć Unię i wyjść za mąż wcześniej niż później. Wyszło to na dobre twojej matce i wielu innym kobietom na statku. W twoim wieku nie powinnaś zbyt długo mieszkać w kajutach.

– Bo?

Obciąża mankiety koszuli i przemierza tam i z powrotem mikroskopijną kuchenkę jak zwierzę w klatce szukające ucieczki.

– Bo... Panują tam specyficzne zwyczaje. Powiedzmy, że życie samotnej osoby nie wpływa dobrze na morale. Na Venturze, jak dobrze wiesz, kultywujemy życie rodzinne. – Jedną rękę kładzie na oparciu krzesła taty, a drugą na stole. – Masz wiele pięknych wspomnień związanych z tym miejscem, Jamie, wiem, że nie będzie ci łatwo.

Tata kiwa głową, zaciska palce na grzbiecie nosa i trochę się boję, że się rozplacze, ale nie, tylko się zastanawia, jak mi przekazać drugą część wiekopomnej wieści. Chyba zdaję sobie z tego sprawę, bo nagle słyszę swój głos:

– A co z tobą? Gdzie ty zamieszkasz?

Wymieniają z dziadkiem spojrzenia; wiedzą coś, o czym zaraz ja się dowiem i co na pewno mi się nie spodoba.

– No cóż. – Wpatruje się w swoje dłonie. – Jak może pamiętasz, jakiś czas temu rozmawialiśmy o tym, że złożę podanie o przekierowanie.

– Zrobiłeś to?

Kiwa głową.

– Zgłosiłem Olivię Wren i dostałem zgodę.

– Olivia Wren? – Ta babka z Kulturalnego, która ma dwoje małych dzieci, a jej mąż zmarł na PEST i tata ostatnio zaczął z nią spędzać więcej czasu? Może za bardzo się zajmowałam swoimi sprawami, żeby dodać dwa do dwóch. – Czyli coś między wami jest?

– Tak. – Uśmiecha się. – Jest, więc wprowadzam się do jej mieszkania.

– Dobrze, więc mam pytanie: gdzie jest sprawiedliwość? Jakim cudem ty masz wybór, a ja nie?

– Bo... – Śmieje się i znów szczypie w nos. – Już spełniłem obowiązek w programie prokreacyjnym, Olivia także, oboje straciliśmy naszych partnerów, więc...

– Unia z mamą i my to tylko „spełnienie obowiązku”?

– Nie wygaduj bzdur, Seren. – Dziadek wkłada czapkę i szykuje się do wyjścia.

Tata patrzy na mnie zbolałym wzrokiem.

– Proszę cię, skarbie...

– Nie mów do mnie „skarbie”! – Wychodzę z kambuza i idę do swojego pokoju, a potem zamykam za sobą drzwi, może po raz ostatni. Prawie od razu naciska brzęczyk. Włączam interkom i mówię:

– Idź stąd. – Potem się rozłączam. Dzwoni. Ignoruję go. I znów. Próbuję nie zwracać uwagi i kładę się na łóżku, ale dzwoni tyle razy, że w końcu się poddaję i odbieram. – Co?!

– Wpuść mnie. Chciałbym dokończyć tę rozmowę.

– Mam dość rozmawiania.

Słyszę, jak wzdycha.

– Wiem, że ciężko ci myśleć o mnie w parze z kimś innym, bo... – Znów wzdycha. – Bo mama powinna tu być. Ale jej nie ma. A ja mam dopiero trzydzieści osiem lat. Przede mną za dużo czasu, żeby uznać życie za skończone.

– Ono się skończyło w dniu twoich narodzin – informuję go i wyłączam interkom, chociaż wali pięściami w drzwi, gdy do niego dociera, że przerwałam połączenie. Czekam, aż znowu zadzwoni, ale nie robi tego.

Kładę się, odwracam do ściany, ale nie płaczę, chociaż mogłabym. Nie chcę, to bez sensu. Oglądam za to zdjęcia mojej prababci, prostuję lekko podwijające się rożki. Prababcia Bea, pięciolatka, w sukience, z nogami piegowatymi od piasku. Z Ziemi najlepiej pamiętała między innymi plażę, opowiadała, że tam czuła się naprawdę u siebie.

Pora lunchu, siedzę w stołówce Północnej, śmierdzi tu strasznie, bo Dzień 22 to dzień potrawy z ryb, której nikt nie lubi, ale oczywiście nic nie można z tym zrobić, bo zawsze jadamy w jednej z czterech stołówek, zależy, gdzie pracujemy albo mieszkamy, a w każdej obowiązuje dokładnie to samo, odgórnie narzucone menu, niezmiennie od początku i do końca. Jedyne, czym ta stołówka różni się od Wschodniej, w której jadałam dotychczas, to że przykręcone do podłogi stoliki nie są tak upaprane zaschniętym jedzeniem, bo tam stołuje się Edukacja i rodziny z dziećmi, a w Północnej głównie Samotni Dorośli, którzy nie pasjonują się aż tak jak dzieciaki rozrzucaniem jedzenia wkoło.

Nieważne, siedzimy w stołówce, siorbiemy obrzydliwą potrawkę, mamy nadzieję, że nikt dziwny się do nas nie dosiadzie, a Mariana nagle mówi:

– Chodź ze mną dzisiaj na imprezę. – Brzmi to jak rozkaz.

Najpierw mrugam z zaskoczeniem, ale potem wzruszam ramionami.

– Dobra.

– Nie musisz najpierw spytać tatusia? – syczy i dodaje: – Nie wiem, jak ci się udaje jeszcze z nim mieszkać.

– Już niedługo.

– Dobrze. To jedyne sensowne rozwiązanie.

– A co z twoim życiowym partnerem? – pytam i uświadamiam sobie, że jeszcze nigdy nie spytałam.

– Nic.

– Bo co? Nie żyje?

Śmieje się, ściąga z włosów gumkę i przeczesuje je dłonią, a ja po

raz pierwszy zauważam w nich niebieskie pasmo.

– Żyje. Po prostu... jeszcze nie jesteśmy gotowi. I przepraszam, jeśli cię urażę, ale cały ten system to jakaś bzdura.

– Naprawdę uważasz, że tylko ty tak myślisz? Błagam. – I dalej przeżuwałam rybną papkę, a ona się ze mnie śmieje.

Kończymy zmianę i idziemy prosto na imprezę, a po drodze korzystamy z transporterów, bo do świetlicy przy kajutach w Południowej jest kawałek drogi. Ponieważ dotąd mieszkałam z rodziną, nie widziałam wielu świetlic, ale okazuje się, że nie różnią się bardzo od naszego kambuza: stoliki przykręcone do podłogi, krzesła też, a na ścianach ekrany, tyle że oczywiście ta jest większa, a aktualnie jest tu tyle osób, że nie można się przebić do środka. Jest strasznie głośno, ale Mariana mówi, żebym się nie dziwiła, bo to impreza Medycznego, a wiadomo, medyczni są świrami. Jest kilka beczek z piwem. Pijemy ze śliskich od piany metalowych kubków i gadamy z chłopakami, których znam z widzenia, gdy nagle Mariana woła:

– *Hola, primo!* – Potem wyciąga kogoś za rękę z tłumu i mówi do mnie: – Seren, to mój ulubiony kuzyn, Domingo. – Następnie wdaje się z jakimś chłopakiem w dyskusję na temat tego, czy ma ochotę tańczyć, czy nie, a ja z Domem zostajemy sami i patrzymy na siebie zdumieni.

– Co ty tu robisz? – pyta.

– Przyszłam z Marianą. Jesteście kuzynami? Wow, fajnie! A ty co tu robisz? Czyja to w ogóle impreza?

Ma dziwną minę.

– W sumie nie wiem. Chyba niczyja.

Marszczę brwi.

– Czemu robisz taką minę?

– Nie robię. – Ale potem, kiedy nikt nie widzi, bierze mnie za rękę i ścisza głos. – Dobra, może. Chodzi o to, że...

– Seren? – woła gdzieś zza moich pleców Mariana i dotyka mojego ramienia. – Poznaj jubilatkę, Annelise.

Odwracam się i widzę ją tuż przed sobą, jedną z tych piegowatych, ślicznych dziewczyn, którym udaje się – na przykład teraz – wyglądać dobrze w codziennym podkoszulku i z delikatną warstewką potu na twarzy, mało tego: uśmiecha się do mnie i całuje mnie w policzek, jest

naprawdę strasznie miła i na dodatek ładnie pachnie.

– Wszystkiego najlepszego – udaje mi się wykrztusić.

– Dzięki! Widzę, że Dommy się o ciebie zatroszczył.

– Ja... – Nie mam pojęcia, o kim mówi, więc w końcu w ogóle nie odpowiadam, ale wtedy odzywa się Dom:

– Seren jest siostrą Pandory.

– Jasne, znamy się z siatkówki, prawda? Pójdę sobie nalać piwa. Idziecie?

– Za chwilę. – Kiwam głową, patrzę, jak odchodzi, a potem spoglądam na niego i mówię: – Dommy...? – Krzywię się przy tym, a on patrzy na mnie ze zbolaną miną.

– Słuchaj, nie ruszaj się stąd, dobra? Obiecujesz? – Muska palcami mój policzek i przez moment wydaje mi się, że mnie pocałuje, ale oczywiście nie może tego zrobić, więc odchodzi, a ja zostaję z cieniem pocałunku na ustach. Smakuje jak niewypowiedziane słowa.

Nie wiem, ile piwa wypiałam. Na pewno za dużo, ale człowiek nigdy nie jest pewien, ile to jest za dużo, dopóki nie pożałuje. Nie o to chodzi, że piwo mi jakoś wyjątkowo smakuje, ale ciągle ktoś mi podaje kolejną porcję, a ja chciałabym stamtąd zniknąć i jednocześnie wcale nie chcę, więc z braku lepszych pomysłów stoję z Marianą i piję. Poznaję jej życiowego partnera; jest bardzo wysoki, ma na imię Michael i zaplecione tuż przy skórze warkoczyki biegnące od czoła aż do karku, pracuje w Inżynierii, ale przy komputerach, i wydaje się miły, chociaż trochę dziwny. A może tak mi się tylko zdaje, w końcu nie zwracam za bardzo uwagi na rozmowę, tylko wpatruję się w Doma: Dom i jego zespół grają pół piosenki, bo zaraz wkracza oficer porządkowy i wyciąga wtyczkę z gniazdka, Dom stoi przy Annelise, która opowiada jakiś kawał i wszyscy się śmieją, on też, Dom zmienia piosenkę, bo Annelise mówi, że ta jej się nie podoba, Dom gasi światło, bo jedna z jej przyjaciółek wchodzi do świetlicy z tortem i zapalonymi świeczkami.

To dwudzieste urodziny, sami rozumiecie, u nas to całkiem duża sprawa, więc kiedy już odśpiewamy piosenkę, ona wygłasza przemówienie, które składa się głównie z podziękowań, a przede wszystkim „dziękuję bardzo mojemu partnerowi, Dommy’emu Suarezowi, za wyrozumiałość i pogodzenie się z tym, że teraz na

pierwszym miejscu stawiam karierę, ale nie mogę się doczekać naszego wspólnego życia, kiedy wreszcie przyjdzie na nie czas”. Po tych słowach wyciąga do niego rękę, którą on chwyta, a potem przyciąga go do siebie i całuje.

Jak się pewnie domyślacie, w tej chwili dzieje się ze mną coś strasznego, nie wiem, czy to za dużo piwa, czy co, ale mam totalny, fizyczny odrzut od wszystkiego i rozmywa mi się wzrok, więc jedyne, co mogę zrobić, to uciec, zanim na oczach wszystkich zaryję twarzą w podłogę. Wychodzę na korytarz, za plecami słyszę gwizdy i toasty, a sama trzymam się ściany, przywieram do niej, jakby to była podłoga i zastanawiam się, czy ktoś przypadkiem nie wyłączył grawitacji. Jakimś cudem docieram do drzwi na końcu korytarza, chociaż wydaje mi się, że po drodze zaliczyłam kilka szybkich kółek: sufit ściana podłoga ściana sufit ściana podłoga; chcę złapać za klamkę, ale nie trafiam raz, a potem drugi, a wtedy nagle on staje tuż za mną. Nie spodziewałam się go, ale jest i chwyta mnie za nadgarstki.

– Zaskoczyła mnie.

Odwracam się do niego i zamierzam wyrzucić z siebie wszystko, co mam do powiedzenia, ale kiedy otwieram usta, mówię tylko:

– Nie jesteś jej. Jesteś mój. – Brzmie tak dziecinne, żałośnie i marudnie, jak wam się wydaje i naprawdę go podziwiam, że nie wybucha śmiechem, ale się nie śmieje ani odrobinę. Staję znów tyłem i chowam twarz w dłoniach. – To prawda, co powiedziała? – pytam w swoje ręce.

– Nie, już nie.

– Już?

Odrywa mi ręce od twarzy i zmusza, żebym na niego spojrzała.

– Nie rozumiesz, że wszystko się zmieniło tego dnia, kiedy cię zobaczyłem w Medycznym? Nagle... Zrozumiałem, jakby to było życie naprawdę.

Na moment zapominam o oddychaniu, ale potem coś mi przychodzi do głowy.

– Zaczekaj. Co ty tam robiłeś?

– Co?

– Wtedy, w Medycznym.

– No... – Mocniej zaciska palce na moich nadgarstkach, ale nie odpowiada.

– Czekaleś na nią, aż skończy pracę, tak?

Mruga i odwraca wzrok.

– A co za różnica? Wyszedłem z tobą. I to było najlepsze, co w życiu zrobiłem.

Pierwszy raz tak do mnie mówi, pierwszy raz tak patrzy, marszczy czoło, lekko otwiera usta, pochyla się i w nagłym olśnieniu uświadamiam sobie, że chcę, żeby wiedział o mnie wszystko.

– Nie chcesz wiedzieć, co ja tam robiłam?

– Tylko jeśli ty chcesz mi powiedzieć.

– Mam problemy psychiczne. Jestem walnięta. Moja mama była i teraz ja też jestem. Co ty na to?

Uśmiecha się i bierze mnie za rękę, tak samo ciepłe i wilgotne jak moje.

– Bardzo, bardzo mi się podoba wszystko, co sprawia, że jesteś sobą, nawet jeśli dla innych to problem psychiczny.

Nagle na korytarz wysypują się ludzie i oblewają się piwem. Mariana krzyczy i w ostatniej chwili się od siebie odsuwamy, bo właśnie podchodzi. Zatrzymuje się na chwilę i patrzy to na mnie, to na niego, a potem stwierdza:

– Hemple, jesteś pijana. Zaprowadzę cię do domu. – Otwiera drzwi.

– Pójdę z wami – oferuje od razu Dom. – Odprowadzę cię z powrotem – mówi do niej.

Mariana się krzywi.

– Co ty gadasz? Dlaczego miałbyś to robić? Przecież to impreza Annelise.

– No tak... – Wybuchają śmiechem.

Może mnie złapać za rękę tylko dlatego, że ona rusza pierwsza. Ciągnie mnie do tyłu i mówi mi do ucha:

– Nic nie zmieni tego, co do ciebie czuję, *estrellita*, dobrze?

Mariana znów mnie ciągnie. Po drodze do domu pytam, co to znaczy „*estrellita*”.

– Mała gwiazdka. Jak w tej piosence o mrugającej gwiazdce, no

wiesz. – Potem przygląda mi się dziwnie, ale chyba też jest trochę pijana, bo nie dopytuje o gwiazdkę ani o idiotyczny uśmiech, który mam na twarzy, dobrze o tym wiem.

Rozdział 14

Sprawdzamy akurat z Marianą zapasy w magazynie, kiedy nagle nie wytrzymuję, chociaż przez kilka dni udawało mi się nad sobą panować i nie wypytywać o Doma.

– Wasi ojcowie są braćmi?

– Nie, mama Dominga, *tia* Lola, jest siostrą mojej mamy.

– Jaka jest?

– Super *guapa*. Po niej Dom odziedziczył urodę. Występowała w programach Kulturalnego, pewnie ją kiedyś widziałas. – Uśmiecha się do siebie.

– A jego tata?

– *Tio* Fernando śpiewa jak... – Milknie i marszczy brwi. – Czeka, czemu o to wszystko pytasz?

Wzruszam ramionami i odwracam się, bo jestem przecież bardzo zajęta napojami proteinowymi.

– Ciekawi mnie twoja rodzina.

Odstawia pudełko na podłogę i czuję na sobie jej wzrok.

– Moja? Czy mojego przystojnego kuzyna?

– W ogóle nie o to chodzi. Zainteresował mnie, ale jako przyjaciel. Wolno nam chyba mieć przyjaciół, nie? – Patrę w jej czujne oczy, skupione na mnie w półmroku magazynu.

– Żeby sobie nie narobić kłopotów, lepiej ich nie mieć.

Śmieję się, bo nawet nie ma pojęcia, ile w tym racji.

Kimkolwiek ja i Dom jesteśmy, na pewno nie jedynie przyjaciółmi. Każda ukradziona chwila sam na sam dowodzi, że nie mogliśmy być wyłącznie nimi. Bo kiedy rozmawiamy, w mojej głowie coś się otwiera, przestawia i nagle nabiera sensu. Bo kiedy na mnie patrzy, jest tak, jakbym go znała od zawsze, jakby stanowił drugą połowę mnie, której przez całe życie szukałam. Bo kiedy mnie dotyka, czuję to we wnętrzu kości, w głębi ciała, w każdym oddechu i uderzeniu rozszalałego serca.

Od tygodni prawie co noc śni mi się Huxley-3. Że latam nad jej powierzchnią. To takie uczucie, jakbym nie istniała i wszystko mnie przenikało, oddziaływało tylko na moją duszę. Huxley-3 jest piękna,

skończona, idealna. Jest muzyką, słodką i smutną, którą słyszę w uszach i w sercu. Jest górami zasypanymi śniegiem, bezkresnymi zielonymi lasami, pomarańczowymi pustyniami skąpanymi w zachodzącym słońcu, najbłękitniejszymi morzami i piaszczystymi plażami. I jest nasza.

Któregoś dnia po przebudzeniu dopada mnie uczucie, że gdzieś jest inne życie i po to się urodziłam, urodziliśmy się oboje, by je znaleźć. Z trudem doczekuję do końca zmiany, a każda godzina ciągnie się jak tydzień, zwłaszcza że jacyś podcięci goście z Inżynierii się do mnie przyczepiają i narzekają na brak napojów energetycznych w ich automatach. Mam całkiem dobry nastrój, ale żaden nie jest dość dobry, żeby się mierzyć z ich gadaniem, zwłaszcza że czapki założyli daszkami do tyłu, kombinezony mają porozpinane i podpuszczają:

– Jesteś laską Lomaxa, co? Tą narwaną? – Wzruszam ramionami. – To co robisz na Konserwacji?

– A co? – Podnoszę pudełko batoników musli.

Jeden wzrusza ramionami.

– Nie może cię z tego wymiksować? Pogadać z kim trzeba? Albo zrobić ci dzieciaka?

– Wiedz, że cię ignoruję – oświadczam, ale jego to chyba w ogóle nie obchodzi.

– Chodzą o tobie plotki, laleczko.

– Super, idźcie z nimi.

– Może przyjdiesz mi dzisiaj wygrzać koję?

– Chciałbyś. – Uciekają, chichocząc jak grupa dzieciaków, popychają jeden drugiego, a ja myślę, że wszystko to jest dziwne, ale nie dopuszczam tych myśli do siebie, w każdym razie nie za bardzo, bo może po raz pierwszy w życiu czuję, że jest wyjście z tej sytuacji. Po zmianie idę do kajuty Doma, a on już na mnie czeka, z wilgotnymi włosami, gitarą i podjeżdżającą na plecach koszulką, przez którą nie mogę się powstrzymać, żeby go nie dotknąć po drodze do jego koi. Odwraca się, przyciąga mnie do siebie, schyla się i otwiera usta, zanim je przycisnie do moich.

W czasie drugiej zmiany, gdy nikogo nie ma w kajucie, spędzamy całe godziny, leżąc na jego koi, ale zawsze nam się wydaje, że to tylko parę minut. Czasem słuchamy muzyki, każde z jednej słuchawki, czasem

ja przesuwam palcem po jego imieniu wyhaftowanym z przodu kombinezonu, tuż nad sercem, a on mnie całuje, całuje i całuje, tak długo, aż prawie wylatuje nam z głów, że w każdej chwili ktoś może wejść i przypominamy sobie zawsze w ostatniej chwili.

Kiedy ja kończę zmianę, on od paru godzin śpi, więc na początku zawsze jest powolny, zaspany, ziewający i niespiesznie głaszcze mnie po ramionach, a ja wtedy trajkoczę. Ma wilgotne włosy, pachnie pastą do zębów i szamponem, ale dopiero dzisiaj go pytam dlaczego.

– Idę pod prysznic, żeby się ocknąć.

– Ile spałeś?

Przez zmrużone oczy zerka na poda.

– Trzy godziny.

– I wyspałeś się?

– Jasne. – Ziewa.

– Czyli nie.

– A co za różnica? To nasz czas. – Ściąga mi czapkę i szybko mnie całuje, tylko raz, ale ma minę, jakby zjadł coś słodkiego. – Powiedz, o czym mówiłaś w tej wiadomości. – Uśmiecha się i patrzy na moje usta.

– Ciągle mi się śni Huxley-3.

Unosi brwi.

– Huxley-3?

– Tak. I... No nie wiem. Pewnie uznasz, że to dziwne.

Unosi brwi.

– Sprawdźmy!

– Śni mi się co noc. I wydaje mi się... Jakby to było coś wielkiego. Większego niż my wszyscy. – Kręcę głową. – To głupie, ale czasem myślę, że ona rozwiąże problemy. Wszystko zmieni. Że to nasza szansa na prawdziwe życie. Razem. Jakoś.

Chociaż nic nie mówi, poznaję po jego pocałunkach, że czuje tak samo. Jakby coś tam na nas czekało.

I pewnie dlatego tego popołudnia kończymy znacznie bardziej rozebrani, niż powinniśmy, on oddycha w moją skórę, słyszę wydobywający się ze swoich ust gardłowy dźwięk, którego nigdy wcześniej u siebie nie słyszałam, dotykam jego ramion, piersi, bioder, zlizuję sól z jego obojczyków, przyciskam go do siebie i ani trochę, ani

odrobinę mnie nie obchodzi, kto może wejść, bo on jest MÓJ. Mój w takim stopniu, jak jeszcze nikt do nikogo nie należał. Nagle się obraca, wtacza się na mnie, opiera na łokciach i nieruchomieje, tylko odrobinę drży. Patrzy mi prosto w oczy i zabija mnie tym, zabija po prostu, a potem mówi:

– Nie możemy tego robić. – Dostaję buziaka w czubek nosa, w głowę, w linię włosów nad czołem, potem wzdycha, siada i odsuwa się, stawia stopy na podłodze, chowa twarz w dłoniach i dopiero po chwili znów patrzy, zmusza się do smutnego uśmiechu. – Pewnie nigdy się nie dowiesz, jak bardzo tego chcę, ale wpakujemy się w kłopoty. Uwierz mi, że nie powinniśmy.

– Kiedy jestem z tobą, w ogóle mnie to nie obchodzi. – Podpełzam, przywieram do niego i kładę głowę na jego udzie. Patrzę mu w twarz.

Dotyka kciukiem moich ust i widzę, jak się nad czymś zastanawia, jak dojrzeła w nim decyzja, a potem więdnie. Cały czas zagryza przy tym wargę.

– Pójdiesz gdzieś ze mną? – Pyta, chociaż dobrze wie, że nie umiem mu odmówić, a już na pewno, kiedy tak na mnie patrzy.

Na jego zmianie idziemy do Rybiarni, Dom otwiera wszystkie drzwi po kolei, po drodze kompletnie nikogo nie ma i tak docieramy do Basenu Czwartego, a tutaj jeszcze nigdy nie byłam. Panuje dziwna cisza, woda jest nieruchoma jak tafla lustra i kołysze na sobie Huxley-3.

– Jesteśmy – mówi.

Rozglądam się.

– Gdzie?

Przechodzi przez metalową kładkę, po drodze zrzuca buty i odwraca się do mnie.

– Tarło – mówi tylko.

– Co?

– Popływajmy. – Rozpina guziki kombinezonu i ściąga go, później krzyżuje ramiona na brzuchu i przez głowę zdejmuje podkoszulek, tak że na chwilę znika w nim jego twarz, a potem rzuca go na podłogę.

Nie będę się zagłębiać w to, jak się czuję, zwłaszcza gdy widzę konstelację pieprzyków podkreślającą rysunek mięśni na jego klatce piersiowej, tak jakby ktoś to zaprojektował. Nie jestem w stanie myśleć

rozsądnie, więc słucham instynktu: zsuwam kombinezon, ściągam koszulkę, a przy tym nie odrywam wzroku od jego oczu.

– Nie zjedzą nas ryby? – pytam przez ściśnięte gardło, w którym serce aż dudni.

– Tu nie ma ryb. – Zbliża się do mnie trochę i tylko na sekundę spuszcza wzrok, chociaż wiem, że oboje myślimy wyłącznie o tym, że stoimy przed sobą w samej bieliźnie. Nagle łapie mnie za rękę, a serce mi wali jak oszalałe i gdy tylko myślę, że naprawdę mogę umrzeć, ciągnie mnie ze sobą i skaczemy do wody, która jest lodowata. My opadamy coraz głębiej i głębiej, a wokoło są bąbelki. Potem się wynurzamy, rozchlapujemy wodę i głośno łapiemy oddech.

– Boże, jaka zimna! – krzyczę.

On się ze mnie śmieje.

– Teraz są tu tylko jajeczka – tłumaczy i ociera twarz z wody. Rozgląda się i obejmuje mnie w talii. – Na samym dnie. Czekają na wyklucie. – Wymownie unosi brwi. – Więc jesteśmy tu tylko we dwoje.

Nagle rozlega się dźwięk, jakby narastający syk.

– Co to? – pytam, ale zanim zdąży odpowiedzieć, zaczyna padać i coraz gęstsze krople spadają nam na twarze, zatrzymują nam się na brwiach, zalewają nosy i usta.

– Deszcz sprawia, że woda jest świeża! – Dom przekrzykuje huk. – Musi być świeża, żeby ryby się wykluły.

Odpycha się ode mnie, robi pod wodą koziołka w tył, wynurza się po chwili z brzuchem przyciśniętym do mojego i jest tak blisko, że widzę lśniące krople na jego rzęsach, zlewające się w jedną. A później, w chwili mojego totalnego zagubienia, mruży zalewane deszczem oczy i spogląda w górę, w okno.

– Patrz. – Przepływa za mnie i podsuwa mi ramię pod głowę, żebym mogła się oprzeć, czuję jego usta przy uchu, unoszę się bezwładnie i rozkosznie, on dotyka palcami mojego kręgosłupa, deszcz pada, a nad nami wisi Huxley-3, w odcieniach głębokiego, wibrującego błękitu i bieli. Wypełnia sobą całe okno, zupełnie jak niebo. – Niesamowita, prawda? – szepcze mi do ucha. Znajduje moje dłonie, splatamy ze sobą palce, a ja cała się trzęsę i to wcale nie z zimna.

Obserwujemy ją, jak się przesuwa, a ja słyszę w głowie muzykę,

prawdziwą muzykę, kiedy widzę chmury wokół niej i dwa księżyce, różowoliliowe w dogasającym świetle. Tam jest nasze życie, już czeka, tam będzie można poczuć ziemię pod sobą i piasek między palcami stóp.

I wiecie co? Ludzie często powtarzają, że miłość wcale nie jest taka, jak w filmach i coś tak niezwykłego nie zdarza się w prawdziwym życiu. Cóż, ja swoje wiem, mówią tak tylko dlatego, że im się nie przytrafiła. Większości się nie przytrafia. Ale niektórym tak, i ja jestem jedną z nich. Odwracam się przodem do niego, dotykam jego piersi w miejscu, gdzie bije serce, patrzymy sobie w oczy i widzimy wszystko, wszystko wiemy, on jest mój, a ja jestem jego. W końcu się odzywam:

– Zanim cię poznałam, nie chciało mi się żyć.

Uśmiecha się krzywo:

– To najbardziej zajebista rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Rozdział 15

Dwa okrążenia orbity później przenoszę się do kajut. Tata jest w pracy, gdy się pakuję, więc na szczęście nie dochodzi do żadnych żalonych scen, ale akurat, kiedy wychodzę, Pan wyłania się ze swojego pokoju, a jest tak gruba, że ledwie się mieści w drzwiach.

– Podejmujesz bardzo niemądre decyzje, zdajesz sobie z tego sprawę? – Takimi słowami postanawia się ze mną pożegnać. – Mam nadzieję, że teraz, kiedy nie będziemy cię mieć na oku, nie narobisz jeszcze większych głupot.

– Jestem pewna, że spełnię wszystkie wasze oczekiwania. – Zarzucam torbę na ramię i idę do wyjścia, gdzie stoi z rozłożonymi rękami Cain. Przytulam go, bo on był i tak najlepszym z moich dotychczasowych współlokatorów.

– Powiesz mi wreszcie coś o planecie? – burczę w jego kombinezon.

Całuje mnie w czoło i się uśmiecha.

– Ściśle tajne – recytujemy razem, bo to jedyna odpowiedź, jakiej mi przez cały czas udziela na temat lotów badawczych na Huxley-3. Debil. – Seren! – woła za mną, kiedy już przekraczam próg. – W których kajutach będziesz? Gdzie cię znajdę?

– To, mój drogi, jest ściśle tajne – syczę, ale uśmiecham się do niego przez ramię.

Trafiam oczywiście do Północnej, bo tam pracuję. Marianie udaje się tak wszystko poustawiać, żebym mieszkała z nią, w kajucie dziesięcioosobowej, w której jest tylko sześć osób, więc mogę sobie wybrać koję w rogu, i początkowo całkiem mi się podoba, bo fajnie jest mieszkać samej. Pozostałe dziewczyny wydają się w porządku, więc udaje mi się uwierzyć – albo sobie wmówić – że to coś dla mnie. Mariana namawia, żebyśmy poszły na plac czegoś się napić i już prawie mamy wychodzić, kiedy dzwoni mój pod. To Dom. Oboje jeszcze przeżywamy moją świeżo nabytą wolność i nie pilnujemy wszystkiego, jak trzeba, więc zapowiada, że do nas dołączy.

No więc dziewczyny z kajuty i ja idziemy na plac, siadamy i trochę

gadamy. Jakoś zawsze myślałam, że na Venturze nie ma zbyt wielu młodych osób bez pary, ale nagle się okazuje, jak jest naprawdę. Spotyka się ich znacznie więcej, niż przypuszczałam. Każda ma inną historię, najczęściej jedno z nich albo oboje chcą się skupić na karierze, co oznacza moim zdaniem tyle, że potrzebują więcej czasu na pogodzenie się z tym, że będą musieli spędzić życie z daną osobą, chociaż sami by jej nie wybrali. Nieważne, jakie argumenty wymyślają, taka jest zwykle prawda. Inną przyczyną samotności może być śmierć partnera. Jedną z wielu luk w planie funkcjonowania Ventury. Łączą ludzi w pary. Do każdego chłopca dobierają dziewczynę. Jeśli jedno z nich odejdzie, to koniec. Bo śmierci nawet najtęższe umysły nie są w stanie zapobiec.

W barze jest grupka chłopaków z Inżynierii i po jakimś czasie jeden zachodzi Jen od tyłu i zakrywa jej oczy. Akurat z nią rozmawiałam, ale teraz musi zgadywać kto, w związku z czym następuje niezręczny moment, kiedy ona kombinuje, a ja siedzę, patrzę na tego chłopaka i uświadamiam sobie, że to jeden z koleśków, którzy mnie zaczepiali parę dni temu przy maszynie. Ten, który pracuje z Ezrą. Nie jestem pewna, czy też mnie poznał, bo jedynie mruga i słucha desperackich strzałów Jen, pragnącej, żeby to się już skończyło. Wzdycham i odwracam wzrok, nie znoszę ludzi, którzy się w to bawią.

Kiedy Jen się wreszcie poddaje, odwraca się do niego razem z fotelem i jest szczerze rozczarowana.

– A, to ty – rzuca. – Arnold Witney, mój szwagier.

Stoi i macha jak debil.

– Co porabiacie, dziewczyny? Ploteczki?

– Jasne – wzdycha Jen. – Zaprosiłabym cię, ale widzę, że już masz towarzystwo.

W końcu dociera do niego aluzja i idzie sobie.

– Idiota – komentuje ona i wywraca oczami.

Dom przychodzi w trakcie rozmowy z Jen i przez jakiś czas gada z innymi. Zna ich wszystkich chyba przez Marianę albo Annelise, co jest dość naturalne, ale i tak mnie trochę zabija. Wystarczy jednak, że na niego popatrzę, jaki jest zabawny, jak swobodnie się czuje w towarzystwie, a co najlepsze, że zupełnie sobie nie zdaje sprawy z tego, że jest słodki i fajny, żebym zapomniała o wszystkim. Mariana strasznie

się śmieje z jego dowcipu i uświadamiam sobie coś, czego wcześniej nie zauważyłam: ona go kocha, kocha swojego kuzyna naprawdę, a nie tylko prowizorycznie, bo musi z racji pokrewieństwa. Łączy ich coś wyjątkowego.

Mamy szansę porozmawiać dopiero pół godziny później, kiedy idę do łazienki, a on rusza za mną, o czym się dowiaduję, gdy staje tuż za mną na zatłoczonym parkiecie tanecznym i szepcze:

– Zatańcz ze mną.

– Ja nie tańczę.

– Ja nie tańczę – przedrzeźnia mnie głosem, który ma pewnie udawać mój, ale zaraz przeprasza i dotyka kciukiem mojej dolnej wargi, a mnie autentycznie i zupełnie fizycznie kręci się w głowie. W efekcie łapie mnie za rękę, przygląda mi się, a ja czuję ciepło, jego zapach i prawie zapominam, że stoję jak ta idiotka, sztywno i z rękami w górze. Kręcę jednak głową i chcę odejść, ale on mnie przyciąga, mówi prosto w moje włosy coś po hiszpańsku, ale nie słyszę co, więc się do niego odwracam, przytulam twarz do jego szyi, kręcimy się i on mi pokazuje, co robić, bo sam porusza się równie naturalnie, jak oddycha czy chodzi. Po jakimś czasie, sama nie wiem, jak to się dzieje, nadal nie bardzo rusza mnie taniec, ale ON na pewno. Boże, nigdy w życiu nic mnie tak nie kręciło, więc patrzę na jego pełną emocji, poważną twarz i tak strasznie bym chciała dotknąć jego policzka, miękkich ust.

– Widzisz, mówiłem, że umiesz tańczyć.

Nie umiem wyrazić, jak bardzo chcę go pocałować.

Dlatego się odwracam i chcę odejść, a jednak nie wypuszczam do końca jego palców i idzie za mną. Docieramy do korytarza prowadzącego do łazienki, gdzie nikogo nie ma, więc ja się opieram plecami o ścianę, on do mnie przywiera, ale przyciągam go jeszcze bliżej, oddycha w moją skórę, ja wzdycham i zaczynamy się całować, mocno trzymam przód jego kombinezonu, a on łapie w dłonie tył moich ud i w tej właśnie chwili otwierają się drzwi męskiej toalety. Odskakujemy od siebie i staramy się udawać, że nic się nie stało, chociaż nie ma szans, żeby się udało, a co gorsza w drzwiach stoi Arnold Witney.

– Czyli to prawda, co o tobie mówią, suczko! – krzyczy do mnie.

Jest ewidentnie pijany, a ja czuję na ramieniu jego ciężką rękę. – Lomaxowi się dostała gorąca krew. – Kręci głową. – Biedny naiwniak.

Dom chwyta Witneya za przód kombinezonu.

– Zabieraj łapy.

– *Hey hombre, que pasa?* – Śmieje się i unosi blade ręce. – Tylko sobie rozmawiamy.

– Przestań.

– Bo co?

– Bo się pogniewamy.

Patrzę na Doma i widzę w jego oczach wściekłość, wręcz odrobinę obnaża zęby, a czegoś takiego jeszcze u niego nie widziałam i nawet nie podejrzewałam, że to w sobie ma, zawsze był taki spokojny, przekonany, że wszystko jest dobrze. Jakie to dziwne, myślę sobie, jesteś z kimś tak blisko, a jednak wciąż może cię zaskoczyć. Wszystko to mam chyba wypisane na twarzy, bo patrzy na mnie, odwraca wzrok i po chwili znów spogląda. Ten cały Witney zerka to na niego, to na mnie i w końcu znów otwiera swoją głupią gębę:

– Zdajesz sobie sprawę, że ona nie jest twoja? Tak się nie robi, *comprende, muchacho?*

– Ktoś cię pytał o zdanie? – warczy Dom.

– Wiesz, że moim obowiązkiem jest zgłaszanie naruszeń regulaminu? Także przez ciebie. Jesteś tylko głupim ćwokiem, ale wątpię, żebyś sam doniósł na swój tchórzliwy tyłek. Albo na jej. Pewnie masz inne pomysły na wykorzystanie go. Ja bym miał.

Odwraca się i chce odejść, ale Dom rusza za nim i popycha go tak mocno, że Witney przelatuje przez drzwi i upada na parkiet, zmiatając po drodze jakąś parę i ich drinki, na co natychmiast reagują dwaj kolesie pracujący za barem. Jeden wyskakuje i łapie Doma za rękę.

– Jeśli nie chcesz, żebym wezwał Ochronę, chodź ze mną – mówi, a Dom patrzy na mnie.

Obydwu wyprowadzają siłą, Witney wierzga i wrzeszczy na Doma, a on się tylko odwraca przez ramię i krzyczy coś, czego nie słyszę. Oczywiście ruszam za nim, ale zatrzymuje mnie szarpnięcie za łokieć. Z tłumu wyłania się Mariana, ma wytrzeszczone oczy.

– Nie, *amiga*, proszę cię. Tylko wszystko pogorszysz. – Wtedy

staję jak wmurowana, patrzę, jak on znika i nagle wydaje mi się, że w pomieszczeniu nie ma w ogóle tlenu, a we mnie nie krąży krew, tylko strach. Rzucam się, żeby jednak za nim biec, ale Mariana znów reaguje. – Jak teraz za nim pójdziesz, wszyscy będą o tym mówić.

Patrzę na nią, na jej minę, i pozwalam się odprowadzić do baru, gdzie coś zamawia, ale ja cały czas oglądam się przez ramię, bo widzę Doma i Witneya przed wejściem na plac, Witney wymachuje mu palcem przed twarzą, a Dom kręci tylko głową i odchodzi.

Mariana śledzi mój wzrok, a potem pyta:

– Będiesz tak miła i powiesz, co się dzieje? – Spuszczam oczy i kręcę głową. – Słuchaj, Seren. – Wzdycha. – Kocham mojego kuzyna. I być może ciebie też darzę jakimś uczuciem. Pewnie już wiesz, że nic dobrego nie spotyka ludzi, którzy figlują z cudzymi partnerami życiowymi.

Nic nie odpowiadam i odwracam wzrok, ale budzi się we mnie strach, którego nie rozpoznaję i nawet nie umiem nazwać. Żeby go zatuszować, stukam swoją szklanką w jej i wlewam sobie alkohol prosto do gardła, gdzie płonie, budzi odruch wymiotny i wyciska mi łzy z oczu. Mrugam desperacko, a ona wciąż mi się bacznie przygląda.

– No więc... To, co łączy ciebie i jego ... – Patrzy w sufit i szuka właściwych słów, jakby mogły być tam zapisane. – Istnieje i naprawdę się dzieje?

Wyciskam z siebie dziwaczny dźwięk, który mógłby być śmiechem, ale brzmi raczej, jakbym się dławiła.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Jakie „to”?

Ale wystarczy jej wzrok.

– Jeśli myślisz, że udaje ci się cokolwiek ukryć, jesteś jeszcze głupsza, niż myślałam. A to będzie osiągnięcie.

Ponieważ pierwszy raz ktoś mnie spytał otwarcie, daję sobie czas na sformułowanie odpowiedzi, ale kiedy już mam się odezwać, boję się, że tylko się rozplącę.

– To pierwsza prawdziwa rzecz, jaka mnie spotkała w życiu.

Ona wypija swojego szota, przelyka gładko jak wodę i zamawia kolejną kolejkę. Facet za barem napełnia nasze szklanki, a ona mruży oczy trochę jak Dom.

– Czyli co? Jesteś w nim zakochana? – Kiwam głową, więc kwituje całość słowami: – *Dios mio*, co za masakra.

I chociaż to nie jest ani trochę śmieszne, śmieję się przez łzy i wypijamy drugą rundę i musimy przestać kaszleć, żeby mogła powiedzieć:

– Nieważne, co ci się wydaje, musisz przestać. Mówię poważnie. – Uśmiech znika z mojej twarzy równie szybko, jak z jej. – Nawet nie masz pojęcia, w co się pakujesz, pod żadnym względem. Serio. – Oczy ma bardziej rozgniewane niż zwykle. – Podważanie zasad Ventury oznacza wejście do świata pełnego bólu. Uwierz mi. Nie chcesz tego. Niech tylko ktoś się dowie, a wylądujesz w Resocjalizacji. W najlepszym razie. Posłuchaj mnie. A jeśli nie chcesz słuchać mnie, posłuchaj Doma. Pewnie ci powiedział, dlaczego jeszcze nie zawarł Unii?

Marszczę brwi, mrugam kilka razy, a potem odpowiadam:

– Bo Annelise chciała zająć się pracą w Medycznym. A poza wszystkim, on nie czuje tej Unii.

Mariana patrzy na mnie ponuro.

– Tak ci powiedział? – Zastanawiam się, analizuję rozmowy, ale cały czas kiwam głową, chociaż nie jestem już aż tak pewna. – Więc musicie pogadać. Musisz coś o nim wiedzieć. I powinnaś to usłyszeć od niego.

– Co?

Nie odpowiada. Zsuwa się ze stołka, jakby zamierzała sobie iść.

– Wiem, że nie chcesz słuchać moich rad. Kurczę, ja też bym nie słuchała. Ale byłam na twoim miejscu i skończyło się źle dla wszystkich. Czegoś takiego nie możesz zostawić za sobą. Nie da się zapomnieć. – Ma w oczach tyle bólu, że łapię ją za rękę, ale się wyrывa.

– O czym ty mówisz? Powiedz, proszę cię.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, nie spuszcza mnie z oczu, ale mówi tylko:

– Nie popełnij mojego błędu. Nie warto. – A potem sobie idzie.

Rozdział 16

Jeszcze nigdy nie widziałam tak pełnej auli. Nigdy. Chyba nie zdawaliśmy sobie sprawy, ilu nas tu naprawdę jest, aż do teraz, kiedy na każde miejsce przypada pięć czy nawet sześć osób. Zebrania są nieobowiązkowe, ale dzisiaj będą wieści z orbitowania, więc przyszedł każdy, kto mógł, czyli byłoby nas jeszcze więcej, gdyby zjawili się także ci, którzy nie mogą się urwać z pracy. Są dzieciaki, starsi ludzie, wszyscy pomiędzy i przysięgam, że przez chwilę tylko stoimy i gapimy się na siebie, myśląc, że to jakieś szaleństwo. Widzę nawet tatę z Olivią i jej dwoma małymi synkami, tata trzyma jednego z nich na rękach, ale oni mnie nie dostrzegają.

Widać, jak nam zależy, jak desperacko wszyscy pragną przeżyć chociaż raz coś prawdziwego, ważnego. Urodziliśmy się, żeby umrzeć i aż do teraz udawaliśmy, że to nic takiego.

Od tej akcji w barze nie widziałam Doma, bo najpierw on pracował, a potem ja, ale w końcu spotykamy się w umówionym miejscu i od razu zaczynamy mówić jedno przez drugie, milkniemy, a po chwili zaczynamy znów.

– Przepraszam cię, *estrellita*. Nie powinienem był do tego dopuścić.

Kręcę głową.

– Martwiłam się o ciebie. Chciałam za tobą iść, ale Mariana mi nie pozwoliła. Ona... – Przyglądam mu się uważnie, widzę, jak zagryza dolną wargę i zastanawiam się, czy to może być prawda, że coś przede mną ukrywa, ale kiedy chcę spytać, pojawia się za nami Ezra i ciągnie mnie za kucyk.

– Cześć – zaczyna, a potem kątem oka łypie na Doma. – Masz iść ze mną. Rozkaz mamy. Pierwsza rodzina Ventury i tak dalej.

– Ale ja nie... – jąkam się, ale Dom lekko mnie trąca.

– Lepiej idź.

– Chcę z tobą zostać. – Nisko, na wysokości biodra, tak, żeby nikt nie widział, splatamy palce wskazujące.

– Rób, co do ciebie należy.

Chociaż cały czas szepczemy, pełna przerażenia mina Ezry, którą widzę, gdy się wreszcie odwracam, mówi wszystko. Przez chwilę w ogóle się nie rusza, tylko patrzy na Doma, a on odpowiada spojrzeniem.

– Wiem, kim jesteś – cedzi przez zaciśnięte zęby Ezra.

– To jest nas dwóch.

Zaczynam się naprawdę bać, więc się zgadzam.

– Dobra, Ezra, chodź. – Stoi jeszcze przez moment, ale potem łapie mnie za rękę. Odwracam się i patrzę na Doma, a on obserwuje, jak pod przymusem odchodzę.

– Znudzi ci się kiedyś upokarzanie mnie? – pyta Ezra, holując mnie przez tłum z wyuczonym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Pewnie nie. – Papuguję ten grymas i usiłuję zrobić to samo.

– Co to w ogóle było?!

– Nie zrozumiałbyś.

– W jakim sensie?

– Nieważne.

Ciągnie mnie, ale na mnie nie patrzy. Dopiero teraz zauważam, że się poci, czoło mu lśni, a kolejna kropla spływa spod linii włosów, choć przecież w auli nie jest gorąco. Nigdzie na tym statku nie jest.

– Słuchaj, cokolwiek cię z nim łączy, lepiej zacznij się żegnać.

– Co? – Przerażenie łapie mnie za gardło.

– Mama zaraz przekaże złe wieści, więc chce rzucić coś miłego na ośłodę.

Niewiele słyszę z tego, co się dzieje potem, bo nagle świat wokół mnie blaknie, kolory, życie, wszystko, wiruje, rozrzedza się i znika jak w odpływie. Szukam w tłumie Doma, ale bezskutecznie. Dostrzegam milion twarzy, ale żadna nie należy do niego. Potem czuję już tylko Ezrę wiodącego mnie za kapitan Kat, więc idziemy przez huk i chaos na środek sceny, gdzie ona się zatrzymuje, a my za nią, ale chyba wybraliśmy złe miejsce, bo jej dwóch ochroniarzy podchodzi i ustawia nas prawidłowo. Jonah też jest.

Ona zaczyna mówić i początkowo jej nie słucham. Dlaczego? Bo już wiem, informuje, że Huxley-3 jest kolejną martwą planetą, tylko częściowo wykształconą, pełną niebezpiecznych mikrobów, z nieprzyjazną atmosferą, niezamieszkaną. Przez całą przemowę na

ekranach pojawiają się zdjęcia zrobione przez zwiadowców: czarne skały, ciemna woda i samotne góry ze strumieniami lawy i kłębamii pary. Chociaż nie dają nadziei, nie mogę od nich oderwać wzroku i napawam się nimi, bo w końcu to i tak najbardziej przypomina prawdziwą planetę, z tego, co dotąd widzieliśmy. Aż trudno uwierzyć, że nikogo tam nie ma.

Jesteśmy statkiem Pierwszego Kontakt, a więc szukamy śladów życia. Jeśli ich nie znajdujemy, ruszamy dalej, na tym polega nasza misja. Tak się dzieje od osiemdziesięciu czterech lat. I będzie trwało pewnie przez następne dwieście sześćdziesiąt dwa czy nawet więcej. Oto, czego się dowiadujemy: nasz wszechświat jest przeważnie nieżywy, pełen wielkich, martwych planet, a to tylko jedna z nich. Żadna niespodzianka. I już nawet nie szukam Doma, bo powinnam była wiedzieć, jak się skończą moje sny i nasze nadzieje. Trzeba było to przewidzieć. Niniejszym następuje kres tak wielu marzeń, a może nawet wszystkiego, czego kiedykolwiek pragnęłam.

– Jak widzicie, planeta znajduje się w bardzo wczesnym stadium rozwoju i wciąż odbywają się ruchy terraformowalne, jest to zatem bardzo niebezpieczne środowisko – wyklada kapitan Kat, a mówiąc, patrzy na ekrany. – Przed opuszczeniem orbity Huxley-3 zbierzemy wszystkie przydatne dane i zgodnie z grafiką ruszymy w dalszą drogę w kierunku Epsilonu, gdzie będziemy kontynuować proces odbioru sygnału. Nie myślcie, że czas spędzony tutaj był stracony. Mamy nadzieję, że zebrane informacje wzbogacą naszą wiedzę.

Rozlega się szuranie i pomruki, więc rozglądam się i patrzę, kim się staliśmy, kim jesteśmy. Na tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci w szarych uniformach, uwięzionych w szaro-srebrnej zniszczonej auli ze zwisającymi smętnie zapomnianymi flagami. Niektórzy biorą dzieci na ręce, zarzucają na biodro i już ruszają w stronę drzwi ze spuszczoneymi ramionami, ale właśnie wtedy znów rozlega się głos kapitan Kat:

– Ponieważ zebraliśmy się wszyscy, chciałabym przy okazji ogłosić bardzo miłą i oczekiwaną nowinę. – Chociaż na mnie nie patrzy, już wiem. Czuję, jak stojący obok mnie Ezra sztywnieje i z sykiem wciąga powietrze. Patrzę na Jonaha, ale on wgapia się w podłogę metr przed sobą. Nie ma chyba nic, co mogłabym zrobić, żeby temu zapobiec, więc znów wypatruję Doma, patrzę, patrzę i mam ochotę krzyknąć, bo

nie ma go w miejscu, gdzie go zostawiłam. Stoi tam jakieś dziecko z wywalonym językiem i starszy mężczyzna z obwisłymi policzkami, ale Dom zniknął. To się dzieje, DZIEJE SIĘ, a ja nie mogę uciec. – Jak wszyscy wiecie – kontynuuje kapitan Kat i macha do nas ręką zakończoną wypiłowanymi paznokciami – moi dwaj synowie właśnie skończyli Edukację. Ezra, który żarliwie wierzy w naszą misję i we wszystko, co staramy się osiągnąć na Venturze, zdecydował o jak najszybszym rozpoczęciu dorosłego życia i podjęciu ciężących na nim zobowiązań. W związku z tym jako pierwsza rodzina na statku chcielibyśmy z całego serca zaprosić was na uroczystość jego Unii, która odbędzie się za dwa tygodnie.

– Co?! – Nie mogę się powstrzymać, ale na szczęście słyszy tylko Ezra. Szybko mnie ucisza, zaciskając moją dłoń w swojej i uśmiechając się sztucznie, więc i ja zdobywam się na wymuszony uśmiech. Rozlegają się brawa, niezbyt żywiołowe, brzmią jak deszcz.

– Zbierzemy się tutaj, w auli, żeby uczcić początek nowego życia młodej pary, będącej symbolem naszej wyprawy i misji prowadzącej do nawiązania kontaktu z istotami żywymi w kosmosie. Mam nadzieję, że do nas dołączycie. Dacie dowód wsparcia tej i wszystkich innych Unii, od których zależy nasza przyszłość.

Przez cały czas ciężko oddycham i powtarzam: „Nie, nie, nie”, a on ściska moją dłoń coraz mocniej, żebym nie zepsuła tej chwili jemu, jej i całej reszcie. Nie patrzę na kapitan Kat, bo niczego nie gwarantuję, jestem gotowa na wszystko. Oddycham z trudem, piskliwie, a wreszcie doznaję gigantycznego ataku paniki i wszyscy znikają w tunelu, na którego końcu stoję. A może to dno gigantycznej dziury.

Rozdział 17

Powinnam być dzisiaj po południu na dyżurze w stołówce, ale nie idę, zostaję w kajucie, leżę na koi i udaję, że nie istnieję. W pewnym momencie otwieram oczy i widzę dziadka z czapką w rękach, jak patrzy na mnie, potem na sufit, a później znów na mnie.

Nie wiem, co mówi. Coś tam. Bla, bla, bla. Włączam się dopiero, kiedy słyszę:

– Zawsze byłeś dobra w ukrywaniu uczuć. – Siada na moim łóżku i wkłada złożone dłonie między kolana. Mija wieczność, zanim podejmuje wątek: – Rzeczywistość nie pozwala nam zdawać się w tych sprawach na przypadek ani zachowywać się jak zwierzęta. Nie jesteśmy zwierzętami, tylko uczestnikami operacji wojskowej i musimy żyć jak żołnierze, czy ci się to podoba, czy nie. Program prokreacyjny jest naszym obowiązkiem, pozostałe zresztą też. – Wzdycha. – Muszę ci w związku z tym powiedzieć, że chociaż przykro mi z powodu twojego smutku, dokonany przez ciebie wybór jest pod każdym względem nietrafiony.

Wtedy się budzę.

– Jak to?

– Czy starszy szeregowy Suarez powiedział ci, dlaczego jeszcze nie poślubił swojej partnerki, chociaż ponad rok temu ukończył Służbę?

– Bo Annelise chciała odbyć szkolenie medyczne.

Dziadek się uśmiecha.

– Zameżna kobieta nie musi przerywać kariery, jeśli zdecyduje się odłożyć przystąpienie do cyklu prokreacyjnego. Powód jest inny.

Z trudem przełykam ślinę, bo wyschło mi w gardle.

– Jaki?

– Starszy szeregowy Suarez będzie mógł wziąć ślub, gdy zamknie program resocjalizacyjny. Dwa lata temu brał udział w incydencie, w którym wykazał się ogromną agresją. Nie odbył jeszcze kary.

– Ogromna agresja?!

– Rozumiem, że zataił to przed tobą?

Czuję się w obowiązku okazać lojalność.

– Nie... Tak, mówił mi. Oczywiście, że mówił.

Dziadek unosi brwi. Głośno wypuszcza powietrze przez nos.

– Czasem, gdy na ciebie patrzę, widzę Grace. – Rzadko mówi o mamie, jeśli w ogóle, więc wstrzymuję oddech i czekam. Marszczy brwi, składa ręce i jąka się, jak nie on. – Jesteś... – Odchrząkuje. – Jesteś do niej podobna pod tyloma względami. Boję się, że powtórzysz jej drogę. Chciałbym, żebyś umiała zaakceptować nasze życie. Nie kwestionowała wszystkiego, bo możesz się zapędzić za daleko i nie dostrzeżesz szczęścia, które cię spotkało. – Muska mój policzek kciukiem. Dotknął mnie chyba pierwszy raz w życiu.

W tym momencie odzywa się mój pod. Zerkam na wyświetlacz i widzę, że to Dom. Dziadek mnie obserwuje. Oczywiście dobrze wie, kto dzwoni.

– Zostaw go za sobą. – Bierze ode mnie poda i mruży oczy, a potem odrzuca połączenie. – Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że poza wszystkim innym utrudnianie programu prokreacji jest przestępstwem. Dla tych, którzy mają już spaskudzoną kartotekę, kary są szczególnie dotkliwe. – To powiedziawszy, wstaje i wkłada czapkę. – Mówię ci to wszystko, bo cię kocham i nie chcę, żebyś cierpiała.

Odkłada poda na biurko i wychodzi.

Dom ma teraz drugą zmianę, więc wysyłam mu tylko wiadomość, że spotkamy się na Tarasie Widokowym, kiedy skończy pracę i zje. Nastawiam sobie budzik, ale kiedy buczy pod poduszką i tak nie śpię. Leżę od paru godzin, chociaż już się zaczęła trzecia zmiana i powinnam odpoczywać. Po ciemku się ubieram i wymykam z kajut. Na korytarzach jest prawie pusto, nie licząc paru osób idących na swoją zmianę albo wracających. W pewnym momencie mijają mnie nocna grupa biegających. Kilka osób podnosi rękę. Dziwne, tak szybko pewne rzeczy stają się częścią życia.

Na Tarasie Widokowym nie ma nikogo i jest kompletnie cicho. Zupełnie inaczej niż jeszcze całkiem niedawno, gdy świat był pełen nadziei, wszyscy chcieli tylko patrzeć na Huxley-3, a Dom nie kłamał. Gdy docieram na miejsce, stoi przy samej szybie. Panorama trochę się zmieniła, widać teraz więcej odległych gwiazd i ciemność.

Wiecie, co jest najdziwniejsze? Że nawet on wygląda inaczej. To

urocze skrzywienie ust wydaje mi się teraz jakieś chytre, choć wcześniej tak nie uważałam. I jest taki jakby, nie wiem, trochę zbyt pewny siebie, apodyktyczny (a może nawet lekko obleśny?), gdy do mnie mruga i kładzie mi rękę z boku szyi.

– Słyszałem, że jest okazja do składania gratulacji? – Stara się, żeby zabrzmiało lekko, ale szybko się orientuje, że nie wyszło, więc bierze mnie w ramiona. Wyczuwa, że coś jest nie tak, bo stawiam opór, pochyla się i zagląda mi w twarz, choć twardo patrzę w podłogę. Zatkąło mnie. Będę się w stanie odezwać chociaż słowem dopiero, gdy się dowiem.

– Odezwij się – prosi i przytyka usta do mojej skroni. Przytula mnie, potem jeszcze raz.

Przez chwilę się zastanawiam, czy jeszcze kiedykolwiek będę potrafiła mówić, ale w końcu wyduszam z siebie pytanie:

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Waha się tylko przez sekundę, tyle, ile trzeba, żeby się trochę odchylić i zmarszczyć brwi, ale od razu widzę, że wie, o co chodzi, więc czekam i oddycham, żeby usłyszeć każde słowo.

– Bardzo chciałem ci powiedzieć, *estrellita*.

– Przestań tak do mnie mówić.

Krzywi się, zaciska na moment pięści i łapie mnie za obie ręce, a w każdym razie próbuje, bo zaraz mu je wyrywam, więc odpuszcza, zdejmuje tylko czapkę i wzdycha.

– Skąd wiesz?

– Od dziadka.

– Posłuchaj, nieważne, co ci powiedział, to nie tak. Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek. Miałem szesnaście lat, a ten chłopak... Nieważne, ale uwierz, że zrobił coś niewybaczalnego. Straszego, potwornego, żalostnego, brzydkiego i w najgorszy sposób tchórzliwego, a potem... Nie żałował. Nie było mu przykro, nie obchodziło go to, a co gorsza byliśmy wcześniej całkiem dobrymi przyjaciółmi. I po prostu... Nie mogłem już tego znieść. Przebywać w jego towarzystwie, patrzeć na niego i na to, jak... Po prostu oberwał bardziej, niż chciałem. To zaszło za daleko. – Opowiada z takim smutkiem, że chciałabym go objąć i powiedzieć, że w porządku. Ale taki jest mi obcy i nawet trochę się boję,

więc się odsuwam. Czuje to i podchodzi, wyciąga ręce, które zastygają w pustej przestrzeni między nami, a potem opadają. – *Estrellita*, proszę cię, uwierz. To się po prostu stało. A kiedy coś się stanie, już jest po wszystkim, nie cofnie się tego. Już za późno. Nie sprawię, że to się nie zdarzy, choćbym bardzo chciał. Bo chcę. Codziennie. A jeszcze nigdy tak jak teraz, kiedy widzę, jak na mnie patrzysz. Myślę, że wszystko się między nami zmieni. Jeszcze nigdy się tak nie bałem. – Przez jedną straszną chwilę wygląda, jakby się miał rozplakać, a tego bym nie zniosła.

Oddycham głęboko.

– Co się z nim stało? Z tym chłopakiem?

– Nic... Wylądował w Medycznym. Miał pecha, bo jak upadał, walnął głową w ławkę. Podejrzewali uszkodzenie mózgu, ale w końcu się okazało, że nic mu nie jest. Rozeszłoby się po kościach, gdyby się chociaż trochę bronił, ale wiedział, jak to się skończy i chciał mieć czyste ręce. Zamierzał za wszelką cenę uniknąć kłopotów, bez względu na to, jak na tym wyjdą inni. On... Zresztą, teraz to nie ma znaczenia. Już nie.

– Dlaczego byłeś na niego taki zły? Co zrobił?

– Nie mogę... – Kręci głową ze smutkiem i patrzy w podłogę pomiędzy nami. – Ta historia nie należy do mnie. Po prostu uwierz, że to, co zrobił, było kiepskie. Najśłabsze ze wszystkiego.

I wierzę mu. Bóg jeden wie, ile się na tym statku dzieje rzeczy zrodzonych w najczarniejszych zakamarkach duszy naszego gatunku, czymkolwiek ten gatunek jest. Ale to nieważne. Wiem, co muszę zrobić, dla dobra nas obojga, więc przyciskam dłoń do serca, tego miejsca, z którego chce się wyrwać, i oznajmiam:

– Przyszłam ci powiedzieć, że to koniec.

Zamiera, stoi bez ruchu, patrzy na mnie przez kilka sekund bez mrugnięcia okiem, dopiero potem się odzywa:

– Nie mówisz poważnie. Wiem, że nie. – Podchodzi, a ja mu na to pozwalam. Kładzie mi dłonie na ramionach, dotyka moich rąk, nadgarstków, palców i powtarza szeptem: – Nie mówisz poważnie. Nie mówisz poważnie.

Słyszę dziwny dźwięk w swoich ustach; łkanie, które tkwiło mi w

gardle, choć o nim nie wiedziałam, głos brzmiący, jakbym była bardzo daleko stąd.

– Co mam ci powiedzieć? Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy nie przestrzegają zasad. Skończymy w Resocjalizacji. Co najmniej.

– Nieprawda. Będziemy uważać. Jakoś sobie poradzimy. Coś wymyślimy.

Ale ja kręcę głową, pocieram kciukiem grzbiet jego dłoni i zagryzam dolną wargę, jakby coś mogło zatrzymać łzę wiszącą mi na czubku nosa.

– To nigdy nie było naprawdę. Tylko... Dziadek mówi, że tak się zdarza każdemu. Wszyscy przez coś podobnego przechodzą. Przez jakiś czas chcą, żeby było inaczej. A potem sobie uświadamiają. Że jest, jak jest. I muszą żyć, jak było zaplanowane.

Bierze moją twarz w dłonie i chce sprawić, żebym na niego spojrzała, ale ja uciekam. W końcu opiera czoło o moje.

– Ty tak nie możesz mówić. To nie twoje słowa.

Zamykam oczy, płyną mi łzy, nasze złączone głowy, jego oddech na moich ustach.

– Jeśli ich nie posłuchamy, urządzią nam piekło. A wiesz, jaka ja jestem słaba. Mam za mało siły. Nie chcę skończyć jak moja mama, być za bardzo chora, żeby dłużej żyć.

– Nie mów tak. Z nią było inaczej. Ja w to nie wierzę. Nie słuchaj ich.

Odsuwam się i podchodzę do okna. Dotykam szyby lodowatej jak martwe ciało. Akurat mamy dobry widok na planetę, która tworzy teraz tylko półkole w dolnej części szyby, ale i tak dostrzegam kłębiącą się niespiesznie zieloną, akwamarynową powierzchnię o fakturze marmuru. Kiedyś widziałam tam nieskończone lasy i plaże, byłam pewna, że tam są, chociaż to brzmi nieprawdopodobnie. Może nawet dostrzegałam tam ludzi, może nawet siebie i Doma, małych jak pchły. Jakieś szaleństwo. Ale nieważne, teraz już nic tam nie ma. Tylko trujący gaz, gorące skały i jakieś konające albo martwe, albo dopiero się rodzące byty. Zgliszcza.

Bierze mnie za rękę i zamyka je w dłoniach.

– Znajdziemy sposób, żeby być razem. Tak jak zaplanowaliśmy. Wiem o tym.

Kręcę głową, a on na mnie patrzy.

– Chciałabym – udaje mi się wykrztusić, chociaż sprawia mi to fizyczny ból. Słowa przeciskają się przez gardło zaciśnięte jak nigdy dotąd. Jeśli myślałam, że wiem wszystko o smutku, myliłam się.

Rozdział 18

Nie chcę iść z Ezrą do kina, to zawsze było moje miejsce. Czasem nawet chodziłam sama, jeśli tata, Pan albo Em nie chcieli. Uwielbiałam kino, tę chwilową ucieczkę. Nigdy nie poszłam z Domem. Może dlatego, że odkąd go poznałam, nie chciałam już uciekać.

Problem jest taki, że nie ma się wyboru, leci, co akurat włączą. Nie mam dowodu, ale jestem przekonana, że dobierają filmy adekwatnie do tego, co chcą nam przekazać. Moim zdaniem niezbyt dyskretna forma propagandy. Na przykład kiedy wszyscy mają dość życia na pokładzie i chcieliby się nigdy nie urodzić, wyświetlają coś rozkosznego albo bardzo zniechęcającego do Ziemi. Żebyśmy uwierzyli, że na Venturze nie jest tak źle. Jeślibym miała zgadywać, obstawiałabym na dzisiaj coś związanego ze świętami, bo gdy tylko kończy się umowny cykl trzystasześćdziesięciopięciodniowy, co nastąpi za miesiąc, bardzo się starają o odpowiedni nastrój załogi.

Nieważne, w każdym razie Ezra zamawia popcorn i patrzy na mnie, bo chociaż cały czas myślę o wielu różnych sprawach, milczę. Czekamy na kukurydzę i w końcu on pyta:

– Masz jakiś ulubiony film?

Kiedy się czuję tak jak teraz, nie umiem udawać, że wszystko jest dobrze. Nawet nie potrafię wydobyć z siebie głosu, więc przez chwilę milczę. Dopiero po jakimś czasie odpowiadam:

– *Zakochany bez pamięci.*

Opiera się o ladę i czuję, że mu ulżyło, bo coś wykrztusiłam, cokolwiek. Po minucie gapienia się i zastanawiania mówi:

– Nie znam. O czym to?

Analizuję i sprawdzam w myślach, jakich słów jestem w stanie użyć, a on w tym czasie odwraca się do dziewczyny za ladą, odbiera popcorn i mruga do niej jednym z tych swoich koszmarnych półmrugnięć, jak zwykle, kiedy z kimś flirtuje. Ona patrzy na niego tak, że ponad wszystko chciałabym zniknąć, więc odchodzę na bok.

– Gdzie idziesz? – pyta, doganiając mnie. – Opowiedz mi o filmie. O tym twoim ulubionym. – Wrzuca do ust garść popcornu, a potem

wyciąga plastikowy kubełek w moim kierunku, ale kręcąc głową.

– To o facecie, który zrywa z dziewczyną, a ona czyści sobie pamięć, bo nie chce więcej o nim myśleć. Męczy ją, że wspomina go w każdej minucie swojego życia, cierpi z tego powodu.

Przestaje chrupać, przygląda mi się, a ja jemu. Potem kiwa głową.

– No dobra. A co potem?

– Ona... Chyba... – Nie mogę dłużej udawać, że chce mi się o tym gadać, więc pytam tylko: – Idziemy czy nie?

Okazuje się, że się pomyliłam i nie ma filmu świątecznego. Leci taki, który już widziałam i po którym zawsze tęskniłam za zachodami słońca, jeziorami, bujną trawą, latem, kaczkami i domkami z desek, ale tym razem prawie nie patrzę, nie mogę się skupić na fabule. Zamiast się zatracić w filmie, wiercę się w niewygodnym fotelu, jest zimno, ciemno, a spod podłogi dobiega huk, bo kino mieści się niedaleko silników.

Po filmie idę do toalety, żeby się wypłakać, co mi dobrze robi i może dlatego zgadzam się potem iść z Ezrą na Taras Widokowy, bo jakoś mi się wydaje, że tylko powrót do miejsca, w którym ostatnio widziałam Doma, poprawi mi nastrój.

Na Tarasie zastajemy kilka osób, więc nie jest tak pusto jak ostatnio, ale jednak niewielu spacerowiczów się tu kręci. Jeszcze niedawno, kiedy ludzie schodzili się, żeby oglądać Huxley-3, panował tu gwar i śmiech. Ci, którzy przyszli teraz, płaczą się tylko z kąta kąt albo nie wiem, może tak mi się tylko wydaje. Ezra ciągnie mnie na fotele w trzecim rzędzie, a ja właśnie wtedy go dostrzegam, na samym przodzie, po prawej stronie. Dom. W miejscu, gdzie staliśmy tamtej nocy, jakby w ogóle nie ruszył się z miejsca, tyle że tuż obok niego śmieje się głośno Annelise.

Dziwne, jak bardzo panika przypomina strach, nie mogę oddychać, nie mogę mówić, chcę tylko biec. Odwracam się do Ezry, ciężko dyszę, walczę o każdy wdech, chwytam go za kombinezon i staram się nie patrzeć, ale patrzę, jak ona zakłada jasne włosy za uszy, a on na nią spogląda tak samo, jak patrzył na mnie, wtedy chcę, żeby mnie zobaczył, albo nie, nie chcę, jednak chcę, i czy... Czy on zawsze był taki piękny?

Ezra chwytam mnie za nadgarstki, więc się do niego odwracam, a on powoli porusza ustami i choć wydaje mi się, że nic nie mówi, skupiam

się, naprawdę bardzo się koncentruję, żeby usłyszeć słowa.

– Co się dzieje? Coś się stało?

Mogę tylko kręcić głową i oddychać tak głośno, że teraz już wszyscy się gapią, a gdy zerkam kontrolnie, okazuje się, że on też.

– Chcę stąd iść – wysapuję. – Zabierz mnie.

Obejmuje mnie więc i wychodzimy.

Na zatłoczonej Głównej wciąż nie mogę złapać tchu, więc zatrzymujemy się, każe mi na siebie spojrzeć i nakazuje:

– Oddychaj ze mną. – Więc próbuję, naśladowuję spokojny rytm, wdech, przerwa, wydech, naśladowuję ruchy jego klatki piersiowej, aż udaje mi się opanować. Wtedy kiwa głową. – Chcesz, żebym cię odprowadził do domu?

Nie mogę w tej chwili znieść myśli o przebywaniu sam na sam z myślami, więc kręcę głową opartą o jego pierś i mówię:

– Chciałabym być daleko stąd.

– Dobra – odpowiada. – Chyba znam odpowiednie miejsce.

Idziemy Główną aż do szybów i stajemy przed platformą transportową jadącą na dół, do doków, Ezra wczytuje kartę magnetyczną i wciska przycisk przywołujący windę, a potem odrywa mnie od swojej piersi, z którą się prawie zlałam i patrzy.

– Dokąd idziemy? – pytam, ale on się tylko uśmiecha.

Zjeżdżamy tak nisko, że aż mi pyka w uszach. Jesteśmy tylko my i dwaj piloci, którzy dosiadają się na Dolnej Zachodniej i stają w rogu, żeby się na nas gapić, ale wcześniej wymieniają z Ezrą szybkie uściski dłoni.

W dokach jest cholernie zimno. Ezra macha do paru chłopaków, a potem otwierają się przed nami wielkie drzwi i wchodzimy do wąskiego korytarza, tak długiego, że nie widać końca. Po obu stronach zapalają się co jakiś czas światła i wtedy dostrzegam włazy. Wówczas do mnie dociera, gdzie jesteśmy. Ezra bierze moją zimną rękę w swoją jeszcze zimniejszą, otwiera właz i wpycha mnie do środka.

Strasznie tu ciasno, a gdy zapalają się światła, okazuje się, że również biało. W dwóch rzędach umieszczono po dwa fotele, podłogi, ściany i sufit całe są w panelach kontrolnych, a do tego liczne schowki. Ezra przepycha się naprzód i woła mnie do siebie, więc idę, siadam na

fotelu drugiego pilota i patrzę przez wielką przednią szybę, a ponieważ z tego punktu nie widać Huxley-3, patrzymy w kosmos.

– Witaj w Explorerze 37.

– Latałeś tym?

– Jeszcze nie. Ale lubię czasem przyjść i posiedzieć.

Kiwam głową i odwracam się, a on coś wciska na jednym z ekranów i szuka jakiejś muzyki.

– Ale wiesz, jak się to robi?

– Uczę się przecież. Wahadłowce, pojazdy pomocnicze i sama Ventura mają ten sam program operacyjny, więc wystarczy go po prostu opanować. – Zaczyna grać muzyka, którą poznaję, już kiedyś tego słuchaliśmy, ale nie wiem kiedy; zresztą, mogło się to zdarzyć przy milionie okazji, biorąc pod uwagę, że prawie całe życie spędziliśmy niedaleko siebie.

– Latałeś kiedyś tak naprawdę?

– Uczę się jeszcze na symulatorach i nie załapię się już na żadną wyprawę na Huxley-3, ale raz byłem członkiem załogi.

– Poleciałeś tam?! – Śmieje się, widząc mój zachwyty. – I jak?

– No... Co mam powiedzieć? Widziałaś zdjęcia, słyszałaś raport.

– Wiem, ale... Powiedz, jak to jest tam być, widzieć prawdziwą planetę z bliska.

Znów sięga do ekranu kontrolnego, zaczyna po nim jeździć palcem, zmienia muzykę i wkurza mnie tym.

– Miała... – Wzrusza ramionami. – Masę.

– Masę? – powtarzam bezmyślnie. – Jaką masę?

– Jezu, nie jestem dobry w opisach. Ale skoro już się do mnie odzywasz, może mi coś wytłumaczysz? Co się stało? Na górze?

– Nic. – Wzdycham. – A w każdym razie nic, o czym warto gadać.

– I nie było w żaden sposób związane z Suarezem od ryb, który był tam przypadkiem ze swoją ładniutką żoną?

Cierpnie mi skóra głowy, ale udaje mi się zachować spokój, chyba głównie dlatego, że nie wiem, co robić. Mówię tylko:

– Ona nie jest jego żoną.

Ezra się tylko śmieje.

– Dobra, nieważne, ale pewnie nie podoba się jej, że jesteście

razem widywani w barach oraz jak wychodzicie ze swoich kajut. Mnie też się nie podoba.

Patrzę na niego, a on udaje, że jest bardzo zajęty wyświecaczem.

– Powiedziałeś o tym komuś? – pytam, choć dławiący w gardle strach trochę mi utrudnia mówienie.

– Oczywiście, że nie. Muszę myśleć o swojej reputacji, a czy mi się to podoba, czy nie, jesteś teraz jej częścią. Najlepiej będzie, jak zostawimy cały ten epizod z chłopakiem od ryb za sobą i będziemy udawać, że nigdy się nie wydarzył. Zresztą, każdy zrobił w życiu jakąś głupotę.

Coś się czai w ciszy, która zapada po tych słowach, ale nie zwracam na to uwagi. Nie chcę wiedzieć, o co mu chodzi, więc nie pytam. Wpatruję się w nieruchomy krajobraz, w galaktykę, która rozciąga się przed nami jak długa droga, której kawał został nam jeszcze do przebycia.

– Jak tu tak siedzisz, nie kusi cię, żeby wystartować?

– Nie. – Śmieje się i marszczy brwi. – Dlaczego miałbym to zrobić? Po co? Gdzie bym poleciał? To by było szaleństwo. A poza tym dezercerzy są karani rozstrzelaniem. Jeszcze nie zwariowałem. – Przygląda mi się przez chwilę, a potem pyta: – Chyba nie zamienisz się znowu w psychopatkę?

Zastanawiam się, czy mogę go walnąć, ale w końcu mówię tylko:

– Zamknij się, kretynie.

Czuję się w tej chwili taka zmęczona, Boże, zmęczenie sięga mi do szpiku kości. Mrugam szybko, opieram głowę o zagłówek i żeby nie zasnąć, pytam:

– Tutaj przyprawiasz dziewczyny?

Przez moment się zastanawia.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Jasne. Ale dobra, dajmy spokój.

Zbliża się, dotyka mojej twarzy i nachyla się jak do pocałunku, a ja najpierw się odwracam, dopiero za drugim razem pozwalam. Robię to chyba dlatego, że jestem mu trochę wdzięczna i bardzo smutna.

A jednak później, po powrocie do Północnej, kiedy pod prysznicem wpada mi w oko odbicie mojej twarzy w lustrze, przez moment wydaje

mi się, że to ktoś obcy.

Rozdział 19

Następnego ranka mam dzień wolny, ale przypada mój śniadaniowy dyżur w stołówce, co mi za bardzo nie przeszkadza, bo polega to tylko na tym, że najpierw nakładam jajka, a potem ładuję naczynia do zmywarki i o dziesiątej jest już po wszystkim. Wracam do kajut, żeby się jeszcze zdrzemnąć, ale czeka tam na mnie Dom. Jest smutny, piękny i opiera się o ścianę jak to on, ale na mój widok powoli się prostuje i zdejmuje czapkę, jakby się szykował do rozmowy, gdy jednak przed nim stoję, otwiera usta, ale nie wydostają się z nich żadne dźwięki. Odwracam się, żeby odejść, a wtedy łapie mnie za rękę.

– Co tu robisz? – pytam, nie patrząc na niego.

– Chciałem... – zaczyna i milknie. Podnoszę wzrok, ale tylko kręci głową i głaszcze kciukiem grzbiet mojej dłoni, tak mocno, jakby chciał zrobić dziurę. – Pamiętaj, że zrobiłbym wszystko, żeby być z tobą. Ty uznałaś, że to niemożliwe.

– Idziemy naprzód – cytuję chyba kapitan Kat i od razu tego żałuję. Zaczyna mnie do siebie przyciągać, aż jestem bardzo blisko, nie na tyle, żeby go dotykać, ale prawie. Rozgrzewa mnie ciepło jego ręki, na szyi czuję oddech.

– *Te extraño, estrellita* – mówi, a potem dodaje: – Nic innego nie robię, tylko za tobą tęsknię, wiesz o tym?

– Jasne – śmieję się gorzko. – Przecież widziałam. Jak jesteś z nią, nic innego nie robisz, tylko tęsknisz za mną.

– Seren, przecież ty tam byłaś z NIM.

– Wiem.

– I to jest w porządku?

– To nie ja tu stoję i mówię, że tęsknię.

– Wczoraj się zdenerwowałaś. Myślałaś, że nie przyjdę sprawdzić, co z tobą?

– Nic mi nie jest. Nie chcę, żebyś do mnie przychodził, dobra? – Mój głos jest beznamiętny i piskliwy, staram się otrzeć te głupie łzy, od których pieką mnie oczy, tak, żeby nie zauważył, ale to się przecież nigdy nie udaje, prawda? Stoję więc i cała się trzęsę, a on sięga do moich

włosów, łapie za kucyk, podnosi do twarzy i wacha, nie widzę, ale wiem, bo już kiedyś go podpatrzyłam. Odsuwa go na miejsce, wygładza, przejeżdża mi dłonią po plecach w górę i w dół, a następnie chwyta za ramię. – Mam ochotę cię spytać, czy wczoraj ją pocałowałeś – burczę w stronę podłogi. – Ale potem sobie przypominam, że nie chcę słyszeć więcej kłamstw. – Próbuję odejść, ale przyciąga mnie do siebie, mocno obejmuje i przestaję się trząść albo trzęsę się jeszcze bardziej, sama nie wiem, w każdym razie stoimy w kącie, przytuleni do zimnego boku maszyny na przekąski, w jednym z tych miejsc, w których słyhać tylko rezonowanie silnika i zastanawiam się, czy nie możemy tu zostać na zawsze.

– On będzie dla ciebie dobry, prawda? – szepcze mi prosto do ucha, a głos tak mu drży, że wszystko mnie w środku boli, a na kombinezon spływa mi potok gorących łez. – Chciałbym tylko wiedzieć, czy on wie, jakim jest szczęściarzem. Ma ciebie.

Zaczynam się szarpać, daję mu kuksańca i wtedy mnie puszcza, nie utrudnia sprawy, tylko patrzy, jak się do niego odwracam, jakby to był ostatni raz i jest taki niesamowicie piękny, gdy stoi oparty o ścianę, z rumieńcem widocznym mimo śniadej skóry i z błyskiem w oczach, który może mnie pogrążyć.

– Chcę, żebyś wiedział... – Walczę o wyduszenie z siebie każdego słowa. – Nie ja uznałam, że nie mamy szans. Tylko życie. Miejsce. System. Nie mów nigdy ani nawet nie myśl, że ja, bo to nieprawda. – Odwracam się i zaczynam iść, ale jednak się zatrzymuję. – Obiecasz mi coś? – Kątem oka widzę, jak kiwa głową, więc przelękam ślinę, przyciskam rękę do żołądka, staram się oddychać, ale cały czas wątpię, czy uda mi się wydobyć z siebie głos. – Przestań do mnie przychodzić, nawet się nie odzywaj. Nie możemy... Pewnie zawsze tak będzie. Zrób to dla mnie.

– Nie, proszę cię – bąka.

Ale wiem, że się zgadza, słyszę to w jego głosie, poznaję po sposobie, w jaki szczypie się w grzbiet nosa, jak pociera czoło i już na mnie nie patrzy, a gdy odchodzę, słyszę tylko szum hipernapędu. Tamerlan, chłopak, który zastępuje mnie w soboty, idzie napełnić maszynę batonikami Nutso i obserwuje nas, jak się rozchodzimy w

przeciwnych kierunkach.

Rozdział 20

Idę z Ezrą do baru na podwójną randkę z Emme i z Leonem, ale głównie zajmujemy się ignorowaniem siebie nawzajem, siedzimy tylko pod zielonymi i czerwonymi gwiazdkowymi światełkami, które migają, i patrzymy, jak inni śpiewają karaoke. W którymś momencie Ezra i Leon idą po drinki, a Emme łapie mnie za rękę, mocno.

– Jestem taka podniecona!

– Czym? – pytam, choć wcale mnie to nie obchodzi.

Nie wierzy, że pytam.

– Twoim ślubem, a czym?!

– A, no tak.

Nie wie, jak się zachować wobec mojego braku zainteresowania, ale brnie:

– Masz Pan, ale daj znać, gdybyś potrzebowała drugiej druhny, dobra?

Mrugam i nic nie mówię. Bo co bym mogła powiedzieć? Czuję się, jakbym przeżyła całe alternatywne życie, o którym ona nic nie wie, a nasza przyjaźń pozostała w innym wymiarze. Może mam wszystko wypisane na twarzy, bo kuli się i odsuwa, a gdy wracają Ezra i Leon, już tylko zagryza wargę.

Leon opowiada o swojej Służbie i niestety brzmi to tak, jakby pracował przy segregacji odpadów, więc od razu myślę o Domie i trochę trwa, nim włączę się z powrotem do rozmowy. Kiedy wreszcie mi się udaje, rozmawiają znów o ślubie. Nie mogę tego znieść, więc się wtrącam.

– A kiedy wasz ślub? – Odbijam piłeczkę i patrzę, jak nerwowo zmieniają pozycje i zerkają po sobie. Potem Leon odpowiada:

– Będziemy się trzymali tradycji i poczekamy do zakończenia Służby. Ostatnimi czasy wiele osób trochę zwleka albo się śpieszy, ale cóż mogę powiedzieć, jestem tradycjonalistą. – Bierze Emme za rękę i ściska, a ona uśmiecha się sztucznie i niepewnie klepie jego dłoń. – Nie wszystkim aż tak desperacko jak wam śpieszy się do robienia dzieci – dodaje jeszcze i śmieje się idiotycznie. Reszta też się śmieje, tylko ja nie,

bo jestem zbyt zajęta wzdryganiem się.

Potem się okazuje, że Leon wpisał siebie i Emme na listę wykonawców i kiedy przychodzi ich kolej, ona piszczy przez jakieś pół minuty, udając, że nie chce iść, ale wreszcie łądają razem na scenie i śpiewają tę świąteczną piosenkę, którą wszyscy uwielbiają, o dawaniu serca w prezencie gwiazdkowym. Obserwuję ich, jak niepewnie przestępują z nogi na nogę, patrzą sobie w oczy, fałszują i się z tego śmieją.

– Wyobrażam sobie, że kiedyś tam będą mogli być razem szczęśliwi. Są równie żałośni. – Ezra się krzywi, kiedy to mówię, więc dodaję: – A tak w ogóle, nie znoszę klubów karaoke. Kompletnie bezsensowna rozrywka. Dobija mnie.

Kręci głową.

– Ciebie wszystko dobija.

Wtedy dzwoni mój pod, a po wysłuchaniu osoby po drugiej stronie linii, oznajmiam tylko:

– Muszę iść.

Docieram do Medycznego, ale nie wiem, co dalej. Idę do poczekalni, bo tylko to miejsce znam, poza gabinetem doktora Mada oczywiście. Wpadam w taką panikę, że dziewczyna w rejestracji myśli chyba, że mam jeden ze swoich epizodów i nie słucha, co do niej mówię. Wtedy akurat w oświetlonym na pomarańczowo korytarzu po lewej pojawia się doktor Wong, ojciec Emme. Dostrzega mnie przez okrągłe okienko w podwójnych drzwiach w tej akurat sekundzie, kiedy postanawiam, że wychodzę. Chyba wie, co mi chodzi po głowie, bo ostrożnie otwiera drzwi, obserwuje, jak nurkuję pod jego ramieniem, a następnie wskazuje brodą korytarz.

– Wiem, że się boisz – mówi do moich pleców, bo zmierzam już w kierunku drzwi, które mi wskazał – ale jestem przekonany, że ona boi się bardziej.

Zbliżamy się i słyszę Pandorę, jak wrzeszczy, syczy i krzyczy, a do tego wydaje dziwny rytmiczny dźwięk, jakieś „herrr, herrr, herrr” brzmiące jak mantra i nagle dociera do mnie, że otwarcie drzwi zapoczątkuje łańcuch zdarzeń, nad którymi nie będę umiała w żaden sposób zapanować. Nie wiem, czy to ta myśl zatrzymuje mnie w progu,

czy tylko strach przed krwią, bólem, śmiercią i nieoczekiwaną świadomością, że można nas połamać, rozerwać na kawałki i zmiażdżyć. Na szczęście w tej właśnie chwili pielęgniarka postanawia wyjść i zastaje mnie za drzwiami.

– Jesteś jej siostrą? Świetnie. Włóż to i chodź.

Kilka minut później stoję obok Pan ubrana w obrzydliwą, zieloną piżamę, na twarzy mam maskę, a ona krzyczy, poci się, przeklina i nie wie, że to ja. Dopiero kiedy się na chwilę uspokaja, biorę ją za rękę, a ona ją ściska.

– O Chryste, dzięki Bogu, że jesteś. – Nigdy w życiu nie słyszałam z jej ust takich słów i nie spodziewałam się usłyszeć. Płacze i rozciąga swoje ładnie wykrojone usta na wyschniętych zębach. – Kazali mi słuchać serca, ale bicie zwalniało, więc im powiedziałam, że nie chcę. Cały czas myślę, że ona umrze... herr, herrr, herrr. – Zaczyna się kolejny skurcz i odwraca się ode mnie, zawiesza na czymś wzrok, ale wydaje mi się, że nic nie widzi, tylko mocno zaciska moją dłoń i boję się, że połamię mi kości. Zaraz potem odczuwam ulgę.

Gdy tylko skurcz mija, zaczyna trajkotać na nowo, jakby się nic nie stało.

– Po drugiej stronie korytarza jest taka kobieta, musieli jej wyciągnąć dziecko, a ona krzyczała tak głośno... Nie chcę, żeby mnie to spotkało, bo...

– No dobrze, Pandoro – włącza się stanowczym głosem pielęgniarka. – Mamy już niemal pełne rozwarcie. Jeszcze chwila i będziemy przeć.

– Przeć? – powtarza Pandora niemal sinymi ustami. Oczy ma wytrzeszczone, a pot zbiera się jej w zagłębieniach obojczyków.

– Tak, przeć! – Staram się brzmieć optymistycznie. – To dobrze, prawda? Bo w takim razie niedługo koniec. Już prawie po wszystkim!

– Prawie po wszystkim? – powtarza nieprzytomnie. – Ale gdzie Cain? Gdzie on jest? – Bo oczywiście z tego właśnie powodu się tutaj znalazłam: on od kilku godzin nie odbiera poda i nikomu nie udało się go znaleźć, więc tata przeczesuje plac i wszystkie inne miejsca, jakie nam przyjdą do głowy. Ból znów się zaczyna, Pan łapie mnie za rękę i krzyczy:

– Mam dość! – Potem zaczyna płakać.

Powinnam ją jakoś pocieszyć, ale jedyne, co mi przychodzi do głowy, to myśl, że gdybym była na jej miejscu, też bym miała dość.

– Coś będzie nie tak – zawodzi po następnym skurczu, który niemal zabił nas obie. – Strasznie się boję, że dziecko się urodzi zdeformowane.

Powstrzymuję się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Oczywiście, że nie! Niby dlaczego?

– Nigdy ci o tym nie powiedziałam... – Krzywi się, a łzy płyną jej po policzkach. – Nie powiedziałam nikomu z wyjątkiem Caina.

– Czego mi nie powiedziałaś?

– Za bardzo się wstydziłam. – Znów się zaczyna, więc syczy i nie odrywa ode mnie wzroku, ale wkrótce skurcz mija, więc kontynuuje: – To było naturalne poczęcie.

– Czyli że...

Zanosi się płaczem, a gdy zaczyna znów mówić, trochę pluje.

– Kiedy poszliśmy na wszczepienie, okazało się, że... już byłam w ciąży.

Marszczę brwi.

– Ale przecież zbadali cię. Nie pozwoliliby ci jej utrzymać, gdyby z dzieckiem było coś nie tak. – Kiwa głową, ale sekundę później atakuje kolejny skurcz, zalewa ją jak fala. – Wszystko będzie dobrze – zapewniam i ściskam jej dłoń w obu rękach. Potem cicho się śmieję. – Dlaczego się tego wstydzisz? Uważam, że to urocze.

Ona też się śmieje przez łzy.

– Naprawdę? Ale proszę cię, nie mów tacie ani dziadkowi.

Wchodzi doktor Wong w zielonej piżamie i poznaję go, dopiero gdy się odzywa:

– Seren, przyszedł wasz tata. Nie udało mu się znaleźć Caina, więc pyta, czy chcesz, żeby cię zastąpił. On albo Olivia.

Już mam mówić, że chcę, kiedy Pan łapie mnie za przód fartucha i przyciąga do siebie.

– Nie! – piszczy. – Nie, Seren. Chcę, żebyś tu była. Nie zostawiaj mnie, błagam.

No więc oczywiście kiwam głową.

– Dobrze. Nigdzie nie pójdę.

Jakiś czas później, który wydaje się jednocześnie kilkoma sekundami i tysiącem lat, pielęgniarka podnosi jedną nogę Pan i każe mi zrobić to samo z drugą, podnieść, założyć sobie na ramię i przygiąć do brzucha, pewnie po to, żeby pomóc dziecku wyjść. Robię to, bo co mi innego pozostało? Wszystko kosztuje Pan za dużo cierpienia, to całe parcie, widzę żyły pulsujące na jej czole i gardle, strasznie długo trwa, zanim pojawi się główka, a wtedy sama zaczynam błagać, niech coś zrobią, bo ona jest zbyt zmęczona i pewnie coś nie jest w porządku, bo nie ma mowy, żeby tak to miało być. Ale wtedy nagle, niespodziewanie, cudownie i magicznie pojawia się dziecko. Ona jest na świecie.

Moja siostrzenica jest długa, chuda, fioletoworóżowa, umazana czymś białym i czerwonym. Leży na piersi Pan, moja siostra ją przytula, całuje jej ciemne wilgotne włosy i powtarza:

– Cześć, moje kochanie, witaj.

Już wiem, dlaczego ludzie uważają tę chwilę za niezwykłą: witamy istotę, która będzie częścią naszego życia, kontynuacją rodziny, ale w tej chwili nie wiemy jeszcze o niej nic, poza tym że ma maleńkie ciało, kudłatą głowę i... nie płacze. Zabierają ją i gdzieś niosą, a my się zaczynamy zastanawiać.

– Nic jej nie jest? – pyta Pan, a ja bez namysłu kiwam głową. Ona docieka: – Wszystko z nią w porządku? – Gdy widzi, że nie mam pewności, krzyczy: – Idź sprawdzić!

W jednej chwili jestem tuż obok dziecka, patrzę, jak odsysają śluz z jej małego noska i buzi, a ona się wiję na białym ręczniku, ale nadal nie płacze.

– Seren, mów, co się dzieje? – woła Pan.

Zupełnie nie jestem pewna swoich słów, ale krzyczę:

– Wszystko dobrze! – Dostrzegam, że pielęgniarka kiwa głową i chociaż jestem pewna, że jeszcze wiele może się zdarzyć, sytuacja wygląda lepiej. Ta kobieta, mikroskopijna, nowa kobieta z rodziny Hemple'ów, nie podda się bez walki. Gdy w końcu owijają ją w kocyk i kładą mi w ramionach, przyglądam się jej ślicznym ustom, eleganckim palcom i myślę sobie, że to ktoś, kogo już znam, część mnie, stworzona z tej samej co ja materii, chociaż w ogóle tego nie rozumiem. Niosę ją do

jej matki, składam w ramionach Pan i widzę już, dlaczego ludzie to robią i po co chcą robić, mimo że jest to zorganizowane zupełnie inaczej, niż powinno, ale jednocześnie tak porażające i potężne. Widzę, jak Pan ją do siebie przytula i mówi: „Moja córeczka, moja śliczna córeczka” i wiem, że chociaż jeszcze w ogóle jej nie zna, już ją kocha.

Jakiś czas później wpuszczają tatę i Olivię, którzy stają nad łóżkiem i gruchają. Mała ma sterczące, puszyste włoski, śliczne małe usta i nazywa się Deborah. Tata jest wzruszony, w jego przypadku objawia się to trochę wilgotnymi oczami. Olivia bierze Deborah na rękę, patrzy Pan w oczy i wypytuje o szczegóły porodu. Potem, kiedy już ma wychodzić, łapie mnie za rękę i pyta, czy nie wiem, gdzie jest Cain, a ja mówię, że pewnie w usługach komunalnych albo gdzieś w okolicy (raczej w okolicy). Wtedy oznajmia:

– Musimy się nią zajmować w tych pierwszych dniach. Wspierać ją. Nie wolno nam zapomnieć, co spotkało twoją mamę.

Z jednej strony wydaje mi się dziwne, że mówi to akurat mnie, ale odczuwam też ulgę, że ktoś się odważył o niej wspomnieć.

Pan nakarmiła małą, światło w pokoju jest przyćmione, a Deborah leży w plastikowym łóżeczku i przez sen porusza ustami, jakby ssąca, a drzwi się po cichu otwierają i ktoś mówi: „Puk, puk”. Zawsze, jak to słyszę, myślę, że to najgłupsza rzecz na świecie. Odwracam się i widzę Ezrę.

– Wejdz! – Pan wyciąga do niego rękę, a on ją bierze, całuje i mówi:

– Gratulacje, mamusiu, wspaniałe wieści!

Ona mruczy z zadowolenia. Ezra podchodzi do łóżeczka i pochyla się, odsuwa kocyk, żeby zobaczyć buzię Deborah, a potem ją budzi, mała macha piąstkami i wydaje dziwne odgłosy, więc kiedy już zaczynam myśleć, jakim jest kompletnym idiotą, podnosi ją, jakby robił to miliony razy wcześniej i kładzie sobie na przedramieniu, a ona leży zupełnie spokojnie i słucha:

– Wreszcie jesteś. Jesteś już, mała dziewczynko. – Gada jakieś głupoty w tym stylu, a ona cały czas leży bez ruchu i wpatruje się w niego jak w obrazek.

– Widzę, że już to robiłeś? – ćwierka Pan i podnosi brwi, a on do

mnie podchodzi i jakbyśmy to od dawna ćwiczyli, obejmuje mnie wolną ręką. Pyta, czy wszystko w porządku, więc się do niego odwracam, a on mnie wtedy całuje, jak gdyby nigdy nic, i Boże, nie wiem, ale w pewnym momencie opieram się na nim, może nawet się z nim stapiam i myślę, że pod pewnymi względami jest dla mnie dobry, nasze ciała pasują do siebie. Dom był za wysoki, o co najmniej trzydzieści centymetrów wyższy, wszystko wypadło w złych miejscach i przyplacaliśmy to dosłownym bólem w szyi, gdy go ciągnęłam do siebie, a on się garbił, ugiął kolana i sama nie wiem, co jeszcze, żeby znaleźć się na moim poziomie. Coś nie grało.

Cain w końcu oddzwania i Pan płacze, więc zbieramy się do wyjścia, ale kiedy już mamy wychodzić, woła mnie do siebie i przytula, pierwszy raz od czterech czy pięciu lat.

– Kocham cię – mówi, też pierwszy raz od wieków. – Dziękuję. – Słyszę w jej głosie łzy, więc idę do drzwi, wychodzę i wpadam prosto na Ezrę, który obejmuje mnie w talii, całuje w szyję, masuje mi plecy i mówi:

– Dobra robota, Hemple.

– Tak, to było... – Oczywiście nie wiem, jak skończyć, więc tylko kręcę głową i milknę. Wtedy mnie całuje, a ja całuję jego i myślę, że przynajmniej to w nim lubię. Lubię jego ruchy. Lubię jego skórę, sprężystą jak guma. Lubię chłodne, ciężkie włosy w moich dłoniach. Chcę go. A przynajmniej nie czuję, że nie chcę. A to już coś, prawda?

Ktoś nas mija. Przeprasza, ale odwraca się i zerka, co pewnie nie jest wcale zaskakujące. Dochodzi już do końca korytarza, kiedy odwraca się po raz ostatni, i wtedy okazuje się, że to Annelise. Uśmiecha się przelotnie i znika.

Rozdział 21

Przyjdiesz jutro, tak? – pytam Marianę dzień przed moim ślubem i staram się nie zwracać uwagi na mdłości.

Przestaje na chwilę czyścić brudną klapę maszyny, którą się zajmujemy, niedaleko Dowództwa, przy biurze deszyfryzacji, i przygląda mi się.

– A chcesz?

– Oczywiście. Jesteś moją przyjaciółką.

Unosi brwi.

– W takim razie przyjdę. – Wraca do szorowania, ale po chwili pyta: – Cieszysz się? – Nie odpowiadam, wpatruję się tylko w ostrą stronę gąbki, której powinnam używać. – Robisz to, co należy, *amiga*. Nie wychylaj się. Cała reszta wpakuje cię w kłopoty, z których nie wybrniesz.

Nadal milczę i w tej ciszy słyszę sygnał Epsilon, dochodzący spod najbliższych drzwi. Myślę o ludziach, którzy spędzają rok za rokiem, zastanawiając się, jakie treści niesie.

– Jak on się ma? – pytam.

Znów przestaje szorować, wzdycha, odkłada gąbkę na podłogę i patrzy na mnie.

– Co mam ci powiedzieć?

Kręcę głową, bo sama nie wiem.

– Że wszystko u niego w porządku – mruczę.

Ściąga czapkę i ramieniem ociera pot z czoła.

– W takim razie, wszystko u niego w porządku.

– Muszę iść – oznajmiam. Słyszę, że głos mi się łamie. – Pamiętasz, mówiłam ci, że wyjdę dzisiaj wcześniej.

– Fakt. A czemu?

– Idę na... Mam pobór jajeczek.

Patrzemy na siebie w milczeniu.

– Iść z tobą?

Kręcę głową, ale zmuszam się do uśmiechu:

– Dzięki.

Siedzę przed laboratorium Koncepcyjnego, w Naukowym, piętro nad Medycznym, i oglądam instruktażowy filmik, puszczaony wciąż od nowa. Obok mnie siedzi para, którą skądś kojarzę, trzymają się za ręce. W filmie występuje uśmiechnięta kobieta i jej dwoje rozkosznie roześmianych dzieci, gra muzyka, a lektor nawija o tym, że zostaną pobrane najlepsze jajeczka i zachowane, aż nadejdzie czas, co pozwoli uniknąć ryzyka, niebezpieczeństwa i bólu. Potem jest dość obleśny fragment przedstawiający parę dokazującą w swoim mieszkaniu i chodzi generalnie o to, że dopiero teraz można zacieśniać więź z mężem, kiedy ryzyko naturalnej ciąży jest już niewielkie. Ale nie zerowe, bo jednak jakieś jajeczka muszą zostać, więc jakieś piętnaście procent. Kobiety czasem zachodzą w ciążę naturalną drogą. Wtedy płód zostaje zbadany i jeśli to konieczne, wykasowany. Ryzyko ciąży to także świetny argument dla kobiet, żeby nie przyszło im do głowy sypianie z kimś, z kim nie powinny.

Myślę o Ezrze i zdaję sobie sprawę, że stopniowo przestaję go nienawidzić. Dopiero kiedy wyobrażam sobie spędzenie z nim reszty życia i wspólne rozmowy, w pomieszczeniu zaczyna brakować tlenu.

BIP! Czerwonymi literkami wyświetla się moje nazwisko. Już raz się to wydarzyło, pamiętam jak przez sen.

W środku jest mi zimniej niż kiedykolwiek, kiedy póллеżę w rozciętej na plecach koszuli, rozłożone nogi opieram na lodowatych metalowych strzemionach i oślepia mnie wielka, okrągła lampa. Nagle zaczynam beznadziejnie płakać, szlochać głośno, a pielęgniarka patrzy na mnie martwymi oczami, wyglądającymi znad maseczki chirurgicznej.

– Nie chcesz wyjść za mąż?

Głaszczę mnie po łydce, a jej dotyk jakby zdzierał mi skórę. Do gabinetu wchodzi lekarz i mówi:

– No dobrze, panno Hemple, wkrótce rozpocznie pani życie szczęśliwej mężatki.

Płaczę jeszcze bardziej.

Wieczorem idę do Pan. Przygląda mi się bacznie. Trzyma dwa kieliszki wina musującego, którego używamy przy uroczystych okazjach.

– Czemu jesteś taka smutna? To wszystko element zamążpójścia!

Cieszymy się!

– Gdzie Cain?

– Z chłopakami z Lotniczego, imprezują z Ezrą. No wiesz, ostatni wieczór wolności, takie tam.

– Jasne. – Kiwam głową. – Rozumiem.

– Obiecał, że nie będzie go trzymał zbyt długo, więc się nie martw.

– Nie martwię się.

– No tak. – Wybuchła śmiechem, co za idiotka, po dziewięciu miesiącach bez alkoholu jest pijana już po jednym łyku. Pewnie dlatego zagaja: – A tak między nami, Seren, o co chodziło z tobą i Domingiem Suarezem?

– Między nami? – Unoszę brwi. – Tym razem nie pójdziesz na skargę prosto do dziadka?

– Nigdy nie poszłam!

– Niech ci będzie.

– Przecież wiesz, że tata mu powiedział. – Siada obok mnie na ławce w kambuzie i ścisza głos. – Martwił się o ciebie. No to mów, co się dzieje?

Patrzę na nią przez dłuższą chwilę i zastanawiam się, czy pyta szczerze i czy mogę szczerze odpowiedzieć. Dochodzę do wniosku, że nie, więc wzdycham i mówię:

– Nic. O co ci chodzi?

Obie wiemy, że kłamię, więc tylko na mnie spogląda znacząco.

– Cieszę się, że to mówisz, bo on nie jest tego wart.

– Według kogo?

– Według mnie. I pewnie każdego, kogo zapytasz.

– Bo?

– Bo... – Jest trochę wstrząśnięta i w zasadzie jej się nie dziwię, bo gdybym zdecydowała się brnąć w kłamstwo, nie powinnam w ogóle zadawać takich pytań, ale nie mogę się powstrzymać. Wkłada włosy za uszy i szerzej otwiera oczy. – Ciągną się za nim kłopoty. Zawsze je miał. Zaraz jak skończyliśmy Edukację, była jakaś grubsza akcja, nie pamiętam szczegółów. Chodziło o coś związanego z tym jego dziwnym kuzynem. Przez dłuższy czas miał z tego powodu poważne problemy w Ochronie. Nie wplątuj się w to, mówię ci, nawet na stopie koleżeńskiej.

– Posłuchaj, Pan, jak będę miała ochotę wysłuchać twojej rady, to cię poproszę, dobra?

Śmieje się.

– Ja mam oczy. Widzę, jak on wygląda, ale poza tym niewiele ma zalet.

Nie powinnam do tego dopuścić, ale trafia mnie szlag.

– Nie waż się tak o nim mówić. Nic o nim nie wiesz!

Wygląda na zszokowaną, ale udaje jej się roześmiać.

– Aż tak? Udawanie, że nic was nie łączy, nie wychodzi ci najlepiej. – I oczywiście ma rację, więc milczę, unikam jej wpatrzonych we mnie oczu, a cisza między nami gęstnieje. – Powiedz tylko: spałaś z nim? – Kołysze resztkę wina na dnia kieliszka.

– Oczywiście, że nie!

– Na pewno?

– Przecież powiedziałam. – Milknę na zbyt długo, a potem dodaję:
– Prawie go nie znam, zapomniałaś?

Śmieje się tylko, a godzinę później zasypia w łóżku z Deborah u boku, a ja zostaję w kambuzie i trzęsę się z zimna, chociaż mam na sobie kurtkę i jej obszerną, ciężową narzutkę. Wybieram na ekranie podgląd na przestrzeń poza statkiem i wpatruję się w gwiazdę widoczną pośrodku. Eridani, do której dotrzemy za dwieście sześćdziesiąt dwa lata. Czuję się jak kupka prochu. Zawsze tak mam po winie musującym. Inni są w świetnym humorze, a ja się zmieniam w pył.

Akurat ocieram z policzka łzę, gdy rozlega się brzęczyk przy drzwiach. Podejrzewam, że to Cain nie pamięta kodu, więc wstaję i otwieram. Mam już przygotowaną wiązanekę informującą go, że jest kompletnym idiotą, ale okazuje się, że to nie on.

Tylko Dom.

– Miałem nie przychodzić, wiem, ale... – Wzrusza przeproszająco ramionami, opiera się o framugę, przytula do niej twarz. – Musiałem. – Patrzy na mnie, widzi, że ja też na niego patrzę, widzi, że zaczynam płakać. Kręci głową. – Przepraszam. Nie powinienem był. Zachowałem się jak egoista. – Odwraca się, żeby wyjść.

– Nie idź, proszę. – Wydaję z siebie żalosne zawodzenie, roznoszące się echem po korytarzu, a on od razu wraca i mnie łapie, bo

uginają się pode mną nogi.

Zamykam drzwi, a potem stoimy, patrzymy na siebie, słuchamy niewypowiedzianych słów. Nagle się okazuje, że biorę go za rękę i podnoszę ją do twarzy, trzymam w obu dłoniach, dużą, silną, z białą skórą pod krótkimi paznokciami. Jest piękna. Unoszę ją do ust, a on muska mój policzek, brodę, szyję, wplata mi palce we włosy, przyciąga mnie do piersi, a potem nachyla się, przyciska usta do linii między włosami a czołem i wzdycha.

– Przyszedłeś mi powiedzieć, żebym za niego nie wychodziła? – pytam wciąż łamiącym się głosem.

– Nie. – Z jego piersi rezonuje napięcie, które słyszę w jego głosie. – Twój ślub nic nie zmieni, nie przestanę cię kochać. Ani tęsknić. Przez resztę życia będę pragnął, żebyś była moja.

Patrzę na niego:

– Jestem twoja. Zawsze będę. – Całuje mnie, długo, zdecydowanie, mocno, a ja przyciągam go do siebie, przywieram do jego ciała, jakbym mogła sprawić, że stanie się częścią mnie. Między pocałunkami szepczę: – Przepraszam.

Podnosi mnie, niesie do kuchennej ławki, a potem kręci głową.

– Nie przepraszaj.

– Nie mogę bez ciebie żyć.

– A ja bez ciebie.

– Jak mogłam w ogóle myśleć, że dam radę...

Uśmiecha się, siada i sadza mnie sobie okrakiem na kolanach.

– Ja też nie wiem.

– Przestań papugować. – Śmieję się, głaszczę jego ciemne włosy, wkładam mu je za uszy, muskam palcami rzęsy, taka szczęśliwa, że jest obok.

– Nie papuguję, tylko... Czuję to samo. Wypowiadasz na głos moje myśli, jak zawsze zresztą. – Później z wielkim wysiłkiem przerywamy pocałunek na dość długo, żebym zdążyła się odezwać:

– Wiesz, jak często chcę ci coś powiedzieć? Jesteś jedynym człowiekiem, z którym mam ochotę rozmawiać. Wszystko jedno kiedy. Zawsze. Mam w podzie długą listę tematów.

Śmieje się.

– Serio? Taką prawdziwą listę?

– No tak. To dziwne? – Krzywię się, a on się nachyla i mruczy prosto w moje usta:

– Urocze. Pokaż mi tę listę. Chcę zobaczyć.

– Najpierw ty mi opowiedz. Co robiłeś? – Opieram głowę o jego rękę, którą wyciągnął na oparciu ławki.

– Nic. Tylko tęskniłem za tobą, *estrellita*. Słyszałem, że urodziła ci się siostrzenica.

Uśmiecham się, ale szybko przestaję.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Od Mariany.

Kiwam głową, a potem nagle dociera do mnie, jak strasznie mocno bije mi serce. Próbuje przełknąć ślinę i oddychać normalnie.

– Co zrobimy?

W tej chwili odzywa się znów brzęczyk przy drzwiach. Spoglądamy na siebie z przerażeniem. Podchodzę, włączam interkom i pytam, kto tam.

– Jezu, Seren, wpuść mnie. – To Cain. Jest kompletnie pijany.

Otwieram. Dom wstaje z ławki i podchodzi, a Cain przekracza próg i od razu pada na twarz.

– Nic mi nie jest – mruczy z podłogi.

– Lepiej idź – sugeruję Domowi.

– Nie ma mowy. – Kręci głową. – Nie zostawię cię z nim.

No więc szamoczemy się z Cainem, aż udaje nam się posadzić go na ławce i wmusić w niego trochę wody z dyspensera, a on wywraca oczami, mówi za głośno, więc go uciszamy, żeby nie obudził Deborah, a później zarzuca Domowi ramię na szyję i stęka:

– Kurna, Suarez, co ty tu robisz? Nie słyszałeś, co ci mówili? Jesteś normalnie szalony! Zawsze wiedziałem, że jesteś! Ten koleś – przyciąga do siebie głowę Doma – i ja jesteśmy z tej samej generacji. Wiedziałaś o tym? Generacja 81. *Lo mejor*, tak? Kocham tego gościa. W ogóle mnie nie dziwi, że ty też, w ogóle. Tylko chciałbym, żeby wszystko przebiegło inaczej. Nieźle by było, co? Albo żeby każdemu się tak farcilo jak mnie i Pan. Wiesz, *hermano*, przecież ona zawsze była dla mnie. Chciałem jej, co noc się o nią modliłem i udało się. Ale ilu tak trafia? Dziewczyna z

moich marzeń, stary! – To powiedziawszy, pada głową na blat stołu, a potem pociera czołem o przedramiona.

Patrzę na niego i dochodzę do wniosku, że jest w nastroju do zwierzeń, więc postanawiam się z nim pobawić.

– Słuchaj, Cain, to dlaczego w takim razie jesteś beznadziejnym mężem? – Dom parska śmiechem, a ja brnę. – Nie, no, serio, jesteś do chrzanu. Przegapiłeś narodziny własnego dziecka, bo chlałeś w jakiejś świetlicy.

Cain kręci głową, ale jej nie podnosi.

– Ty nie rozumiesz. Czaisz? Nie ogarniasz tematu. Nie wiesz, jak ciężko jest kłamać. Ciągle. Tylko po to, żeby dotrzymać bezsensownej tajemnicy, chociaż nawet nie wiesz, po co. Nie mogę na nią patrzeć, na tę piękną kobietę, którą całe życie kochałem i której nigdy nie oszukałem, a jednak dalej kłamię. – Siada, krzywi się, jakby skosztował czegoś paskudnego i kręci głową. – Nie mogę tak.

Przez cały ten czas Dom i ja siedzimy po jego obu stronach i patrzymy na siebie, aż w końcu, chociaż boję się poznać prawdę, pytam:

– Co to za kłamstwo?

– Ona jest... piękna.

– Kto?

– Huxley-3.

Zapada cisza, spoglądamy na siebie z Domem i mam oczywiście ochotę powiedzieć: „Tak, Cain, jasne”, ale tego nie robię. Myślałam, że ma romans albo problem z piciem, ale to... Jak do tego podejść?

– Nie, nie, na serio – przekonuje. – Mam dość. Tam jest wszystko, o czym marzyliśmy, a nawet więcej. Plaże, turkusowe morza i, byście nie uwierzyli, nawet lasy. Widziałem lasy, czujecie? Drzewa. Wszystko tam jest. Zawsze marzyliśmy o takiej planecie i tęskniliśmy do niej.

– Ale... Powiedzieli nam... – wyduszam z siebie.

– Wiem. Wiem, co wam powiedzieli. Nam też kazali to mówić. Znacie tę gadkę: Pierwszy Kontakt, komunikacja z Epsilon Eridani, bla, bla, bla, sranie w banie. Wszystko musi iść wedle planów, postępowanie zostało już dawno ustalone. I powiedzieli nam... Jezu, nie wiem. Że to niebezpieczne i nikt nie może wiedzieć, jakie to piękne miejsce. Bo wtedy, no przecież, wszyscy chcieliby zobaczyć. Potem by się

pochorowali, poumierali, te sprawy.

– Poumierali?

– No tak, bo według nich prawdopodobnie są tam mikroby, chemikalia i takie rzeczy, z którymi Naukowy nie miał do tej pory do czynienia i one mogą nas pozabijać.

– Mikroby, które mogą zabijać?

– No. – Oblizuje usta i ścisza głos, dawno nie widziałam go tak skupionego, mimo że przecież jest pijany. – Ale rozumiecie, o co chodzi. Oni nie muszą mieć racji. Naukowy nic nie wie na pewno. Co by było, gdyby? Mogą tylko zgadywać, a tymczasem my się oddalamy i znowu ginimy w tej ciemności dalej i dalej... – Macha ręką gdzieś za nami, ale trafia w ścianę. – Kurna, ludzie, a ja ją widziałem. Latałem nad plażą. – Głos mu się łamie i krzywi się, jakby coś go bolało. – Szkoda, że tego nie widzieliście. Piasek jest tak biały, jak sól. Morze niebieskie... Po prostu... Nie wiem. Chciałem tam być, nawet gdyby miało mnie to zabić. Chciało mi się wylądować, choćby po to, żeby tam umrzeć. Czułem po prostu, że warto by było. Ogarniacie?

Dom i ja znów wymieniamy spojrzenia, a ja oznajmiam:

– Musimy wszystkim powiedzieć.

On kręci głową i uśmiecha się, ale ze smutkiem.

– Nie możemy.

– Dlaczego?

Wskazuje ruchem głowy na Caina.

– Bo się wyda, że puścił farbę.

– Ale przecież... To jest coś. Ludzie muszą... muszą wiedzieć!

Dom wzdycha.

– Muszą?

Opada mi szczęka.

– Oczywiście, że tak! Dom, to jest nasze życie! Jedyne, jakie mamy! A oni nas okłamują, odmawiają doświadczenia niezwykłych rzeczy, żebyśmy nie zapragnęli więcej. Więcej niż ciemność i zimno. Możemy ich zatrzymać! Zmusić, żeby zawrócili.

Dom wstaje, podchodzi do mnie, obejmuje mocno i opiera brodę na czubku mojej głowy.

– I co potem?

– Musieliby... Pozwolić nam tam polecieć i zobaczyć.

Czuję, że kręci głową.

– Tak by wszystko zmanipulowali, że to nam by się oberwało za narażanie życia. Większość nie podjęłaby ryzyka. – Całuje mnie we włosy, w ucho, w szyję. – Większość na Venturze jest zadowolona z tego, co ma. Trudno ci to zrozumieć, bo jesteś inna. Nie taka jak oni.

Odsuwam się i patrzę na niego; patrzę długo, nagle coś sobie uświadamiam.

– To za mało.

– Co? – Przekrzywia głowę.

– Wizyta. Gdybyśmy nawet zaryzykowali, świadomość, co tracimy, jeszcze bardziej utrudniłaby życie.

Wzdycha, a smutek w jego oczach wywołuje ból.

– Pewnie tak. – Później patrzymy już tylko na siebie, splatamy palce, on się nachyla i mnie całuje, a ja go przyciskam do siebie, mocno, najmocniej, jak umiem, łzy zbierają mi się pod powiekami i lecą po policzkach, gdy zamykam oczy w odruchu obrony przed wszystkim, na co nie mamy wpływu, czego nie możemy powiedzieć ani zrobić, co będziemy musieli poświęcić, czego nie uda nam się zapomnieć, co poczuliśmy i przez co nie będziemy potrafili żyć z tym minimum, na które nam się pozwala.

Rozdział 22

W dniu ślubu przespałam może z godzinę, na ławce w kambuzie, z twarzą wtuloną w szyję Doma. Otwieram oczy, on się do mnie odwraca, dotyka ustami moich warg i szepcze:

– Dzień dobry.

Przypominam sobie sen. Śniło mi się latanie nad wodą nieruchomą jak szkło, w której odbijało się niebo. Byłam przerażona, ale zapierało mi dech z zachwytu.

Wiem, że musi iść, bo delikatnie głaszcze mnie po włosach, a potem całuje, opiera nos o mój i patrzy mi prosto w oczy. Pyta, czy pamiętam, co muszę zrobić, a ja nie odpowiadam, bo oboje wiemy, że tak, ale nie mogę puścić jego ręki, nawet jak już stoi przy drzwiach z palcem na guziku, który je otwiera. Trzymam go mocno, patrzę na jego dłoń i myślę, jaka jest piękna, najpiękniejsza, jaką widziałam w życiu i że chcę, żeby nie przestała mnie dotykać, nigdy. Znowu czuję pod powiekami łzy, więc wyganiem go wtedy, nawet lekko popycham, bo jak tak dalej pójdzie, będę tylko coraz bardziej przerażona. Sytuacja robi się napięta, stawka nigdy nie była tak wysoka. Muszę go znowu stracić, a nie wiem, czy dam radę.

Kulturalny przysłał kogoś do ułożenia mi włosów, dziewczyna najpierw splata je w warkocze, potem owija mi wokół głowy jak linę, a ja przez cały czas się trzęsę, trzęsę się tak bardzo, aż w końcu nawet Pan mówi, że jestem bardziej zdenerwowana niż ona w dniu ślubu. Następnie zjawia się moja sukienka, biała, ciężka, taka sama jak wszystkie, ale kiedy ją wkładam, Pan i tak piszczy. Przychodzi tata w galowym uniformie, przynosi z Produkcji orchidee, jedną wsuwa mi we włosy, a drugą podaje, żebym wpięła mu w klapę i zachowuje się, jakby to był najlepszy dzień w jego życiu. Albo najgorszy, sama nie wiem. W każdym razie ma łzy w oczach, co wszystko pogarsza.

Idziemy do auli, kamerzysta z Kulturalnego za nami, Pan obok mnie w niebieskiej sukience druhny, Cain niesie Deborah. Wszystko w porządku, dam radę, będę stawiać jedną nogę za drugą, aż dotrę do drzwi, ale tam w ostatnim rzędzie dostrzegam Doma, jego plecy, jak stoi

obok Mariany, zerka w moją stronę, na ułamek sekundy spoglądamy sobie w oczy i to wystarczy, żeby nogi się pode mną ugięły, żeby przeszło mnie lodowate zimno, żebym się zwróciła do Pan i powiedziała:

– Przepraszam na chwilę.

Sama go zaprosiłam, sama mu powiedziałam, że bez niego nie dam rady, ale nagle wizja mnie stojącej przed nim i ogłaszającej całemu światu, że kocham innego, wydaje się absurdalna. Stoję, słyszę muzykę, w gardle wzbiera mi żółć, łapie mnie jakiś skurcz, ale nagle obok pojawia się Mariana i bierze mnie za rękę zimną dłonią, drobną, ale silną.

– W porządku?

– Nie.

Widzę w jej wzroku zrozumienie. Mówi do Pan:

– Porozmawiam z nią, dobra? – Odchodzimy bez dalszych wyjaśnień tylko dlatego, że Deborah zaczyna płakać.

Dziesięć metrów od wejścia do auli Mariana na wszelki wypadek opiera mnie plecami o ścianę i wpatruje mi się w oczy, jakby coś tam chciała wyczytać.

– Co się dzieje?

Stać mnie tylko na pokręcenie głową i jęk:

– Nie mogę tego zrobić.

Chyba wiedziała, co powiem, zanim się jeszcze odezwałam, więc łapie mnie za ramiona, rozgląda się, zmienia trochę pozycję i wzdycha.

– Co ty sobie myślisz? Nie ty jedna się tak czujesz, przecież wiesz, i wiesz też, że walka z tym, jak powinno być, wpakuje w kłopoty ciebie i ludzi, których kochasz. Byłam na twoim miejscu, *amiga*, kochałam kogoś i słono za to zapłaciłam. Chcę cię przed tym uchronić. I mojego kuzyna. Proszę cię, zrób, co trzeba dla dobra nas wszystkich. Nie mamy innego wyjścia, bez względu na to, czy nam się to podoba. Jesteśmy skazani na to miejsce.

– Mówisz, jakbyś uważała, że to w porządku. Ale tak nie myślisz. Ty się postawiłaś. Więc dlaczego zmuszasz mnie? – Zastanawia się, co powiedzieć, a ja przyglądam się fioletowym sińcom pod jej ciemnymi oczami.

– Większość życia spędzam na żałowaniu, że zrobiłam to, co zrobiłam. Może gdybym postąpiła inaczej, nie taszczyłabym ze sobą tego smutku.

Kręcę głową.

– Chyba nie masz aż tak źle. Lepiej być samemu, niż spędzić życie z kimś, kogo się nie chce. – Mijają nas spóźnieni goście, bardzo zadowoleni, dopóki nas nie spostrzegą. Wtedy uśmiechy im rzedną i wchodząc do środka, jeszcze zerkają przez ramię. – Skoro sprawdziło się w twoim przypadku... – Biorę ją za rękę. – Dlaczego miałyby się nie udać w moim?

– Naprawdę myślisz, że odniosłam sukces? A gdzie jest ten chłopak, którego kochałam? Jak myślisz? Zaraz ci powiem. Zrobił to, czego od niego oczekiwano, ma żonę, dzieci i żyje sobie spokojnie, a ja... – milknie.

Patrzę na wiszącą nad nami gołą żarówkę, która co chwilę miga i przychodzi mi na myśl Pete, facet z Konserwacji, który od trzydziestu paru lat zajmuje się wymianą żarówek; chodzi po całej Venturze i wykręca żarówki, kiedy się przepalą, a zużywają się tak szybko, że Produkcja nie nadąża z dostarczaniem nowych. Brak słów, jaka to bezsensowna praca.

Znów czuję na ręce jej zimną dłoń.

– Posłuchaj, Seren, idź tam i po prostu zrób, co należy. Proszę cię. Zależy mi na tobie i Domingu, więc błagam cię, najpierw obowiązki, a nad resztą się zastanowimy.

Nie umiem tego wytłumaczyć, ale jakimś cudem jej spojrzenie sprawia, że znów zaczynam oddychać, staję prosto i za chwilę jestem w stanie wrócić do Pan, która kołysze Deborah i łypie na mnie pytająco. Kiedy kiwam głową, oddaje dziecko Cainowi i ruszamy.

Idę na przód sali, gdzie gra muzyka, a Jonah w sutannie już czeka, bo oczywiście kapitan Kat nie mogła sobie odmówić przyjemności wyznaczenia go na prowadzącego ceremonię. Uśmiecha się, ale w jego oczach czai się strach, jakby nawet on nie był pewien, czy dam radę. Patrzę na Ezrę, ale on na mnie nie i dopóki maszeruję, widzę tylko tył jego głowy, dopiero potem zerka na mnie raz, jakby z wyższością i chociaż to bez sensu, w tej chwili wiem, co zrobię bez względu na

wszystko. Odmawiam spędzenia życia na pragnieniu bycia gdzie indziej. Odmawiam tęsknoty za Domem.

– Nie zrobię tego – mówię. Chociaż Ezra od razu się do mnie odwraca i pyta: „co?!”, innym trochę więcej czasu zajmuje zorientowanie się, co się dzieje, a ja w tym czasie wypatruję Doma w ostatnim rzędzie, odnajduję go w tłumie, przerażonego, z miną, jakby chciał coś powiedzieć, ale wystarczy mi świadomość jego obecności, żebym się uspokoiła. Odwracam się znów do Ezry i wyjaśniam:

– Nie mogę tu stać i kłamać. Może dla ciebie to w porządku, ale dla mnie nie.

– Co ty w ogóle... Co? – Wygląda na tak szczerze skołowanego, że prawie robi mi się go żal.

Ktoś z Kulturalnego wszystko nagrywa. Kapitan Kat siedzi w pierwszym rzędzie, uśmiech spływa jej z twarzy, a prawie wszyscy mają otwarte usta jak ryby wyrzucone na brzeg. Gdy dostrzegam ponad ramieniem Ezry wytrzeszczone oczy Emme, uginają się pod mną nogi.

Kapitan Kat już wstaje, tęczołki ma złowieszczo jasne, porusza niemo ustami i dopiero po chwili odwraca się, żeby przemówić do zebranych.

– Niestety narzeczona mojego syna cierpi na atak tremy przedślubnej, będziemy więc musieli przełożyć ceremonię. Wybaczcie jej, proszę, tę bezsensowną paplaninę, jak wielu z was pewnie pamięta, początek Unii wiąże się z wielkimi emocjami.

W ten oto sposób, chociaż jeszcze dziś nad ranem zgodziliśmy się, że jedyne, co nam pozostaje, to płynąć z prądem, wykonywać polecenia i czekać, aż wymyślimy, jak być razem, robię wszystko, czego Dom mi zabronił, co sprowadzi na nas ból i kłopoty. Już czuję, że miał rację.

Siedzę teraz w bocznym pokoiku, gdzie ksiądz przygotowuje się do mszy odprawianej w auli co niedzielę, w zwykłym szarym biurze, całkiem normalnym, naprawdę, nie licząc wieszaka z sutannami i krzyży na ścianie. Tutaj mnie przyprowadził Jonah, gdy do niego dotarło, że powinien coś zrobić. Kiedy wchodzimy, oddycham tak histerycznie, że przestaję cokolwiek widzieć, a on kładzie mi rękę na ramieniu i klepie, poklepuje, chociaż jest na mnie tak wściekły, że nie może nawet na mnie spojrzeć.

– Nie miałam wyboru – udaje mi się wystękać między desperackimi oddechami.

Zerka na mnie.

– Dobrze, Seren, jeśli tak ci się wydaje. – Oddala się, trochę rozsuwa kotary i patrzy na rozwścieczone zbiorowisko, które bulgocze na zewnątrz.

– A tobie jak się wydaje? – pytam, chociaż robi mi się coraz bardziej niedobrze.

Wzdycha i nagle robi się jeszcze bardziej absurdalnie, bo wygląda jak klon Ezry, ale mówi rzeczy, których Ezra na pewno by nie powiedział.

– Jeśli się wystarczająco długo udaje szczęście, w końcu się okazuje, że to prawda. Ale na tym etapie już chyba za późno na dobre rady, prawda?

Patrzę na niego i coś mi przeskakuje w uszach, nagle nie słyszę nic oprócz silników, całą resztę spowija cisza, co oznacza, że albo zemdleję, albo zwymiotuję, ale w tej chwili przez purpurowe kotary wchodzi Dom, przystaje tylko na sekundę, patrzy na Jonaha, a potem od razu podchodzi do mnie.

– Dlaczego to zrobiłaś? – Bierze moją twarz w dłonie, głaszcze kciukami moje policzki i odrobinę mną potrząsa, ściąga nerwowo miękkie usta i marszczy czoło ze złości i bólu. – Przecież ustaliliśmy, że przez to przejdiesz. Jak mogłaś?

Wkładam dłonie w zgięcia jego łokci i krzyczę mu w twarz:

– Bo nie chcę żyć bez ciebie! Drugi raz nie dam rady.

Przytula mnie i słyszę teraz wyłącznie dochodzący z jego wnętrza jęk, przepływający z klatki piersiowej do mojej skóry, czuję we włosach wilgotne usta, bierze w ręce moją głowę, trzyma mocno, z uwagą, jak coś cennego, i całuje mnie, całuje moje łzy, stara się nie zmieszać ich ze swoimi, ale mu się nie udaje.

Już wiem, że po nas przyszli, są tu, nic nie możemy z tym zrobić. To się musiało tak skończyć.

Kapitan Kat wchodzi za kotarę, ale na nasz widok się cofa, jest wyraźnie przerażona, zbiera się jednak w sobie i rusza naprzód. Za nią idzie Ezra, a gdy zauważa mnie z Domem, opiera się o ścianę i chowa

twarz w dłoniach.

– Odmawiam gry na tych zasadach – oznajmiam. – Nie wyjdę za kogoś tylko dlatego, że powinnam. Zwłaszcza jeśli go nie kocham.

– Miłość? – Patrzy to na mnie, to na Doma. – Zdajesz sobie sprawę, że dopuszczasz się przestępstwa?

– Przynajmniej powiedziałam prawdę, w przeciwieństwie do innych! – krzyczę. W tej samej chwili Dom chwyta mnie za ramiona, a ja nieruchomieję, widząc, jak ona unosi brew. W efekcie nie mówię jej tego wszystkiego, co chciałam, poprzestaję na zwróceniu się do Ezry: – Nie mogę za ciebie wyjść. – Patrzę na niego, ale jest tak wściekły, że tylko warczy, jakby słowa, które chciał wypowiedzieć, były zbyt straszne. Podchodzę i chcę go wziąć za rękę, ale mnie odpycha. – Może gdybym nie zaznała prawdziwej miłości, to by się udało. Nie mówię, że nie rozumiem, dlaczego ludzie to robią, rozumiem. Ale gdy już wiesz, jak jest naprawdę, wszystko się zmienia i nie ma powrotu.

– Nie musisz tego słuchać – upomina go kapitan Kat, ale jego już nie ma, więc pozostaje jej tylko spiorunować mnie wzrokiem i pobiec za nim, mijając w wejściu mojego dziadka, któremu znacząco patrzy w oczy.

– Seren – zaczyna dziadek, tak jakby samo moje imię stanowiło rozkaz wydany siłom ciemności, zaklęcie, którego nie wolno wymawiać zbyt często, sygnał dla piekła, żeby mnie pochłonęło. Gdy czuję jego dłoń na ramieniu, od razu się otrząsam.

– Nie!

– Musisz iść do doktora Maddoxa. Wszyscy się o ciebie martwimy. Nie czujesz się dobrze.

– Ona nigdzie nie pójdzie – odzywa się Dom i przyciska mnie do piersi, gdzie słyszę wyłącznie bicie jego serca i chcę tu zostać na zawsze.

– Proszę, żeby pan natychmiast puścił moją wnuczkę, zanim będę zmuszony do wszczęcia wobec pana postępowania w trybie natychmiastowym. Nie ma pan prawa do podejmowania decyzji w jej imieniu ani teraz, ani nigdy w przyszłości.

– Nie chcę podejmować decyzji w jej imieniu – protestuje Dom. – Ona nie potrzebuje ani mnie, ani nikogo do decydowania o jej życiu. Jest mądrzejsza i zdolniejsza do samostanowienia niż my wszyscy razem

wzięci. Jako jedyny tutaj nie próbuję jej mówić, co ma robić.

– Tak czy inaczej, łamie pan prawa ustanowione przez Ventura Communications Incorporated i Euro-Amerykańską Flotę Agencji Kosmicznych. Wykorzystał pan młodą dziewczynę o słabej psychice...

– O słabej psychice?! Ona jest jedyną zdrową psychicznie osobą, jaką znam!

– Wykorzystał pan młodą dziewczynę o słabej psychice i przeszkodził w realizacji programu prokreacji realizowanego przez naszą misję. Biorąc pod uwagę pana wcześniejsze wykroczenia, prawdopodobnie utraci pan obecny status i zostanie skazany na Resocjalizację.

Wtedy tracę panowanie nad sobą. Samokontrola ucieka mi z rąk jak wypuszczona niechcący lina. Odwracam się do dziadka i widzę, że patrzy na mnie szarymi, lodowatymi oczami.

– Dlaczego ci się wydaje, że możesz wszystkich niszczyć? Kto ci dał status Boga? – pytam ciszej, niż zamierzałam, ale z dziesięć razy większą furją.

Marszczy brwi.

– Nie uważam się za Boga, Seren, ale jako Szef Ochrony na Venturze jestem zobowiązany do aresztowania osoby łamiącej regulamin i narażającej życie innych pasażerów. A jako twój dziadek jestem także odpowiedzialny za twoje zdrowie. Nie czujesz się dobrze i musisz się poddać leczeniu. Zapraszam pana, doktorze.

W drzwiach pojawia się doktor Maddox, wychodzi z cienia dziadka, ma ściągnięte brwi i ciemną, dziwaczną brodę przyciętą staranniej niż zwykle. Jest tak kanciasty, że wygląda jak złożony z pikseli.

– Chodź ze mną, Seren. Zaraz będziesz bezpieczna.

– Jestem bezpieczna! – krzyczę i wykręcam ramię, żeby objąć Doma, jakby był łodzią, utrzymującą mnie na powierzchni mimo wielkiej fali. – Dajcie nam spokój! Nigdy nie czułam się tak dobrze jak przy nim.

Dziadek się usuwa i wkracza pięciu Strażników w czarnych mundurach z metalowymi, lśniącymi aż za bardzo elementami przypominającymi odłamki lodu. Nigdy jeszcze nie wyglądali tak

strasznie. Zbliżają się do mnie, a ja w tym momencie spostrzegam twarz taty, który stoi w drzwiach i nie patrzy na mnie, tylko w podłogę.

– Tato? – proszę, a on się krzywi, zerka na mnie przelotnie i zaraz odwraca wzrok.

Strażnicy łapią Doma pod ręce, więc zaczynam się miotać, walczyć, ale on uspokaja:

– To nic, *amor*. Przestań. – Obejmuję jego głowę dłońmi, przysuwam czoło do jego czoła, schylam się do pocałunku, a oni go odciągają. – Jakoś z tego wybrniemy, dobrze? Nie martw się. Kocham cię. Tylko rób, co ci każą.

Potem już tylko stoję, patrzymy sobie w oczy, a reszta się rozmywa, zabierają go w końcu, a ja przyciskam pięść do ust, jakbym mogła w ten sposób powstrzymać płacz. W miejscu, gdzie przed chwilą był Dom, stoi dziadek. Wygląda, jakby zamierzał zabrać głos, więc go uprzedzam i krzyczę:

– Nie waż się do mnie odzywać. – Milczy. – Nie chcę już nigdy z tobą rozmawiać. Nigdy.

Pewnie się zastanawiacie, czemu to zrobiłam. Czemu zawsze wszystko pogarszam. Prawda jest taka, że nie wiem, ale może to z powodu przekonania, z którym obudziłam się tego ranka: moje żalosne życie nigdy nie należało do mnie, żaden jego aspekt, tak już będzie i nic nie mogę z tym zrobić. Poza zniszczeniem siebie.

Rozdział 23

Kochany,

nie pozwalają Ci do mnie przyjść, więc mogę tylko czekać. Każda chwila bez Ciebie sprowadza się do czekania, tak było od samego początku. Ale odkąd mnie zamknęli, jest jeszcze gorzej, bo wiem, że nie przyjdiesz. Teraz wszystko jest trudniejsze.

Już Ci kiedyś mówiłam, że nie jestem silna. Tyle akurat wiem o sobie, nauczyłam się z tym żyć i akceptować to. Przyznaję, wpadłam w szal, gdy powiedzieli, że mnie zamkną, nie wypuszczą i nie pozwolą na spotkania z Tobą. Człowiek nigdy nie wie, jak postąpi w danej sytuacji, dopóki ona nie zaistnieje. Wtedy się okazuje, że gdy jest się uwięzionym jak zwierzę, zaczyna się tak zachowywać.

Siedzę tutaj i zapomniałam już, jak się mówi. Jeszcze chwila, a nie przypomnę sobie, kim byłam wcześniej i stanę się nową osobą. Skończy się tak, że zostanę kimś dla siebie obcym. Kto nie śpi, kogo pętają metaliczne pęta bezsenności. Dopóki nie przestałam sypiać, nie wiedziałam, że sen jest człowiekowi równie potrzebny, jak tlen. Jestem wściekła, że mnie tu trzymają, z dala od Ciebie, a jednocześnie czuję się winna, bo przecież to ja wszystko spowodowałam. Tylko do siebie mogę mieć pretensje, więc myślę o tym, zamiast spać, kręcę się w tej matni bez możliwości wyjścia, zataczam jedno koło za drugim, aż jestem już tak ciasno oplątana, że nie mogę oddychać, nie wiem, czy mi gorąco, czy zimno i nie potrafię sobie przypomnieć, jak to było nie być zmęczoną.

Pewnie wiesz, że Resocjalizacja ma dwa oddziały, męski i żeński. A każdy z nich jest podzielony na dwie sekcje: dla świrów i dla kryminalnych. Oczywiście nie mówią o tym wprost, oficjalnie jedno się nazywa Zakład Zdrowia Psychicznego, a drugie Poprawczak, ale wszyscy wiedzą, o co chodzi.

Mam pokój z Beth, której partner życiowy zmarł, zanim udało jej się urodzić żywe dziecko – poprzednia trójka zmarła. Ale wiesz, jak jest, przedstawienie musi trwać, taki drobiazg jak śmierć nie może stanąć na drodze do realizacji ich najświętszego programu prokreacji. O ironio, ostatnie dziecko przeżyło, ale ona jest teraz całkiem rozbita i nie umie go

kochać, nie może go nawet brać na ręce. Wszyscy się zastanawiają, czemu jest w depresji, ale przecież to nie fizyka kwantowa: po prostu miała straszne życie.

Na ścianie w pokoju dziennym jest lustro weneckie i głowę daję, że po drugiej stronie zawsze siedzi pielęgniarka, a na dodatek niejaki Ronaldo, który ma wygolone boki głowy i tatuaże na ramionach. Pilnuje, żebyśmy nie próbowały rozkwasić sobie mózgow, waląc głową w ścianę, czy coś w tym stylu. Więc nie próbujemy. Słuchamy tylko szpitalnych dźwięków: brzęczenia, krzyków i rozmów pielęgniarek, które zmieniają się na dyżurze, co brzmi jak dźwięki z zupełnie innego świata.

Co osiem godzin Ronaldo, albo ktoś inny, przychodzi i sprawdza nasze parametry życiowe, zakłada na ramiona rękawy do pomiaru ciśnienia, mierzy temperaturę, a potem odmierza leki, które mają nasze racjonalne umysły zamknąć w szczelnej puszcze i pozostawić nas w stanie oszołomienia. Później zaczyna się pierwsza zmiana, a Ronaldo każe mi włożyć trampki i iść biegać. I ja to robię, bo dzięki temu mogę wyjść na zewnątrz. Nieważne, że on idzie ze mną, biegnie obok, przez całą drogę ocierając się o mnie spoconym łokciem i dysząc. Mijam chłopaków, których widywałam na bieżni miliony razy, ale tym razem odsuwają się ode mnie, zostawiając niewielką, ale widoczną przestrzeń, jakby mogli się czymś ode mnie zarazić. Bycie na Tarasie Widokowym i na Głównej okazuje się nagle luksusem, więc nie protestuję, a bieganie nigdy nie było takie łatwe. Jak się człowiek znajduje w takim położeniu, bieg jest jak lot, najnaturalniejszy ze wszystkiego i tylko wówczas mój mózg przestaje się na mnie mścić i zżerać sam siebie.

Od razu powiedzieli, że nie będziesz mógł mnie odwiedzić, więc się martwię i myślę o Tobie. Zastanawiam się, czy dasz radę stawić czoło zarzutom, skoro po prostu żyłeś swoim życiem i byłeś sobą, czyli kimś, kto się we mnie zakochał.

Obserwują mnie, nie przestają. Biorę prysznic, a Ronaldo stoi przy drzwiach i trzyma między nimi nogę, żeby się nie zamknęły. Gdy się budzę rano, wszystko jedno, o której, i przytulam koldrę do piersi, bo głęboko we śnie wydaje mi się, że to twoje ramiona, słyszę, jak kamera ustawia się pod innym kątem i wiem, że widzą mnie na ekranach w pokoju pielęgniarek.

Któregoś dnia przyszła Pan i siedziałyśmy w pokoju dziennym, a ja trzymałam na kolanach Deborah. Prosiła, żebym się odezwała, ale chyba nawet ona nie wie, o czym mogłabym mówić, więc milczałam. Patrzyłam na dziecko tak przesywajaco i niestrudzenie, że pewnie wyglądało to dziwnie, ale ja się cały czas zastanawiałam, jaka będzie, gdy zacznie dorastać, czy i ona zostanie wariatką.

Tata też przychodzi, siada obok mnie i mówi, że schudłam, ale nic więcej, a potem Sandra, pielęgniarka, która jest wtedy na dyżurze, rozplywa się, jaki on jest słodki i przychodzi mi do głowy, że pewnie właśnie tak będą o nim mówić po jego śmierci, po czym stwierdzam, że to niezbyt wielkie życiowe osiągnięcie.

Dziadek nie przychodzi. On jest takim typem, który nie pcha się tam, gdzie go nie chcą.

Mariana też nie zagląda, myślę, że obwinia mnie o wszystko i jest na mnie równie wściekła, jak ja na siebie.

Sama już zresztą nie wiem, czy chcę, żeby ktokolwiek przychodził i patrzył na mnie w takim stanie: mam białą skórę, wielkie sińce pod oczami, a moja twarz wygląda jak maska pośmiertna: sztywna, nieruchoma, blada i jakby odlana z wosku.

Prawie nic nie jem i chociaż to trwa tylko parę tygodni, zaczynam się robić przezroczysta i zajmuję na świecie coraz mniej miejsca. Już myślę o tym, czy tu umrę, uwięziona w tym statku, całkiem sama, pośrodku kosmosu, dryfująca wśród gwiazd. Czy oni nie rozumieją, że trzymanie z dala od Ciebie zabija mnie równie skutecznie jak odcięcie tlenu?

Chyba Ci nie powiedziałam, że nigdy nie czułam czegoś podobnego, jak w chwili, gdy dotykałam Twojej skóry i Twojego ciała, że Twój zapach od razu mnie uspokoił, a bicie Twojego serca sprawiło, że po raz pierwszy poczułam się jak w domu. Nie zostałeś stworzony dla mnie, ale co z tego, skoro w każdej komórce masz zapisany list do mnie. W sumie to tylko dowodzi tego, co wiedzieliśmy od dawna: są rzeczy, których nie da się wyreparować w laboratorium.

Przez cały czas zastanawiam się, jak stąd uciec. Ale nie bój się, teraz wszystko jest inaczej. Odkąd Cię poznałam, nie postrzegam ucieczki tak, jak wcześniej, jak moja mama. Teraz marzę, żeby wyjść, być

z Tobą, znaleźć drogę do Ciebie, mój kochany.

Czekaj na mnie.

Kocham Cię,

Seren

Rozdział 24

Koszmar. Tak jakbym się nie obudziła, tylko wciąż śniła te potworne, przepocone sny z okolic świtu, które tłuką się potem po głowie jak wściekłe duchy. Tak się czuję, gdy przychodzi Ronaldo i mówi, że jest pora odwiedzin, ale dzisiaj goście przyjdą do mojego pokoju, a on wyprowadzi Beth do dziennego. Bardzo rzadko bywam sama i jest mi dziwnie, ale ledwie pomyślę, jakie mam chude nogi i kościste biodra, wchodzą i są niczym armia najeźdźców, którzy otaczają mnie poświatą zimnego powietrza, górują nade mną i przerażają tak bardzo, że kulę się i zakrywam głowę, gdy tylko się orientuję kto to.

Kapitan Kat, Ezra i dziadek.

Siadają, dziadek na moim łóżku, a pozostała dwójka na metalowej ławce przyśrubowanej do ściany, ale początkowo tylko siedzą i nikt na mnie nie patrzy. Kapitan Kat się rozgląda, dziadek wpatruje się w podłogę, a Ezra spuszcza głowę i gapi na swoje złączone dłonie zwieszane między kolanami.

– Jak się czujesz, Seren? – przełamuje ciszę kapitan Kat, ale nadal na mnie nie patrzy, a ja oczywiście nie odpowiadam, tylko siedzę, krzywię się i staram się nie trząść.

Dziadek wzdycha.

– Przyszliśmy, żeby znaleźć rozwiązanie, które będzie najlepsze dla wszystkich.

– Nieprawda – kręcę głową. – Przyszliście po co innego.

Kapitan Kat wzdycha melodyjnie:

– Ależ, Seren, naprawdę! Dlaczego zawsze musisz wszystko tak utrudniać? Ty i Ezra musicie być razem. Naprawdę, przestań mieszać do tego swoją chorobę.

Patrzę na dziadka.

– Czy żadne z was nie słyszało ani słowa z tego, co mówiłam?

Odwraca się do mnie, trzyma w rękach czapkę, głęboko oddycha.

– Funkcjonujemy w oparciu o zasady obowiązujących w naszym społeczeństwie i w tych ramach musimy znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

Wstaję, muszę.

– Nie mów tak. Nie będę z wami rozmawiać, jeśli zamierzacie ciągnąć tę gadkę.

Kapitan Kat też wstaje. Jest ode mnie wyższa.

– Sugeruję, żebyś usiadła i posłuchała ludzi, którzy mają znacznie więcej do powiedzenia na każdy temat, jaki wskażesz.

– Z wyjątkiem tego, który ma znaczenie – mówię i wpatruję się w nią tak stanowczo, że aż pieką mnie oczy.

Ezra opiera się o ścianę i zaczyna się szczytać w grzbiet nosa.

– Mówiłem, że to bez sensu.

– Ty też się do tego przyczyniłeś, mój drogi – zwraca się do niego kapitan Kat. – Jedyne, co musieliście zrobić, to znaleźć sposób, żeby przez to przejść, zrozumieć swoje obowiązki i powinności, a potem zachować się adekwatnie do nich.

– To nie ja się puszczałem z gościem od ryb!

Ona siada i się śmieje, choć bez śladu wesołości.

– Daj spokój, przecież to nie ma z nim nic wspólnego i dobrze o tym wiesz. On jest na wylocie. Wkrótce w ogóle przestanie odgrywać jakąkolwiek rolę.

– Jak to? – pytam wtedy. – Co to znaczy?

Kapitan Kat patrzy na mnie z wściekłością.

– Naprawdę myślisz, że damy mu narażać misję na szwank przez całkowite lekceważenie zasad ustanowionych po to, żeby zapewnić nam rozwój i przetrwanie? Nie możemy sobie pozwolić na luksus przemykania oczu na próby zniszczenia wszystkiego, co stworzyliśmy i tego, kim jesteśmy.

– Dom nie chciał niczego zniszczyć! Co... Co mu zrobiliście? – Wpadam w panikę, bolesną, niepohamowaną, jakbym runęła z dużej wysokości. Zaczynam się trząść tak bardzo, że aż szczykam zębami. Tylko dziadek, który łapie mnie za nadgarstki, powstrzymuje mnie przed rzuceniem się jej do gardła. – Powiedzcie mi, gdzie on jest!

– Przestań się zachowywać jak dziecko – rzuca ona. – Rozumiem, że jesteś chora, ale naprawdę, kompromitujesz się.

– Powiedzcie!

– A jakie to ma za znaczenie? On jest nikim.

– Pani kapitan, nalegam... – włącza się dziadek.

– Na co? – syczy.

Odwracam się do dziadka i łapię za przód jego czarnego munduru. Bezskutecznie próbuję go zmusić, żeby popatrzył mi w oczy.

– Proszę, dziadku, proszę cię, powiedz, że jest bezpieczny. Nie pozwól, żeby coś mu się stało, proszę cię, błagam!

– Starszy szeregowy Suarez został zwolniony warunkowo, ale znajduje się pod kontrolą.

– Jak to?

– Nosi na kostce opaskę, która da nam znać, jeśli spróbuje opuścić swoje skrzydło przed procesem zaplanowanym na czas, gdy opuścimy już orbitę Huxley-3. Bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę jego wcześniejsze wykroczenia, że czeka go wyrok skazujący na pozbawienie wolności.

– Ale on... Przecież nie zrobił nic złego! To moja wina, wszystko moja wina, nie jego!

– Źle się czujesz. Jesteś chora i masz szesnaście lat. Nie możemy obarczać cię odpowiedzialnością. – Dziadek patrzy w podłogę, nie na mnie.

Kapitan Kat wzdycha ze znużeniem.

– Możemy kontynuować?

– Oczywiście. Przejdźmy do kwestii praktycznych. – Dziadek pociera dłonią policzek i wygląda, jakby był śmiertelnie zmęczony. – Spotkaliśmy się, żeby opracować plan. Taki, który będzie satysfakcjonujący dla wszystkich. Ty, Seren, zostaniesz tutaj tak długo, aż poczujesz się dobrze i pogodzisz się z zaistniałą sytuacją.

– Nie możecie mnie tu trzymać, jeśli jestem zdrowa!

Błądzą wzrokiem, patrzą wszędzie dookoła, tylko nie na mnie, dokładnie jak na początku.

– Problem w tym – zaczyna dziadek, a potem wyciąga rękę i kilka razy klepie moją dłoń, od czego aż się krzywię – że musimy. W każdym razie dopóki wszystkiego nie ustalimy.

– Ustalimy?

– Zostaniesz tu, gdzie jesteś... bezpieczna. Tak długo, aż wyjdiesz za mąż, uświadomisz sobie, jakie popełniłaś błędy i zdecydujesz się

spełnić swoją powinność jako członek naszej społeczności.

Patrzę na niego, czuję, że się cofam, czuję, że niemy warkot wykrzywia mi twarz, gdy odwracam się od niego do kapitan Kat i do Ezry.

– Czyli nie mam wyjścia, tak? – Ezra nie podnosi wzroku, więc wrzeszczę: – tak???

Gdy w końcu decyduje się odpowiedzieć spojrzeniem, jest blady, ma puste oczy i pyta tylko:

– Myślisz, że ja mam?

Brakuje mi słów, więc tylko siedzimy i oddychamy, a cisza trwa, aż robi się nieznośna.

– Naprawdę uważasz, że nam było łatwo? – odzywa się kapitan Kat zapatrzona przed siebie. Znów jakaś nowa twarz. – Dowiadujesz się, z kim masz zawrzeć Unię i musisz to zrobić. Ja też nie byłam szczęśliwa, gdy się okazało, że przypadł mi Marshall. – Ezra niespokojnie podryguje. – Przykro mi, skarbie, ale taka jest prawda. – Wzrusza ramionami. – Po prostu. Było ciężko, bardzo długo. Ale wierzę w moich ludzi, moją kulturę i funkcję, którą pełnię tu, na Venturze. Gdy go straciłam... – Na moment patrzy w podłogę, potem znów podnosi wzrok i nerwowo mierzwi włosy. – ...okazało się, że po jedenastu latach życia razem jednak tęskniłam. Znacznie bardziej niż się spodziewałam. Nadal tęsknię.

Przez tę dziwną chwilę jest zwykłym człowiekiem i trochę czasu zajmuje mi przypomnienie sobie, że to tylko jedna z jej zagrywek, element kampanii, którą prowadzi całe życie.

– Nie mogę – mówię i okazuje się, że teraz wszyscy na mnie patrzą. – Nie umiem być taka jak wy. Przepraszam, ale po prostu... nie.

Patrzy na mnie, przygląda mi się, a ja się przyglądam jej.

– Bardzo mi przypominasz Gracie. – Jej wzrok jest tak intensywny, że prawie się odwracam, choćby po to, żeby zaczerpnąć tchu, a potem wstaje i patrzy na mnie z góry. Po chwili dodaje: – W negatywnym sensie. – Gdy się odzywa następnym razem, mówi już jak zwykle profesjonalnie, jakby odhaczała na liście kolejne punkty do załatwienia. Przemierza niewielki pokój. – Masz dwa wyjścia. Współpracować i poprawić jakość życia. Oraz: odmówić współpracy i stracić minimum

wolności, pod każdym względem. Ty zadecydujesz, co zrobisz, ale o skutkach twoich działań już ktoś inny. Tak czy inaczej, poślubisz Ezrę i będziesz rodzić jego dzieci. Możesz to zrobić dobrowolnie albo wręcz przeciwnie, ale już dawno temu zostało postanowione, że tak będzie i to się nie zmieni. Chodź, skarbie, idziemy.

Ezra chwilę się ociąga. Siedzi pochylony, z palcami we włosach, ona zerka na niego przelotnie, ale potem otwiera drzwi i wychodzi. Wtedy on też podnosi wzrok i kieruje go na mnie, ma czerwone oczy i chociaż milczy, wiele zostaje powiedziane, choć nic dobrego. Kiedy i on opuszcza salę, patrzę przed siebie, na zasuwające się za nimi drzwi i czuję, że narasta we mnie coś, nad czym straciłam kontrolę. Skąd dziadek wie? Sięga po stalowe wiadro na śmieci i stawia przede mną akurat w chwili, gdy wypełniam je strumieniem gorących, kwaśnych wymiocin; na koniec wykasuję już tylko żółć.

Leżę na boku twarzą do ściany, trzęsę się, przyciskam kolana do piersi, ale słyszę, że wzdycha, a potem czuję, że zmienia pozycję i wstaje, żeby wyjść.

– Tak już jest, Seren. Wiesz, że tak musi być. Jediną osobą, jaką krzywdzisz tym buntem, jesteś ty sama.

– Jeśli ktoś ci powiedział, że powtarzanie frazesów przyniesie efekt, mylił się – bełkoczę. Cały czas kaszlę, oczy mi łzawią, a żołądek skręca mi się w supły.

– Czy jest chociaż cień szansy, że posłuchasz mojej rady? Mówię jako twój dziadek, który cię kocha, Szefa Ochrony na Venturze zostawmy. – Milczę, ale on kontynuuje. – Wiem, że życie może się czasem wydawać niesprawiedliwe, ale jest tak, jak jest z jakiegoś powodu. Mam sześćdziesiąt jeden lat. Chodzę po świecie znacznie dłużej niż ty i przez większość tego życia moim zadaniem jest zapewnianie nam wszystkim bezpieczeństwa, pilnowanie przestrzegania zasad i chronienie tego, co dla nas ważne. Nie zawsze... podobają mi się decyzje, które muszę podjąć albo rzeczy, które muszę zrobić, ale robię je i tak. Odgórnie zaplanowane jednostki rodzinne są podstawą misji. Ich znaczenie jest fundamentalne. Jednak oczywiście wciąż jesteśmy... – Oddycha głęboko, zanim dokończy: – ...ludźmi. Dlatego budzą się w nas instynkty, które trudno zignorować. Nie jesteś pierwsza i

prawdopodobnie nie ostatnia, którą to spotkało. Ale zaufaj mi, kiedy mówię, że pójdzie za instynktem przeważnie źle się kończy. Popatrz choćby na sytuację, w której ty i starszy szeregowy Suarez znajdujecie się obecnie: warto było?

Mam ochotę zacząć na niego krzyczeć. Krzyczeć, krzyczeć, do upadłego. Chcę mu powiedzieć, że tkwimy w takim bagnie przez niego i jego zasady, dlatego że to miejsce lekceważy wszystko, co prawdziwe i szczerze, bo pozbawiono nas wyboru i wolności, i ponieważ to, co kapitan Kat nazywa obowiązkiem, ja nazywam niewolą. A poza tym chcę mu powiedzieć, że oczywiście było warto.

Ale daruję sobie. Nawet się nie odwracam, żeby na niego spojrzeć. Wiem, że stoi jeszcze przez chwilę i patrzy. Na tyle długo, że prawie decyduję się na spojrzenie mu w oczy, ale jednak rezygnuję. I mam nadzieję, że zrozumiał.

Rozdział 25

Parę dni później Ronaldo dostarcza mnie do pokoju dziennego, gdzie doktor Mad usiłuje zmusić Beth do naprawiania świątecznych ozdób (prawdopodobnie ma to przynieść efekt terapeutyczny), przemawiając do niej tak głośno, że ona aż się kuli. Zwracam mu uwagę:

– Ona ma depresję, doktorze, nie jest głucha.

– Ach, Seren! Widzę, że wracasz do siebie.

– Robię się złośliwa i sarkastyczna?

Przekrzywia głowę.

– Zawsze uwielbiałem twoje poczucie humoru – stwierdza, chociaż to kłamstwo, więc tylko się marszczę. – Pielęgniarka Benitez wyjaśnił ci, co się dzisiaj stanie?

– Co się stanie? – patrzę na Ronaldo, który udaje, że to nie jego sprawa.

– W porządku – zapewnia doktor Mad. – Wszystko jest dobrze. Pomogę ci się uporać z twoimi lękami i jak najłagodniej poprowadzę cię przez ten proces. Usiądź tutaj, koło mnie, żebyśmy mogli porozmawiać.
– Siedzi na ławce i klepie metalowe siedzisko, które wydaje nieprzyjemny brzęk.

– Jaki proces? – pytam, wciąż na stojąco.

Brzęk, brzęk.

Doktor Mad wzdycha i odruchowo drapie perfekcyjnie wypielegnowaną brodę. Jest jednym z tych ludzi, którzy idiotycznie wyglądają w uniformie. Z tego, co widziałam na zdjęciach z Ziemi, znacznie lepiej wyglądałby wśród tamtejszych psychiatrów. Składa dłonie na stoliku i spogląda w ten szczególny sposób. Z rozczarowaniem. Często to robi.

– Z tego, co wiem, podano ci ostatnio środki na uspokojenie? – Przygląda mi się w oczekiwaniu na odpowiedź, a kiedy jej nie dostaje, kiwa głową. – Mam nadzieję, że to był ostatni taki incydent. Liczę na współpracę.

Boże, ze wszystkich sił staram się na niego nie rzucić.

– O czym pan mówi?

– Dostałaś wezwanie do biura Ochrony. Masz złożyć zeznanie w sprawie Zakłócenia Programu Prokreacyjnego. – Wtedy siadam. Jakież dwa metry od niego, nie tam, gdzie uparcie klepie. Milczy przez chwilę, a potem dodaje: – Wyznaczono mnie na twojego adwokata.

– Nie chcę, żeby był pan moim adwokatem, o cokolwiek tu chodzi. Powoli kręci głową.

– Możesz się buntować, ale jeśli zdecydujesz się przejść przez to beze mnie, grozi ci pełnowymiarowy proces. Możliwe, że w efekcie trafisz do Poprawczaka. – Wskazuje głową za ścianę, zza której czasem dobiegają hałasy. Zwykle jakieś huk, rzadziej krzyki. – Bardzo chciałbym uniknąć takiego finału.

– Kto będzie prowadził sprawę? – Staram się, ale nie mogę oderwać wzroku od swoich stóp.

– Jeśli o to ci chodzi, pan Sherbakov się wycofał ze względu na sprzeczność interesów.

Kiwam głową. Coraz wolniej, aż całkiem przestaję i podnoszę na niego wzrok.

– Dobrze, to kiedy idziemy?

To środek pierwszej zmiany, więc wszędzie jest pusto i chyba z tego powodu czuję się strasznie zdezorientowana, jakbym wypadła ze swojego świata i trafiła do równoległej rzeczywistości. Mam wrażenie, że jedyni ludzie, których widzę, uciekają na mój widok, ale doktor Mad mówi, że to paranoja i bardzo możliwe, że ma rację.

– A właściwie – zaczynam, kiedy wsiadamy do transportera na górę – czyj jest ten proces? Mój czy... – Nie ośmielam się nawet wypowiedzieć imienia Doma.

– Dlaczego pytasz? – Unosi brwi. – Czy to wpłynie na twoje odpowiedzi?

Przez chwilę się zastanawiam.

– Pytam, bo... – Ale potem tylko wzruszam ramionami.

Doktor Mad jest bardzo niski, więc kiedy kładzie mi rękę na ramieniu, jego twarz znajduje się bardzo blisko mojej.

– Musisz powiedzieć prawdę. Jeśli cię przyłapią na kłamstwie, wpakujesz się w kłopoty, z których nie wybrniesz. Musisz myśleć o sobie, nieważne, co to oznacza dla innych. Proszę cię, powiedz, że

rozumiesz.

Nie odpowiadam, czuję tylko, jak w głowie tętni mi puls.

Wysiadamy z transportera tuż przed drzwiami Sekcji Ochrony. Ponieważ nieraz byłam tu z dziadkiem, wiem, że mają stąd doskonały widok na plac, a osoba, która akurat dyżuruje przy biurku, cały czas gapi się na dół i czyha na czyjeś złe zachowanie, np. bójkę, nadmiar alkoholu czy zakochanie się w niewłaściwej osobie. Wchodzę do środka pierwsza i choć doktor Mad trzyma mnie za łokieć, kieruję się od razu do szyby, a on podchodzi do biurka i bardzo cicho rozmawia z siedzącym tam facetem. Wiem, że go znam, bo znam większość pracowników, ale w tej chwili za wszelką cenę chcę uniknąć niezręcznej wymiany spojrzeń. Na placu życie toczy się jak zwykle. Niewiele się dzieje o tej porze, więc ekrany są włączone i grają dla niemal pustych stolików oraz dla grupek uśmiechniętych mam z dziećmi za małymi jeszcze na Edukację i zupełnymi maluchami, które bawią się na podłodze. Dopiero po chwili zauważam, że jest wśród nich Pan, włosy ma spięte na czubku głowy w luźny koczek, a kombinezon ściągnięty, tak że widać jej nagie ramię; akurat karmi Deborah. Przyglądam się jej twarzy z profilu, gdy do kogoś mówi, a potem wybucha śmiechem i choć nie umiem tego racjonalnie wyjaśnić, czuję się przez nią tak bardzo zdradzona, że muszę odwrócić wzrok.

Brzęczyk w drzwiach sygnalizuje, że możemy wejść do głównej części. Facet czekający zaraz po drugiej stronie bierze moją rękę i potrząsa nią.

– Szeregowiec Seren Hemple? Oficer Ochrony Elijah Bradman. Będę prowadził pani sprawę.

Patrzę na niego i oczywiście okazuje się, że się znamy, bo może przedstawił nas sobie dziadek, on nic nie wspomina i ja też nie. Jestem też prawie pewna, że to starszy brat partnera życiowego Mariany, więc możliwe, że był na imprezie Annelise. Z tego powodu w ogóle nie odpowiadam, tylko panikuję, po drodze do pokoju przesłuchań jak we śnie mijam salę główną pełną migających ekranów i dopiero na miejscu udaje mi się wmówić samej sobie, że to mało prawdopodobne, bo on jest już sporo po dwudziestce, a osoby w tym wieku rzadko chodzą na świetlicowe imprezy.

Pokój przesłuchań okazuje się żałośnie małym boksem z siedzeniami przyśrubowanymi do podłogi i wąskim metalowym stolikiem. Stoją na nim metalowe kubki z wodą. Doktor Mad i ja siadamy po jednej stronie, a Elijah po drugiej.

Zanim zacznie mówić, kładzie pośrodku stołu swojego poda i wydaje mu polecenie rejestracji głosu. Potem robi całe wprowadzenie: jaki mamy dzień, która godzina, kto się stawił i tak dalej, a ja z jakiegoś powodu jestem tak przerażona, że nogi mi się trzęsą pod stołem. Podryguję nimi, żeby nikt tego nie zauważył.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, bardzo spokojnie. Ma ciemne oczy.

– Wyznaczono dla pani adwokata i w każdej chwili może go pani wskazać jako swojego pełnomocnika, ale sugerowałbym, żeby po prostu mówiła pani prawdę. Możemy się tak umówić? – Kiwam głową. – Dobrze. – Dotyka przytwierdzonego do ściany ekranu i otwiera folder pełen dokumentów oznaczonych jako „Hemple–Suarez sprawa ZPP”, a potem numer. Jest ich tyle, że ścisza mnie w gardle. – Badamy sprawę pani rzekomego niestosownego związku ze starszym szeregowym Domingiem Suarezem, lat osiemnaście i pięć miesięcy, odbywającym Służbę w Produkcji, w oddziale Hodowli i Rybołówstwa. Za Zakłócenie Programu Prokreacyjnego Klasy 3 grozi wyrok pozbawiający wolności do dwóch lat. Czy rozumie pani te zarzuty i jest gotowa odpowiadać na pytania?

Oczywiście nie jestem gotowa, ale ponieważ trudno mi cokolwiek wykrztusić, kiwam głową.

– Jak pani poznała starszego szeregowego Dominga Suareza?

– Znam... – Głos mi całkiem wysiada, więc odchrząkuję i zaczynam od nowa. – Znam go z Edukacji. Jest o generację starszy ode mnie, więc... – Wzruszam ramionami. – Ja tego nie pamiętam, ale jego zdaniem rozmawialiśmy na szesnastych urodzinach mojej siostry. – Słowa zawisają w powietrzu. Elijah przygląda mi się przez chwilę i wtedy do mnie dociera: po co to powiedziałam? Świadomość tego pali mnie mocniej, niż gdybym stała na powierzchni słońca. Jezu! – Tutaj przecież wszyscy się znają – wybucham. – Nie blisko, ale przynajmniej z widzenia. Jesteśmy na statku kosmicznym, na jaką anonimowość można

liczyć? – Śmieję się i rozglądam wokoło, ale nikt się nie dołącza.

Doktor Mad klepie mnie w rękę leżącą na podrygującym udzie.

– Wszystko w porządku – zapewnia. – Uspokój się i odpowiadaj na pytania, o nic więcej cię nie prosimy.

– Czy potem rozmawiała pani jeszcze ze starszym szeregowym Suarezem? – Elijah unosi brew.

Gram na czas.

– Jak to rozmawiałam? W sensie takiej rozmowy jak: „Co słyhać, masz może zegarek?”.

Elijah ani drgnie, tylko patrzy. Po chwili odzywa się ponownie:

– Dobrze, spytam inaczej: jak by pani scharakteryzowała swoją relację ze starszym szeregowym Suarezem?

Ostentacyjnie wzruszam ramionami.

– Nie wiem, chyba jesteśmy kolegami. Widujemy się to tu, to tam.

– Czy mogłaby pani krótko przywołać okazje, w których bywała w jego towarzystwie w ciągu ostatnich dwunastu tygodni?

– Kurczę. – Znów się śmieję. – Nie mam tak dobrej pamięci. Widywałam go w różnych miejscach, na imprezach. Pracuję z jego kuzynką. To tyle.

– Tyle? – Elijah opiera łokcie na stole i nachyla się w moją stronę, patrząc świdrująco. W ostrym świetle lampy sufitowej jego oczy są ukryte w cieniu. – Nic więcej do dodania?

Udaję, że się zastanawiam, ale potem kręcę głową. Elijah wzdycha, tak głośno, że jego oddech dociera na moją stronę stołu i chłodzi mi palce. Odwraca się do ekranu i dwukrotnie naciska ikonkę z folderem plików audio.

„...wyszedłem z łazienki i zobaczyłem ich pod ścianą, powiedzmy, że złączonych w namiętym uścisku. Udawali, że to jednorazowa akcja, ale było oczywiste, że to nieprawda”.

Zatrzymuje nagranie.

– Może teraz?

Arnold Whitney. Niech go szlag.

– Nie wiem, o kim mówi – zaczynam drżącym głosem. – Na pewno nie o mnie.

– Rozumie pani, że kłamstwo może wpakować panią i Suareza w

jeszcze większe kłopoty, niż macie obecnie? – Prawie wisi nad blatem i wpatruje mi się w oczy. – Rozumiesz to, Seren? – Kiwam głową. – Czy ma pani zatem coś do dodania w sprawie charakteru związku łączącego panią ze starszym szeregowym Suarezem? – Kręcę głową. – Na pewno? – Znow zaprzeczam.

Ponownie odwraca się do ekranu, a ja przetykam tkwiącą mi w gardle gulę wielkości pięści. Klika w kolejny plik audio. Głośniki wyciskają lekko zniekształcony głos, ale po paru sekundach go rozpoznaję. To jeden ze współlokatorów Doma, który gra też w jego zespole.

„Nie chcę się za bardzo wdawać w szczegóły, ale już wiedzieliśmy, że ilekroć wejdziemy do naszej kajuty, oni będą się obściskować na łóżku. Kurczę, próbowaliśmy mu tłumaczyć, że to się źle skończy. Ale był jak zamroczony. Już sam nie wiem, ile razy mu mówiłem, że ta dziewczyna ma życiowego partnera, i on życiową partnerkę, więc któregoś dnia...”.

Elijah zatrzymuje nagranie i zapada cisza.

– Więc jak? Może chce pani jeszcze coś powiedzieć?

Kręcę głową i dla lepszego efektu chcę jeszcze wzruszyć ramionami, ale mi się nie udaje.

– Zdaje się, że ktoś ma zbyt bujną wyobraźnię.

– Dobrze. – Kładzie dłonie na blacie. – Czy kiedykolwiek umawiała się pani na spotkanie ze starszym szeregowym Suarezem? Albo rozmawiała z nim przez poda?

Znow udaję, że myślę. Czuję, że doktor Mad tężeje na krześle obok, jakby coś przeczuwał.

– Przez poda? Chyba nie. Nie sądzę.

Cisza jest tak gęsta, jakby cały świat się zatrzymał. Mam okazję do przeanalizowania, jaka jestem głupia, skoro kłamię, ale już chyba za późno. Elijah patrzy na mnie dziwnym wzrokiem, a potem wciska ikonkę pliku wideo i wszyscy wiemy, co nastąpi.

Twarz Doma, częściowo ukryta w cieniu. Przysięgam, że kiedy film się zaczyna, w jednej chwili robię się pusta jak wyschnięta łupina.

– Cześć, to ja. Wiem, że nie powinienem do ciebie dzwonić, ale... no wiesz. Niemyślenie o tobie po wczorajszym wieczorze i w ogóle

okazało się trudne, a może nawet niemożliwe. Przyjdź do mnie, jak skończysz pracę. Nie mogę się ciebie doczekać.

Wątpię, czy istnieje na świecie bardziej obciążający dowód niż mój wzrok, gdy widzę tę twarz na ekranie, wsłuchuję się w ten głos, mocno zagryzam wargę i szybko mrugam, żeby zatrzymać łzy. Tęsknię za nim tak, że to aż niemożliwe. Nagranie się kończy i wszyscy siedzimy w milczeniu, czekając, co powiem. To niewiadoma nawet dla mnie, dopóki nie usłyszę swoich słów.

– No tak... – Przelykam ślinę i szybko ocieram łzę z policzka. – Chyba... Zapomniałam o tym jednym razie.

– Mam tego więcej. Odtworzyć resztę?

Ponad wszystko chciałabym, żeby to zrobił, ale kręcę głową.

Elijah podnosi rękę.

– Zanim będziemy kontynuować, przypomnę, że okłamywanie oficerów Ochrony jest przestępstwem i może mieć negatywny wpływ na dalszy ciąg procesu. Mając to na uwadze, czy chciałaby pani powiedzieć coś jeszcze na temat natury pani związku z Domingiem Suarezem?

To bez sensu, ale na tym etapie jest mi już wszystko jedno. Wciągam powietrze, wypuszczam, patrzę mu prosto w oczy i mówię:

– Nie mam panu absolutnie nic do powiedzenia.

Elijah i doktor Mad wymieniają spojrzenie. Przerwywają je, gdy ja i doktor wstajemy i ruszamy do drzwi. Elijah nas obserwuje, a potem nagle woła:

– Seren? – Niechętnie się zatrzymuję i odwracam. – Posłuchaj. Gdybyś chciała... – Kręci głową i patrzy pod nogi, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co mówi: – Będę czekał jeszcze przez jakieś, powiedzmy, dwadzieścia cztery godziny. Możesz przyjść i przedstawić inną wersję. W takiej sprawie... – Wzrusza ramionami. – Starszy chłopak, młoda dziewczyna, bezbronna; mogłaś odczuwać zbyt dużą presję. Zwłaszcza że chłopak ma już swoje za uszami. Nikt się nie zdziwi, że się bałaś. Widzieliśmy już takie rzeczy...

– Tym razem widzicie coś innego. – Ani drgnie i tylko nie spuszcza mnie z oczu, więc macham w jego stronę ręką i powtarzam: – Zupełnie!

Wtedy doktor Mad odciąga mnie od drzwi, wypycha na korytarz i

prowadzi prosto do wielkiej ściany ekranów, ale ja najpierw zwalniam, a potem stoję, bo widzę znajomą postać podnoszącą się z ławki przed salą przesłuchań, po mojej prawej.

– Seren! – mówi Emme, jakby zobaczyła ducha.

– Co tu robisz? – Tylko tyle mogę wykrztusić.

– Przyszłam... – Wzrusza ramionami. – Wezwali mnie jako świadka.

Śmieję się i z ulgą robię krok w jej stronę.

– Cudownie! – Łapię ją za rękę. – Dzięki Bogu. – Powiesz im...

Powiedz, że nie zrobiliśmy nic złego, nic się w ogóle nie działo i...

Ma dziwną minę, strasznie dziwną, przestaję trajkotać i milknę.

Przestępuje z nogi na nogę.

– Chcą, żebym im powiedziała o chwilach, kiedy widziałam was razem.

– Co za idiotyczny... ! Przecież to śmieszne, wiadomo, że nie mogłabyś... Nie zrobiłabyś tego. – Kręcę głową. – Prawda?

Otwiera szerzej oczy i próbuje się roześmiać, ale jej nie wychodzi.

– Seren, zrozum... – Wzdycha i patrzy w podłogę. – Przecież wiesz, jak ważne są dla mnie praktyki. Praca w administracji Naukowego, w moim wieku. Cała ta sprawa jest mi zupełnie nie po drodze. Zamieszanie w to wszystko to za duże ryzyko. Muszę tylko powiedzieć, że widziałam was razem. Kurczę, przecież teraz już i tak po wszystkim, prawda?

Nie chcę na nią nawet patrzeć, cisza między nami pęcznieje.

– Nasza przyjaźń nic dla ciebie nie znaczy? – Patrzę, jak zasysa kącik ust i obserwuje moje wychudzone ciało, bladą twarz i nieumyte włosy, jakby mnie nie poznawała. Podejrzewam, że ja z podobną miną patrzę na jej starannie ułożony ciasny kok i zasznurowane usta.

Odwracam się i odchodzę, wiem, to była nasza ostatnia rozmowa.

– Nigdy nie zasługiwałaś na Ezrę – woła do moich pleców i jednak muszę się jeszcze raz odwrócić.

– Jesteś... marionetką – informuję ją głośno, a wszyscy wkoło przestają robić to, co robili i nasłuchują. – Jesteś nikim, niczym, produktem tej gównianej fabryki. Efektem zmieszania gówna z gównem. Nie odzywaj się już. Nie patrz na mnie nigdy więcej.

Doktor Mad stanowczo prowadzi mnie do drzwi, a gdy dzwoni brzęczyk, Emme cały czas patrzy pustymi oczami.

Czekamy na transporter. Oddycham ciężko, doktor Mad desperacko gestykuje i bezskutecznie usiłuje uspokoić sytuację, podczas gdy ja krążę tam i z powrotem. Nic nie mówi i stąd wiem, jaki jest wściekły. Wiem o tym nawet wcześniej niż on.

Odzywa się, dopiero gdy jesteśmy w transporterze:

– Normalnie bym tego nie zrobił – śmieje się – ale jako twój psychiatra i adwokat muszę stwierdzić, że twoje skłonności autodestrukcyjne osiągnęły już taki poziom, że ktoś powinien ci szczerze powiedzieć, jak sprawa wygląda.

– Jak? – Obserwuję wpadające do windy światła kolejnych pięter, które malują się na jego twarzy.

Przygląda mi się, zdumiony moją głupotą.

– Przed chwilą, w czasie przesłuchania, okłamałaś oficera Ochrony.

– I?

– To bardzo poważne przestępstwo. Bez względu na stan psychiczny.

– I? – Wpadam już niemal w furję.

Dociera do niego, że tak nigdzie nie zajdzie, więc zmienia taktykę, opiera się o ścianę i patrzy na mnie.

– Dobrze, powiedz mi jedno: co wiesz o niejakim Charlesie Darwinie? I o teorii ewolucji?

Transporter się zatrzymuje, drzwi się otwierają, ale żadne z nas nie wysiada.

– Coś tam wiem – odpowiadam, nie przerywając kontaktu wzrokowego.

Drzwi się zamykają, a on kontynuuje:

– Żeby nie przedłużać: czasem okazuje się, że pewne linie lepiej zakończyć niż kontynuować. Dzieje się tak od tysiącleci. Chodzi o przetrwanie najsilniejszych. W ten sposób gatunek ludzki doszedł tu, gdzie doszedł. Na Venturze łatwiej nam się pogodzić ze stratą męczyzny niż kobiety. Dlatego tak walczą, żeby cię utrzymać. Potrzebujemy kobiet, żeby nosiły, rodziły i wychowywały nasze młode.

Jak się tak zastanowić, z czysto biologicznego punktu widzenia mężczyźni są w zasadzie zbędni. Dlatego też w niektórych przypadkach uznaje się mężczyznę za czynnik utrudniający efektywne funkcjonowanie programu prokreacyjnego i w efekcie usuwa się go. – Milknie i pozwala słowom zawisnąć między nami, żebym się zastanowiła. Cały czas mi się przygląda. – Rozumiesz, co chcę powiedzieć? – Wiem, że czeka, aż się odezwę, ale milczę. Spuszcza wzrok i powoli kręci głową. – Ujmijmy to tak: pracowałem na Venturze jako psychiatra, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie i przez cały ten czas odsetek samobójstw, samobójstw w cudzysłowie, był kompletnie niewspółmierny do liczby mieszkańców. Co więcej, w większości odnotowanych przypadków samobójstw, w cudzysłowie, ani ja, ani moi koledzy nie obserwowaliśmy zachowań prezentowanych zazwyczaj przez osoby myślące o śmierci.

Dziwne, ale transporter stoi, choć drzwi są zamknięte. Chyba marszczę czoło.

– Czyli... Co pan chce powiedzieć?

– Chcę cię ostrzec przed popełnieniem błędu i założeniem, że Dominga Suareza nie da się zastąpić. Naukowy jest przygotowany na taką ewentualność. Nie wątp w to! Mają podobnych dawców, których mogą wykorzystać. Z tego, co wiem o Annelise Gutchenmeyer, nie jest specjalnie zainteresowana posiadaniem partnera życiowego, a nawet gdyby była, są możliwości doboru rezerwowego.

– Czyli? – pytam piskliwie i już wiem, tylko nie chcę w to wierzyć.

Doktor wali pięścią w ścianę transportera i ogłusza nas huk grzmotu.

– Czyli nieważne, ile wymyślisz kłamstw i komu będziesz je wciskać, jeśli uznają za lepsze wyjście, żeby nie istniał, przestanie istnieć. Problem w tym, że ty i on symbolizujecie zagrożenie obowiązującego tutaj porządku. Jeśli dla Dowódtwa tak będzie najprościej i najwygodniej, zabiją go, a ty nie będziesz na to miała żadnego wpływu.

Zaczynam oddychać szybko i histerycznie. Wtedy rozsuwają się drzwi, w których staje Ronaldo.

– Wszystko w porządku, doktorze?

Żadne z nas na niego nie patrzy ani się do niego nie odzywa.

Nagle coś we mnie wstępuje, choć sama nie wiem co, i ruszam do przodu, nurkuję pod ramieniem RONALDA, wpadam w korytarz i biegnę, choć sama nie wiem dokąd, tyle tylko że ponad wszystko chcę się stąd wydostać, byle dalej od nich, byle się dostać do Doma.

Nie przebiegam jednak nawet trzech metrów, kiedy RONALDO łapie mnie od tyłu pod ręce, zatrzymuje bez żadnego wysiłku i podnosi w górę, chociaż wierzgam i kopię go piętami po piszczelach.

– Musimy jej podać środek uspokajający, sestro Benitez – wzdycha doktor MAD i wciska guzik na panelu kontrolnym transportera.

RONALDO i SANDRA kładą mnie na podłodze i unieruchamiają, a potem strzelają mi w udo z małego pistolecika używanego do podawania zastrzyków. Rzucam kilka bluzgów, ale to i tak nie ma sensu, bo kiedy lekarstwo trafi do krwi, flaczejesz jak przekłuty balonik.

Przez jakiś czas przyglądam się butowi BETH, który nagle pojawił się w moim polu widzenia. Potem ona kuca, pomaga mi wstać i prowadzi mnie na ławkę.

– Co się stało? – pyta, jakby w zwolnionym tempie, ale ja tylko mrugam i kręcę głową.

– Kolejne gówno – odpowiadam, a usta mam jakby sparaliżowane.

Patrzy na mnie uważnie.

– Czasem chciałabym być taka odważna jak ty – wyznaje. – Ale częściej cieszę się, że jednak nie jestem.

Rozdział 26

Codzienna przebieżka prowadzi wokół Zachodniej, więc prawie cały czas się zastanawiam, gdzie może być Dom i rozglądam się wokół w nadziei, że gdzieś go wypatrzę. Tego dnia też biegniemy tą trasą, gdy nagle Ronaldo staje jak wryty. Inni biegnący nas mijają, a on się odwraca do kogoś, kto go złapał za łokieć.

– *Mira hombre...* – mówi.

Drugi mężczyzna odpowiada:

– *Hágame un favor, tio.*

Poznałabym ten głos wszędzie, w każdym języku, odwracam się, przyciągam go i oddycham w jego ubranie, bo to Dom, Dom, Dom jest tutaj.

– To ty. Dzięki Bogu, jesteś – powtarzam, przytulam twarz do jego kurtki i wiem, że zaraz popłyną mi łzy.

Uśmiecha się, ale oczy ma mokre, obejmuje mój policzek dłonią i przyciska mnie do swojego boku, a potem patrzy na Ronaldo i prosi:

– *Cinco minutos, vale?* – Ronaldo jest poważnie zmieszany i rozgląda się po korytarzu, ale potem kiwa głową i pozwala nam odejść. To dlatego mogę znów patrzeć na policzek Doma, kiedy się do niego przytulam.

– Jak...? – zaczynam.

Kręci głową.

– Powiedzmy, że znamy się z Benitezem nie od dziś i był mi winien przysługę.

W ten sposób lądujemy na Tarasie Widokowym, na samej górze, Ronaldo krąży tam i z powrotem na dole, a my mówimy z prędkością karabinu, jedno przez drugie, bo zapowiedział, że daje nam tylko pięć minut i pewnie będzie się tego trzymał. Ja na początku powtarzam tylko:

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Miałaś rację, nie powinnam była tego robić. – Potem dodaję: – Jak się masz? Błagam, powiedz, że wszystko w porządku! – Jednocześnie ciągnę sobie jego nogę na kolana i oglądam plastikową bransoletkę na kostce z takim obrzydzeniem, jakby to był jakiś nowotwór. On jednak protestuje,

zabiera nogę, chwyta moje dłonie i przygląda im się, a ja dopiero teraz zauważam sińce na jego kości policzkowej i łuku brwiowym; skórę ma popękana i opuchnięta. Wyciągam rękę, żeby dotknąć, ale łapie ją w powietrzu.

– Kto ci to zrobił?

– Nieważne. – Kręci głową. – To tylko... – Znow kręci głową i prawie się śmieje. – No dobrze, to ojciec Annelise.

– Aha. – W sumie nie jestem pewna, czy czuję ulgę, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać.

– Posłuchaj mnie, *estrellita*. Nie trać nadziei. Rób, co trzeba, co ci każą.

– Ale czy z tobą wszystko dobrze?

– O mnie się nie martw – mówi. – Byłaś na rozmowie w Ochronie? Przciskam ręce do klatki piersiowej, blisko serca.

– Tak.

– I? – Z trudem przetyka ślinę.

– Chcą zwalić całą winę na ciebie.

Prawie udaje mu się uśmiechnąć, ale widzę w tym grymasie panikę i wstrzymany oddech.

– Dobrze, to najlepsze wyjście. Bardzo dobre wieści.

– Ale... Co się stanie z tobą?

– Tym się nie przejmuj. – Krzywi się z bólu. – Mną się nie przejmuj. Przecież już miałem kłopoty, pamiętasz, i wyszedłem z tego. – Ale ja nie wierzę w jego słowa, zresztą tak jak i on, więc żeby mnie przekonać, obejmuje moją twarz, zagląda mi głęboko w oczy i mówi: – Rób, co dobre dla ciebie, *estrellita*. Nie chcę, żebyś o mnie walczyła.

– Ale przecież nie przestanę – informuję go. – Nigdy nie przestanę o ciebie walczyć. Nigdy.

Nie zabiera rąk, ale kręci głową.

– Wiesz, że bardzo cię kocham, ale musisz robić, co ci każą. Proszę cię, posłuchaj. Obiecuj, że tym razem posłuchasz. Jeśli nie, to...

Patrzę na niego, na minę, której nie poznaję, na spojrzenie utkwione w podłódze, na niepokój.

– To? – Przetykam kluchę zgniłego strachu tkwiącą w gardle i czekam, aż spojrzy mi w oczy. – Co wtedy? Co ci powiedzieli? Co

zrobili?

Ale w tej chwili na schodach pojawia się Ronaldo.

– *Vamos*, Seren.

Słyszę swój głos, jak odruchowo protestuję, łapię Doma za rękaw, przyciągam do siebie, całuję, trzymam i nie puszczam, nawet gdy Ronaldo ciągnie mnie za rękę.

– Jeszcze pięć minut. Tylko pięć minut, proszę.

Obejmuję Doma jak najciaśniej i przytulam twarz do jego piersi, do zagłębienia w mostku, jedyne miejsce na świecie, które uważam za swoje, gdzie jestem u siebie. Wszystko zastyga, wiem, że wymieniają spojrzenia ponad moją głową i czuję, chociaż pewnie on sam tego nie wie, jaki Ronaldo jest rozdarty, że musi mnie zabrać.

I wtedy właśnie, w tej zamrożonej chwili, otwieram oczy i widzę ją przez okno z poczwórną szybą, jej niebiańsko błękitny kolor. Wciąż jest piękna.

Huxley-3.

Ronaldo wzdycha za moimi plecami i mówi:

– *Venga, guapa*. – A potem znów szarpie.

Dom mnie całuje i lekko odpycha.

– Proszę cię, *estrellita*, rób, co dla ciebie dobre. I wszystko się ułoży.

– Ale ty musisz o siebie dbać. – Strząsam rękę Ronaldo. Czuję, że coś we mnie pęcznieje i narasta. To przerażenie. – Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczny. – Odwracam się do Ronaldo. – Błagam cię, nie musisz.

Jest zaskoczony.

– Nie ja ustalam zasady. *Vamos*, albo się spóźnimy i dowiedzą się, że coś jest nie tak. Idziemy.

Pozwalam mu się zabrać, ale tylko ze strachu, że wpadniemy. Wiem, co by to oznaczało dla Doma, więc daję się ciągnąć, choć tak długo, jak mogę, odwracam się i wpatruję w miejsce, do którego doszedł z nami. Teraz stoi na Głównej, przeczesuje włosy i odprowadza nas wzrokiem, aż znikniemy.

Dopiero wtedy odwracam się do Ronaldo i widzę, że mi się przygląda. Chcę coś powiedzieć, ale mnie ucisza.

– Nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat – zastrzega się i dla lepszego efektu podnosi ręce. – Ale powiem ci coś, co wiem już od jakiegoś czasu: Domingo Suarez ma zwyczaj niepotrzebnego komplikowania życia sobie i ludziom, którym na nim zależy.

– Dlaczego tak mówisz? – Marszczy czoło. Nie odpowiada, więc drażę: – Znać się?

– Z Edukacji.

– Czyli Marianę też znasz?

Zatrzymuje się, więc ja też staję i w wąskim przejściu patrzymy sobie w oczy.

– Czemu pytasz o Marianę?

Jestem w takim szoku na widok jego miny i ciasno ściągniętych ust, że zaczynam się jąkać.

– Nie, tak tylko. Bez powodu... To moja przyjaciółka. No, kiedyś nią była.

Marszczy brwi.

– Jak to kiedyś?

Wzruszam ramionami.

– Cały czas mam nadzieję, że do mnie przyjdzie, ale nie przychodzi.

Przygląda mi się bez słowa jeszcze przez kilka sekund, a światło padające z góry skrywa jego oczy w cieniu.

– Chyba cię wolałem, jak nic nie mówiłaś. A teraz chodź, za długo nas nie ma.

Czekamy na transporter na dół, kiedy obok pojawia się niska, ruda kobieta z Inżynierii. Ma na sobie uniform przysługujący matkom, a Ronaldo podchodzi i ją całuje. Rozmawiają przez chwilę na tyle cicho, że nic nie słyszę, a gdy sobie idzie, pytam:

– Twoja partnerka?

Kiwa głową, a ja sobie myślę, jakie wszystko jest teraz odległe, to normalne, codzienne życie. Choć z drugiej strony nie wiem, czy kiedykolwiek było bliskie. W każdym razie nie mnie.

Rozdział 27

Nie mogę spać. Jak miałabym zasnąć? Cały czas myślę o Domie, zastanawiam się, gdzie się podziewa i czy jest bezpieczny.

Potem, po nocy spędzonej bez chwili snu, nie mam ochoty wstawać, a to w Resocjalizacji największa zbrodnia. To ich najbardziej wkurza. Naprawdę, są gotowi na wszystko, byle cię tylko zwlec z łóżka, jakby zostanie w koi miało jakieś wielkie znaczenie. Gdy zaczyna się zmiana RONALDA, przysyłają go, a on siada naprzeciwko mnie i się gapi.

– *Mira*, wstawaj i rusz się. Przestań wszystko utrudniać. *Vamos* – zachęca, choć bez wielkiego entuzjazmu. Wydyma usta, patrzy w podłogę i pociera o siebie suche dłonie.

– Wszystko w porządku?

– Nie ty jedna masz problemy, *guapa*. Wczoraj zabił się facet. Na wszystkich ekranach o tym trąbią.

Nieruchomieję.

– Co się stało?

– Wypadek w zsywie na śmieci. Koleś nazywał się Lucas Brent. Przyjaciel mojego wujka.

– Przykro mi.

Robię to dla niego i wstaję. Wlokę się noga za nogą, myję się pod jego czujnym okiem, zagląającym do łazienki przez szparę w drzwiach, w których trzyma stopę, żeby się nie zamknęły.

– Idziemy – poleca, gdy kończę się ubierać.

– Gdzie?

– Masz gościa.

– Kogo?

Nie odpowiada, tylko wzrusza ramionami, a gdy znajduję się w pokoju dziennym i walczę z rozhisteryzowanym oddechem, wchodzi ona, Mariana.

Biegnę, łapię ją w ramiona i chociaż wiem, jaka musi być na mnie wściekła, nie przejmuję się tym.

– Tak cię przepraszam – mówię w jej włosy. – Wiem, że wszystko zepsułam i byłam głupia, ale nie chcę cię stracić. – Cofam się o krok,

żeby się na nią popatrzeć, zajrzeć w ładne, smutne oczy, ale ona kręci głową.

– Jeśli ktoś ma za co przepraszać, to ja. Powinam była przyjść wcześniej. Ale po prostu nie mogłam. Z powodów prywatnych. Trochę mi zajęło zorientowanie się, jaką jestem egoistką. Ale dzisiaj, po tym wszystkim... Musiałam cię zobaczyć. – Wtedy zauważam, że jej dłonie, które trzymam, drżą.

Marszczę brwi. Siadamy na ławce i kładę sobie jej ręce na kolanach.

– Powiedz, co się dzieje – próbuję zagaić, ale ona się tylko rozgląda. Patrzy na kamery w rogach pokoju, na lustra weneckie z podglądem do pokoju pielęgniarek oraz na Beth i Jean, siedzące przed rozmigotanym ekranem, ale patrzące na nas.

– Długa historia – szepcze. – Nie mogę w nią teraz wnikać. Ale mówiłam ci wcześniej, że wiem, przez co przechodzisz, tak? – Kiwam głową. – No więc, na ile się da, staram się unikać tego mężczyzny.

I wtedy do mnie ociera. No jasne. Ronaldo.

Widzi w mojej twarzy, że się zorientowałam i potakuje.

– Ale wiem, że to brzmi żałośnie, więc przyszłam.

Ściskam jej dłonie.

– Dzięki. Bardzo się cieszę, że jesteś.

Kręci głową.

– Powinam ci była wcześniej powiedzieć... co się stało. Może inaczej patrzyłabyś na pewne rzeczy.

Teraz ja kręcę głową.

– Wątpię.

– Jestem ci to winna, widzę przecież, jak to wpływa na Dominga.

Obie zerkamy na Beth i Jean, które już się nami znudziły i odwróciły się z powrotem do ekranu.

Wzdycha i ledwie słyszalnym szeptem zaczyna:

– Sama wiesz, jak jest. Tutaj nikt nic człowiekowi nie wyjaśni. Dorastamy i wiemy tyle, że dostaniemy osobę, którą ktoś dla nas wybierze i musimy ją pokochać, potem mieszają dla nas w próbówce ślicznego bobaska, a jak czas nadejdzie, to nam go wszczepią i tak się życie toczy. Nie mówią, jakie to uczucie, gdy się naprawdę zakochasz.

Nie mówią o instynkcie i co się dzieje, kiedy się go posłucha. – Chyba nie chce kontynuować, ale zerka na kamerę i opowiada dalej: – Nie mówią, jak to jest zająć w ciążę w naturalny sposób z kimś niepożądanym przez nich i jak się czujesz potem, gdy cię informują, że dziecko trzeba wykasować. Nie wiesz, jaka to straszna samotność. Zwłaszcza gdy twój ukochany skorzystał z szansy, odszedł i żyje sobie bez całego tego ciężaru, który ty dźwigasz.

Wzrusza ramionami i parska cicho, jakby chciała dać do zrozumienia, że pff, wielkie rzeczy, ale ja cały czas na nią patrzę, mam milion pytań i chociaż wiem, że ich nie chce, nie mogę się nie odezwać:

– Wykasowanie ciąży, nawet nie wiem...

Kręci głową, ale milczy, tylko patrzy na nasze złączone dłonie.

– Najstraszliwsza rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała. Myślę o tym codziennie. Przez tę chwilę było gorzej niż przez dziewięć miesięcy, które spędziłam w Resocjalizacji, bo do tego dopuściłam i nie powiedziałam, kim on był.

Jestem przerażona.

– Gdyby wiedziała...

– Nie tutaj, tak w ogóle. – Uśmiecha się smutno. – Obok. Chociaż w zasadzie nie ma wielkiej różnicy – Rozgląda się. – Tu jest trochę czystiej i mniej wrzasków. – Wzrusza ramionami. – Ja chciałam zwyczajnie ograniczyć liczbę ofiar. Po co on też miałby kiblować? No, dlatego właśnie Domingo... nie wytrzymał. Nie mógł mu tego puścić płazem. To jest dla mnie gorsze niż cała reszta. Narobił sobie takich kłopotów tylko dlatego, że mu na mnie zależy. Ale taki już jest. Zrobi wszystko dla ludzi, których kocha. – Pod powiekami gromadzą jej się łzy, więc się odwraca.

Jestem w szoku, przez chwilę nie mogę nawet drgnąć.

– Boże, ja...

Podnosi rękę.

– Przepraszam, ale... – Chcę powiedzieć coś jeszcze. – Nie chciałam ci tego dokładać, ale strasznie się o niego martwię.

– O Doma? – Serce zaczyna mi w jednej sekundzie walić jak młotem, a huk wypełnia mi głowę, uszy i oczy. – Co się stało?

– Słyszałaś o Lucasie Brencie?

– O wypadku?

Kiwa głową, ale nie spuszcza ze mnie oczu.

– To była zmiana Doma. Jego obowiązek. On się zajmuje śmieciami. Odbębnił każdą zmianę w ciągu ostatnich dwóch lat. Lucas poszedł wczoraj tylko dlatego, że Dom uszkodził rękę i nie mógł obsługiwać maszyny.

Wtedy tracę kontakt z rzeczywistością. Nic nie słyszę, nie widzę, nie zwracam uwagi na Marianę, która wciąż coś mówi; dociera do mnie tylko bicie mojego serca.

– Miał tam być. Twierdzą, że to błąd systemu, ale wszyscy wiedzą, co się dzieje. Dom też się wygłupia, ale ja wiem, że takich przypadków nie ma. Seren, proszę cię, zrób coś. Porozmawiaj z kimś. Nie mogę go stracić i wiem, że ty też tak czujesz. A twój dziadek? Myślisz, że by cię posłuchał?

Teraz sobie uświadamiam, że nic nie powiedziałam, nie poruszyłam się nawet, siedzę bez ruchu i nie czuję nic poza falami lodowatego przerażenia, które wędrują po moim ciele.

Nigdy się nie wierzy ludziom w ich opowieści o strachu, dopóki samemu się go nie doświadczy.

Rozdział 28

Ciągle o tym myślę. Nie mogę przestać. Tylko siedzę i obracam w głowie jedną myśl. Zabiją go. Zabiją go. Zabiją. Dostaję lunch, ale nie mogę jeść. Gardło mam ściśnięte do bólu, a kiedy próbuję coś przeżuć i przełknąć, zupełnie nie czuję smaku. Przychodzi Sandra i chce mnie zabrać do Koncepcyjnego, wtedy tracę nad sobą panowanie.

– Ale po co?

Wzdycha i zasysa wargi, aż stają się cienkie jak dwie, kreski.

– Słuchaj, ja naprawdę nie znam każdego sekretu na tym statku. Dostałam na poda informację, mam cię tam szybko dostarczyć i prawdę mówiąc, nawet nie chcę wiedzieć, co dalej.

– Jak to?

– Tak to, po prostu mówię. Chodź już.

Bierze mnie za łokieć, ale się wyrywam.

– Nie dotykaj mnie! – wrzeszczę.

Kręci głową i opiera ręce na biodrach.

– Seren, chodź, już to przerabialiśmy. Wiesz, że jak będziesz się ze mną szarpać, dam ci zastrzyk. Zwłaszcza że nie jadłaś śniadania i musiałam cię zgłosić.

Przygląda mi się, czekając aż ustąpię, ale nie jestem w nastroju.

– Nigdzie nie idę. – Kręcę głową, a wtedy ona pcha mnie na ścianę i robi mi zastrzyk w nogę.

Działanie uspokajacza rozwija się powoli. Nie padasz nagle na podłogę jak zapluta kłoda drewna. Raczej robi ci się po prostu wszystko jedno i nie obchodzą cię nawet rzeczy, które normalnie są istotne.

W takim stanie dostarcza mnie do Koncepcyjnego, a im wystarcza jeden rzut oka. Chuda jak szczapa, puste oczy; cofają się z obrzydzeniem. Potem mówią jak idioci, bardzo powoli i głośno, bo wydaje im się, że tak się powinno zwracać do świruski. Facet i babka, oboje w uniformach Medycznego, cały czas robią do siebie dziwne miny i wymieniają komentarze, jakby uważali, że nie zwrócę na nie uwagi, ale zwracam.

– Chcemy sprawdzić, czy jesteś gotowa na zapłodnienie. – On

każde słowo akcentuje tak, jakbym nie znała angielskiego.

– Jeszcze nawet nie jestem w Unii, jak możecie...

Do akcji wkracza ona:

– Nie zrobimy tego dzisiaj. Musimy się tylko upewnić, że jesteś gotowa, dobrze?

Niemal wyśpiewuje te zdania, jakby wszystko było w zupełnym w porządku, jakby nie chodziło o najstraszniejszą rzecz na świecie, o zapłodnienie szesnastoletniej dziewczyny wbrew jej woli. Patrzę na kobietę i zastanawiam się, czy to ona pobierała ode mnie jajeczka, miała na twarzy maskę i niemal zrobiła mi w nodze dziurę, głaszcząc mnie z pozorną łagodnością.

Potem ląduję w laboratorium. Może w pokoju zabiegowym, nie wiem, jak to się nazywa, ale tak czy inaczej to obrzydliwe miejsce, gdzie mnie badają, a potem mówią – pojawiając się nagle w moim polu widzenia, bo leżę – że zapiszą mi leki, żeby „przygotować moje łono” do zapłodnienia, mającego nastąpić zaraz po Unii, która, jak rozumieją, odbędzie się za kilka dni i zostanie przeprowadzona w gronie najbliższych.

W tym momencie dziękuję niebiosom, że jestem na prochach, bo informacja po prostu po mnie spływa.

Szamoczę się akurat za brudnym przepierzeniem, próbując się ubrać w kombinezon, kiedy słyszę brzęczyk w drzwiach, a potem głos, który znam zbyt dobrze. Odsuwam zasłonkę i napotykam spojrzenie Ezry stojącego z rękami na biodrach.

– Ty! – syczę.

– Jeśli nic się nie zmieniło, ja. – Jest bezczelny jak zawsze, ale coś w jego spojrzeniu podpowiada mi, że też czuje się niepewnie.

Odzywa się jeden z lekarzy:

– Chcielibyśmy przygotować was do procesu zapłodnienia. Siadajcie, proszę. – Wskazuje na stolik i stojącą przy nim ławkę. – Odpowiemy na wszystkie wasze pytania i rozwiejemy wątpliwości. A co najważniejsze, zdradzimy wam przydział płciowy. Dowiedcie się za chwilę, czy sprowadzicie na świat chłopca, czy dziewczynkę! – Uderza w tony prowadzącego program telewizyjny, ćwierka, odsłania białe zęby i w ogóle jest cały rozkoszny. Widzę, że robił to już milion razy.

Ciekawa jestem, jak często idzie mu tak jak teraz, bo Ezra i ja stoimy jak wmurowani, patrzymy na niego bez cienia uśmiechu i generujemy jedynie przedłużającą się ciszę.

– To nie ma żadnego znaczenia – mówię lekarzowi.

– Hm. – Poprawia okulary, zerka na poda, a potem znów na mnie.

– Jak to nie ma?

– Nie zauważył pan, że żadne z nas tego nie chce?

Znów na ratunek przybywa ona.

– Mam pomysł! Damy wam pięć minut na osobności.

– Nie, dziękuję – mówię od razu, a w tej samej chwili Ezra odpowiada coś podobnego.

– Nie ma sprawy – upiera się i szarpie swojego kolegę za rękę. – Pięć minut spokojnej rozmowy zawsze dobrze robi. – Wciskają brzęczyk przy drzwiach i wychodzą.

Ezra drapie się po nosie, podciąga się na fotel do badań i opiera się łokciem na metalowym strzemieniu, w którym jeszcze przed chwilą trzymałam nogę, a przy tym wpatruje się we mnie tak intensywnie, że w końcu pytam, na co się tak gapi. Marszczy czoło.

– Na ciebie. Po prostu... Kurczę, nie chcę, żeby wszystko tak wyglądało.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc nic nie mówię. Krzyżuję ramiona na piersi i koncentruję się na tym, żeby stać prosto.

– W porządku?

– Oczywiście, że nie! – Patrzę na niego z niedowierzaniem. – Jak mogło ci przyjść do głowy, że cokolwiek jest w porządku? Nic nie jest! Ani trochę! – Nie wiem, co jest ze mną nie tak, ale zaczynam płakać.

– Jezu, Seren. – Ześlizguje się z fotela i robi kilka kroków w moją stronę, ale ja się cofam tak szybko, że wpadam na ścianę. – Ostrożnie! – Uspokajająco podnosi ręce i skrada się jak do dzikiego zwierzęcia.

– Cofnij się! – syczę. – Nie chcę, żebyś się do mnie zbliżał. Nigdy.

W tej właśnie chwili, dokładnie w tym momencie coś wyrzuca mnie w jego stronę i ląduję na jego piersi jak pchnięta falą przypiływu, a potem oboje lecimy na bok, bo cały gabinet przechyla się na bok, nawet wyposażenie podzwania w szafkach, a echo niesie się po korytarzach.

Ezra się nie uśmiecha.

– Powinni ostrzegać, zanim to zrobią, co?

Nic nie mówię, w ogóle nie reaguję, bo jakieś wielkie znaczenie, cała historia kryją się w tej pojedynczej zmianie kierunku i prędkości, w tym, że organy wewnętrzne wychodzą mi nosem, duszę mam wciśniętą gdzieś w okolice pięt, jakby w ogóle nic nie znaczyła, a do tego czuję, że się rozpływam. Pewnie dlatego siadam na podłodze, zginam się w pół, zwieszam głowę między kolanami i usiłuję się jakoś pozbierać, a on wtedy rzuca:

– Pewnie Huxley-3. – Tak, jakby to nie miało znaczenia. W ogóle żadnego.

Wplątam palce we włosy, przyciskam do skóry głowy, a potem na niego patrzę. Jestem tak spowolniona lekiem, który dostałam, że każde słowo muszę przeżuć, zanim wydostanie się z moich ust.

– A to wszystko przez twoje kłamstwa.

– Moje kłamstwa?

Wstaję powoli, z trudnością, żeby wskazać palcem na jego twarz.

– Wiedziałeś. Byłeś tam. I skłamałeś. Mówiłeś, jak tam strasznie, że są tylko skały, lawa i gazy. A naprawdę jest pięknie, widziałeś plaże, lasy.

Oczywiście nie powiedziałabym tego, gdybym nie była naćpana, ale proszę bardzo, stało się, na szczęście on nie wnika, skąd wiem, tylko na dłuższą chwilę spuszcza wzrok.

– Nawet jeśli to prawda, jakie to ma znaczenie?

– Nie wiem. Ale może jakaś. Może mogłam... Nie wiem... Uciec. Wydostać się stąd. Wtedy nic by się nie stało.

– Jasne, Seren. – Śmieje się tylko. – Nie miałabyś bladego pojęcia, co robić na obcej planecie.

Ale ja go nie słucham, bo nagle wszystko w mojej skołowanej, wycieńczonej głowie układa się w sensowną całość. Klocki wskakują na swoje miejsca jeden po drugim. Wszystko staje się jasne i proste!

– Tak! Właśnie to muszę zrobić.

On się uśmiecha, bo myśli, że żartuję, ale po chwili uśmiech blednie.

– Co ty w ogóle gadasz?! – pyta ciszej. – O czym mówisz?

Ale ja już jestem zajęta planowaniem, zaczadzony umysł szybko

się rozjaśnia.

– Ty! Masz dostęp do wahadłowców.

Wtedy podnosi rękę i cofa się o kilka kroków.

– O nie. Zapomnij. Nie ma opcji, nie ma w ogóle o czym mówić.

Ale ja macham ręką i idę za nim krok w krok.

– Mógłbyś nas tam zawieźć. Powiedziałbyś nam, co zrobić.

Przecież to także w twoim interesie, żebyśmy zniknęli.

Jest tak wstrząśnięty, jakbym mu dała w twarz. Przez chwilę bezdźwięcznie porusza ustami, dopiero potem się odzywa.

– Nawet gdybym... Gdyby wydarzyło się wiele rzeczy, które nigdy się nie wydarzą, to i tak dezernerzy zostają rozstrzelani.

Odwracam się i patrzę na podłogę przede mną.

– A co za różnica?

– Słucham?

– Powiedziałam: a co to za różnica. Na tym etapie chodzi tylko o to, czy zginę tu, czy tam.

– Oczywiście, że nie! To twoja paranoja!

– Naprawdę? Jesteś tego pewien? Wiesz, o czym mówię, więc nie rznij głupa. – Gdyby można było kogoś rozerwać na strzępy wzrokiem, robiłabym to właśnie Ezrze.

Kręci głową, ale milknie. Robi kółko, zatrzymuje się.

– Prawda jest taka, że nie ma dobrego rozwiązania – informuje podłogę między nami. – Jest tylko ten wielki syf. A ponieważ to ty do tego wszystkiego doprowadziłaś, masz naprawdę niezły tupet prosić mnie o coś takiego. – Śmieje się. – Wiesz co, jeśli naprawdę tak kochasz Suareza, dziwnie okazujesz miłość. – Patrzę mu w oczy, które są niemal całkiem czarne z cieniutką niebieską obwódką.

– Jak to?

– Musiałaś wiedzieć, jaka się robi afera, gdy wyjdzie na jaw, co robicie. Na litość boską, zrobiłem wszystko, co się dało, żeby ci pomóc z tym skończyć i zamieść pod dywan. Gdybym ja kochał jakąś dziewczynę, umarłbym, ale nikomu nie zdradziłbym tej tajemnicy. A ty powiedziałaś o tym czterdziestu pięciu osobom! To od samego początku była dla ciebie misja samobójcza, a teraz wciągasz i jego. Jeśli szlag go trafi po drodze, nie miej pretensji do mnie, winna będziesz wyłącznie ty

sama.

Oczywiście natychmiast wpadam w szal i mocno go popycham, a ponieważ się tego nie spodziewa, wpada na wózek z narzędziami, który zostawili tam lekarze, wózek się przewraca, a wszystko, co na nim stoi, z łośkotem rozlatuje się na boki. Musieli się chyba spodziewać kłopotów, bo wezwali Ronalda, wpada teraz do gabinetu i od razu mnie unieruchamia, a lekarz robi to samo z Ezrą, łapiąc go pod ręce od tyłu. Wpadam w jeszcze większą furię i kopię Ronalda w piszczele, więc oboje lecimy na stojącą za nami ławkę. Potem wierzgam i wrzeszczę, aż udaje mi się pociągnąć go za sobą na podłogę, ale kiedy już się spod niego wysuwam, przywała mnie całym ciężarem. Przedramieniem dociska do podłogi moje gardło, tak mocno, że aż stękam.

Zerkam na Ezrę, który stoi tuż przy mojej głowie i na mnie patrzy. Lekarz wciąż trzyma go pod pachy.

Słyszę przy uchu syk Ronalda:

– Wiesz, że nie chcę ci zrobić krzywdy, *guapa. Cálmate*. Proszę cię.

Kiwam głową, bo co więcej mogłabym odpowiedzieć. Żałuję tylko, że cała się trzęsę. On wstaje i ciągnie mnie za sobą. Jest tak silny, że unosi mnie prawie w powietrze, a przy okazji wykręca mi ramię, aż czuję pieczenie w stawie.

Pocieram to miejsce i obserwuję Ezrę. Najpierw w ogóle na mnie nie patrzy, ale potem zerka i mówi:

– Masz tu... – I dotyka kącika ust, jakbym miała tam odrobinę keczupu po jedzeniu hot doga.

Ocieram usta palcem i widzę krew. Patrzę na nią, a potem na niego. Musiałam przygryźć wargę, kiedy upadałam. Gdy w końcu udaje mi się odezwać, słyszę, że mój głos jest wkurzająco histeryczny i roztrzęsiony, raz piskliwy, a raz zachrypnięty.

– Możemy już iść? – pytam Ronalda i od razu się odwracam, ale w tej chwili Ezra mówi:

– Seren, ja...

Coś w tych słowach sprawia, że się zatrzymuję i czekam przez moment, tyłem do niego. Następuje jednak już tylko cisza, więc w końcu wychodzimy, a ja się cały czas zastanawiam, czego mi nie powiedział.

Może po prostu jest debilem, za którego zawsze go miałam.
A może nie.

Rozdział 29

Nie wiem, dlaczego Ronaldo nadal zabiera mnie na bieganie, skoro jedyne, co robię, to sprawiam wszystkim problemy, ale następnego dnia wychodzimy w czasie drugiej zmiany. Biegnę tak szybko, że z trudem za mną nadąża, wyprzedzam wszystkich, spływam potem, muzyka dudni mi w uszach, przepycham się wśród ludzi i zostawiam resztę grupy z tyłu. Prawie udaje mi się zgubić i Ronaldo, ale w końcu łapie mnie za rękę.

– Co ty robisz?

Ściągam z uszu słuchawki.

– Nic nie rozumiesz. Muszę się zobaczyć z Domem, to bardzo ważne.

– Z Suarezem? Nie ma mowy.

– Proszę cię – dyszę, rozsiewam wokół kropelki śliny, a w końcu zginam się wpół, żeby złapać oddech. – Po prostu... Proszę. Muszę z nim porozmawiać.

Zdejmuje z ramienia torbę, wyciąga butelkę wody i podaje mi. Piję, ale nie odrywam od niego wzroku.

– Tylko pięć minut, nie proszę o nic więcej.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem.

Wybuchają śmiechem.

– No to nic ci nie poradzę, *guapa*.

– Pożycz mi poda.

Kręci głową.

– Proszę. Proszę, tylko o to jedno. – Chyba widzi ten porażający, buzujący głęboko we mnie strach, bo wyciąga poda.

– Przyjdź do mnie – mówię, gdy Dom odbiera. – Potrzebuję cię. Na pięć minut. Proszę.

Jest zupełnie zbity z tropu, ale szybko się opamiętuję.

– Jestem z rodzicami. Daj mi chwilę. Gdzie jesteś?

– Na placu.

– Idź do kina. Ono jest w części Zachodniej, wolno mi tam być.

Usiądź z boku, w ostatnim rzędzie. Przyjdę jak najszybciej. – Rozłącza się.

Idziemy z Ronaldem do kina, wciąż zdyszani i spoceni. Na szczęście jest zajętych tylko kilka miejsc z przodu, więc cała tylna część widowni jest pusta. Siadam w trzecim rzędzie od końca, a Ronaldo w ostatnim; patrzy na ekran. Leci film o jakimś superbohaterze, tak głośny, że wibrują nam czaszki. Dom przychodzi parę minut później. Siada obok mnie, zjeżdża plecami po oparciu i zapiera się kolanami o siedzenie przed sobą. Mnie też ciągnie w dół i przytula.

– Co się stało? – Ściąga mi czapkę i odgarnia z twarzy przyklejone włosy. – Wszystko dobrze?

– Tak. A u ciebie?

Kiwa głową, uśmiecha się i przysuwa bliżej. Niebywale, że można być tak szczęśliwym na czyjś widok, a jednocześnie tak przerażonym i smutnym, a jeszcze na dodatek wiedzieć, że druga osoba czuje dokładnie to samo. Może dlatego zamiast mówić, wykorzystać cenny czas, jaki mamy, żeby spróbować mu wyjaśnić coś totalnie szalonego, coś tak nedorzecznego, że może w ogóle nie uda mu się tego ogarnąć rozumem, zaczynam go całować. Ja całuję jego, a on mnie, łączymy się w głębokim, wilgotnym pocałunku, wczepiam się w przód jego kombinezonu, on ściera mi pot z twarzy, ciężko oddychamy, żadna bliskość nie będzie wystarczająca.

W końcu, ostateczną siłą woli, odrywam się i odpycham go, a gdy dzieli nas odległość wystarczająca, żebym mogła zajrzeć mu w twarz, dostrzegam jego poważną minę i zmarszczone czoło; dotykam głębokich bruzd i uciskam je palcami, wtedy się trochę rozluźnia.

– Nie masz pojęcia, jak się o ciebie bałam. Słyszałam o Lucasie Brennie.

– Tak... – Kiwa głową, przełyka ślinę. – Miał dwoje małych dzieci.

Biorę go za rękę, kładę ją sobie na kolanie, muskam jej grzbiet i widzę siniaki na kciuku i palcu wskazującym, nabrzmiałe żyły. Potem spoglądam mu znów w twarz.

– Musimy uciekać. Musimy się stąd wydostać i wrócić na Huxley-3.

Plamy światła z ekranu skaczą mu po twarzy, a on mruga, analizując moje słowa, naciąga kaptur i rozgląda się.

– Ale... Nie możemy. Dezerterów zabijają, przecież wiesz. A nawet gdyby nie było za to kary, jak się tam w ogóle dostaniemy? – Patrzę na niego i chociaż w mroku prawie nic nie widać, wiem, że obserwuje mnie jak kogoś, komu odbija; wiele razy widziałam na sobie taki wzrok, ale nigdy w oczach Doma, co mnie trochę hamuje. A jednak brnę.

– Coś wymyślimy. Damy radę. Myślę, że Ezra mógłby nas doprowadzić do wahadłowców.

Patrzy, nie rusza się, nawet nie oddycha, chyba jest w szoku, a na ekranie rozgrywa się jakaś bitwa, od której cała sala się trzęsie. Zauważa, że czekam na odpowiedź.

– Dlaczego miałby nam pomóc? Przecież on robi tylko to, co dobre dla niego, zawsze taki był.

– Dokładnie. Więc zrobi wszystko, żeby się nas pozbyć. Błagam cię, pomyśl, byłby przeschęśliwy, mogąc nas wysłać na prawie pewną śmierć.

– Czekaj. To dlatego dzisiaj do mnie dzwonił cztery razy?
Aż mnie zatyka.

– Dzwonił? Ezra do ciebie dzwonił? I co powiedział?

– Nic. Nie odebrałem. Naruszyłbym zasady swojego zwolnienia warunkowego, byłem pewien, że robi sobie jaja, żebym miał kłopoty.

– Ale on... Dom, posłuchaj, każda sekunda oddala nas od Huxleya. Musisz się z nim spotkać.

Patrzę na niego, na jego smutne usta, jedyną część twarzy, jaką widzę, bo zasłania ją kaptur, a poza tym odwrócił się ode mnie.

– Już z nim o tym rozmawiałaś? Zanim porozmawiałaś ze mną?
Ściągam mu kaptur i kładę dłoń na jego policzku.

– Zabrali mnie wczoraj do Koncepcyjnego. On... on też tam był. – Czuję, że cały się napiął, choć jeszcze nie skończyłam mówić. – Musimy stąd uciekać. Jak najszybciej.

– Nawet jeśli nam się udało... Co... Co z twoim tatą. I moimi rodzicami. I w ogóle wszystkimi. Nawet jeśli przeżyjemy, już ich więcej nie zobaczymy.

– Ja nie mogę... Nie możemy o tym myśleć. Po prostu nie możemy. Tutaj nie jesteśmy bezpieczni, wiesz dobrze.

Widzę strach, który przede mną ukrywał, więc przyciągam go do siebie.

– Powiedz, co ci zrobili. Co się działo?

Nie mówi. Całuje mnie i oddycha ciężko, kiedy go głaszczę po włosach, po karku, po ciepłej skórze niosącej obietnicę słońca, podczas gdy ja niemal zamrzam pod warstwą lodowatego potu. Przestaje mnie całować.

– Nic nie wiem, ale kiedy jesteśmy razem, wydaje mi się, że możemy dokonać wszystkiego i wszystko jest możliwe. – Głos odrobinę mu się łamie.

W tej chwili pojawia się Ronaldo, zatrzymuje się obok naszego rzędu i patrzy wkoło. Wstaję i daję krok nad kolanami Doma, a on kładzie dłonie na moich biodrach, potem na twarzy i ciągnie mnie do ostatniego pocałunku.

– *Mira, hombre.* – Ronaldo jest rozdrażniony.

– Spróbuję coś wymyślić – szepcze mi do ucha Dom.

Ronaldo łapie mnie za rękę i rusza, a ja mogę się tylko odwrócić, moje palce wysmykują się z dłoni Doma, który powoli wstaje, patrzy na mnie, coraz dalszy, z twarzą ukrytą w ciemności, aż wreszcie odwraca się i widzę, ile go to kosztowało. Ronaldo ciągnie mnie z powrotem na zewnątrz.

– Słuchawki – poleca, więc posłusznie je wkładam, ale nie wiem, czy gra w nich muzyka. Nie mam szans jej usłyszeć, jestem pogrążona za bardzo w sobie, a może poza sobą.

Rozdział 30

Długo nic się nie dzieje, a potem w wigilię, w porze odwiedzin, przychodzi Mariana. Jest zdenerwowana i dziwnie cicha, więc od razu się domyślam, że chce mi przekazać wiadomość.

– Podobno idziesz dzisiaj wieczorem do taty – mówi w końcu. – Powinnaś wziąć ze sobą wszystko, czego potrzebujesz.

– Wziąć wszystko... – Już rozumiem. – Dzisiaj wieczorem? Naprawdę? Dzisiaj?

Wzdycha i zaczyna się zbierać.

– Muszę iść.

Ja też wstaję, biorę ją za rękę i nachylam się do niej. Improvizuję, ale chyba nie widać.

– Chodź ze mną na kolację wigilijną do mojego taty.

Patrzy z miną wyrażającą coś w stylu: „czyś ty zwariowała?!”, którą aż zbyt wiele razy widziałam niedawno na twarzy jej kuzyna.

– Twój tata nie będzie miał nic przeciwko?

Kręcę głową.

– Jasne, że nie. Chodź. Już dawno chciałam, żeby cię poznał.

Krzywi się.

– Chcesz, żeby mnie poznał?

Wzruszam ramionami.

– No pewnie. Wierz mi albo nie, jesteś moją przyjaciółką i zależy mi na tobie.

Unosi brwi.

– Dobra, wyluzuj, bo zaraz zaczniemy płakać.

Z okazji świąt wolno mi na ten jeden wieczór wyjść z Resocjalizacji i zjeść kolację w stołówce z tatą i Olivią, a potem wrócić do ich mieszkania, obejrzeć film i grać w gry. Nie mam pojęcia, jak Olivia i jej dzieci zapatrują się na spędzenie wieczoru z wariatką, ale to już nie mój problem. Wystarczy, że Ronaldo ma mnie tam zaprowadzić, a potem przyprowadzić przed rozpoczęciem emitowanej na ekranach mszy i w drodze powrotnej będę mu się musiała jakoś wymknąć. No więc teraz się szykuję, ubieram się roztrzęsionymi rękami i najbardziej

na świecie chciałabym porozmawiać z Domem, choć wiem, że to niemożliwe.

Przez całą drogę Ronaldo nie odstępował mnie na krok, jakby coś przeczuwał (pewnie przeczuwał), a gdy docieramy do stołówki, gra ta sama koszmarowa świąteczna muzyka, co zawsze, panuje nastrój wymuszonej wesołości, ludzie mają na głowach papierowe korony, w powietrzu unosi się zapach jedzenia cuchnącego ściekami, a Olivia do nas macha.

– Ślicznie wyglądasz, chociaż jesteś taka wychudzona. Chodź, zjesz coś – woła, a tata powoli wstaje i mnie całuje. Olivia brnie: – Zostaniesz z nami, Ronaldo?

– Nie – odpowiadam błyskawicznie, co wszystkich wprawia w zażenowanie. – Musi pracować – dodaję szybko, żeby jakoś zatuszować niezręczność. – Prawda?

Zanim odpowie, przygląda mi się przez chwilę.

– Prawda.

– Niezbyt świątecznie – wzdycha tata, kiedy odprowadzamy Ronaldo wzrokiem i zasiadamy przy stole.

– Chodzi o to, że zaprosiłam przyjaciółkę, a oni się nie dogadują. – Rozglądam się w poszukiwaniu Mariany, a kiedy ją dostrzegam, macham. – O, jest.

Może trochę nerwowa i milcząca, zwłaszcza po kolacji, kiedy trzeba śpiewać kolędy, ale wszyscy bardzo ją polubili i później, w mieszkaniu, dzieciaki pokazują jej przynależną każdej rodzinie choineczkę, a potem ciągną na ławkę, żeby grała z nimi w dziwaczne gry na podach. Później dołączają do nas Pan i Cain, którzy jedli kolację w Południowej z jego rodzicami, oboje lekko pijani, jedno przez drugie opowiadają pasjonującą historię o tym, jak to Cain zrobił w prezencie dla Deborah małe autko w warsztacie metalurgicznym, a ktoś je wziął za śmieć i wyrzucił, a poza tym, czy nie sądzimy, że bardzo urosła i ma nos Caina, niesamowite, prawda? Przez cały czas Mariana patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i zastanawiam się, czy zaraz pobiegnie do drzwi i ucieknie, ale nie mogę teraz do niej iść, bo tata bierze mnie za rękę i ciągnie do sypialni, żeby dać mi prezent. Zdjęcie wydrukowane na magnetycznej płytce, muszę mu się przez chwilę przyglądać, zanim mnie

ołśni, że to moja mama.

– Chciałbym, żebyś to miała.

Patrzę na zdjęcie, na nią w ciążowym uniformie, z dwuletnią Pan na biodrze i ze mną w brzuchu. Ma dwadzieścia jeden lat i jest piękna.

– Nigdy nie będę taka ładna jak ona – mówię.

Tata się znajduje:

– Nie byłbym tego taki pewien. – Dobrze wiem, ma takie samo zdanie jak ja, ale i tak miło, że zaprzeczył. – To chyba ostatnie zdjęcie, jakie zrobiliśmy przed...

Więcej na ten temat nigdy nie mówi. Wiem, koniec tematu, ale pytam:

– Dlaczego dajesz mi to teraz?

– Bo czuję, że jesteśmy na jakimś rozstaju. – Marszczy brwi i siada na biurku. – Poza tym nie chcę, żebyś żyła, myśląc o mamie tak, jak dotąd.

– A jak powinnam?

– Dziadek poradził, żebym pewnych rzeczy nie mówił ani tobie, ani twojej siostrze, ale z biegiem lat jestem coraz mniej przekonany, że zrobiłem dobrze.

Przyglądam mu się uważnie. Inni wołają, żebyśmy przyszedli na film, ale krzyczy, że jeszcze chwilę, zamyka drzwi i odpowiada zmarszczeniem brwi na moje zmarszczone czoło.

– Czego nie mówił?

– Powiedziano mi tylko, że weszła do służby powietrznej i otworzyła zewnętrzne drzwi. Ale... Nie wiem. Nie do końca mi to pasuje. Wkrótce przedtem narobiła sobie w pracy wrogów. Jak wiesz, pracowała w Dowództwie, w dziale komunikacji. Zawsze mieliśmy dużo planów, jak poprawić status życia nas wszystkich, ale byli tacy, całkiem sporo, którzy uważali, że nasze koncepcje zagrażają powodzeniu misji i... – Rozkłada ręce. – Słuchaj, ja nie wiem. Nigdy niczego nie udowodniłem. A potem trzymałem usta na kłódkę, bo miałem was i to było najważniejsze.

– Co sugerujesz?

Zmienia pozycję, ściąga czapkę, a potem drapie się po głowie, jak zwykle, kiedy coś obmyśla.

– Nie wiem. Pewnie nic. Gracie miewała takie chwile załamania, więc może się łudzę. Może po prostu nie mogę się pogodzić, że nas zostawiła. Ale jesteś do niej bardzo podobna, więc dużo o tobie myślę i chciałbym, żeby skończyło się to dla ciebie lepiej. Nie zamierzam cię straszyć. Zależy mi tylko, żebyś się odnalazła i wyszła z tego.

Czy to ostrzeżenie? Ściska mnie w gardle, ale jakoś wykrztuszam:

– Próbujesz mi coś przekazać?

Znów się przesiada i lekko wzrusza ramionami.

– Tylko tyle, że cię kocham i nie chcę, żebyś ryzykowała. Graj wedle ich reguł. Rób, czego oczekują. Ja raz próbowałem się przeciwstawić i wiem już, że nie ma sensu. Koniec końców znajdziesz drogę do szczęścia.

W milczeniu słuchamy dobiegających z pokoju obok dźwięków filmu. *To wspaniałe życie* wyświetlają co roku w wigilię. Przez cały czas boję się wypowiedzieć imię Doma, ale zależy mi, żeby tata zrozumiał, kiedy któregoś dnia zacznie o tym myśleć.

– Pewnie wszystko byłoby dobrze, gdybym nie poznała Doma.

Kręci głową.

– Nie trać czasu na myślenie o tym. Dla jego dobra i swojego. – Wzdycham i patrzę na zdjęcie. – Chciałbym, żebyś była szczęśliwa, przecież wiesz!

Czy kiedykolwiek objął mnie tak mocno, jak teraz? Przez cały czas się zastanawiam, czy zna jakieś ich plany co do mnie. Już mam pytać, kiedy uświadamiam sobie, że to nie ma znaczenia. Po prostu nic nie zmieni. Nie cofnę się. Wdycham więc po prostu zapach jego skóry i ocieram się policzkiem o szorstką wysypkę, której dostaje od przebywania w zimnych ładowniach. Tęsknię tak bardzo, mam łzy w oczach, ale akurat wtedy przychodzi starszy synek Olivii i mówi:

– Wujku Jamie, mama mówi, że zaraz twoja ulubiona scena!

Tata lekko klepie mnie po plecach i wraca na ławkę przed ekranem, ja jeszcze przez sekundę patrzę na zdjęcie, a potem idę za nim.

Jakiś czas później stoję na korytarzu z Pan i Deborah, która drze się jak opętana, a pozostali jeszcze oglądają film, ale ja i tak nie mogę się skupić, więc nosimy ją z Pan na zmianę, choć sądząc po tym, jak kiwa jej się głowa, jest po prostu śpiąca. Próbuję nie pamiętać, że nigdy już

nie zobaczę siostry ani nie będzie mnie przy dorastaniu Deborah, co ciekawe, ta myśl jest najboleśniej, ale jestem tak przerażona, że z trudem udaje mi się ustać na nogach i sklecić jakieś myśli.

– Co się z tobą dzieje? – Pan patrzy, jak oddycham głęboko, żeby jakoś uspokoić rozszalałe serce.

– Nic. Wszystko dobrze – odpowiadam. – Wiesz co, cieszę się, że ci się układa. I tacie też. Mam nadzieję, że też byś się cieszyła, gdybym ja była szczęśliwa.

Przygląda mi się spod zmrużonych powiek.

– Nie świruj dzisiaj, proszę cię. Wytrzymaj jeszcze te parę godzin. Jak się nie ogarniesz, nigdy cię nie wypuszczą z Resocjalizacji, wiesz o tym, tak?

– Wiem. – Znów oddycham głęboko. – Dobra.

– I nawet jeśli tobie jest wszystko jedno, czy tam zostaniesz na zawsze – mówiąc to, marszczy czoło – to tacie nie jest. I mnie też nie. Naprawdę.

Nachylam się i przytulam ją tak mocno, że zmiażdżona Deborah znów zaczyna kwilić, więc Pan się odsuwa i chce mi ją zabrać, ale nie daje i tłumaczy:

– Chciałabym ci tylko powiedzieć, że cokolwiek się stanie... Po prostu nie martw się o mnie, dobra? Nie żałuj mnie.

Patrzę na Deborah, a ona nagle przestaje płakać i wbija we mnie wzrok. Całuję jej chłodny policzek, ale Pan mi ją wrywa.

– Chyba pójdziemy do domu. Ty też powinnaś wracać. – Otwiera drzwi do mieszkania, żeby zawołać Caina, ale on śpi z głową na ramieniu taty. Patrzę na nich, jak się zbierają, żegnają ze wszystkimi, potem Cain mnie obejmuje, a Pan patrzy na mnie ponad jego ramieniem.

– Spróbuję jutro do ciebie przyjść, dobrze?

Zaraz potem znikają.

Zbliża się czas. Patrzę na Marianę, tkwiącą wśród moich bliskich, osaczoną ich rozkosznym, świątecznym nastrojem. Ma na twarzy plamy światła padającego z telewizora. Ciągnę ją za rękę do łazienki i zamykam drzwi, a ona wciska się w kąt.

– Nie miałyśmy czasu pogadać. On zaraz tu będzie, a ja potrzebuję twojej pomocy.

Przelyka ślinę.

– Wszystko wiem, Dom mi wczoraj powiedział.

– Tak?

– A myślisz, że czemu cały wieczór siedzę jak na szpilkach?

Nie mogę się powstrzymać i ją przytulam, ale mnie odpycha.

– Tak na wstępie, jest to najgłupszy plan świata z zerową szansą powodzenia, ale ponieważ żadne z was mnie nie posłucha, nie mam wyboru i muszę wam pomóc.

Wtedy słyszymy brzęczyk, a po sekundzie rozlega się wołanie taty:

– Seren, przyszedł Ronaldo!

Patrzemy jedna na drugą, a ja się trzęsę i nie wiem, czy się śmiać, czy płakać.

– Jak rozumiem, nie ma sensu prosić, żebyście tego nie robili? – Kręcę głową, więc dodaje: – W takim razie powiem ci to samo, co powiedziałam Domingowi. Pomogę wam, ale pod jednym warunkiem.

– Zrobię, co zechcesz.

Przelyka ślinę.

– Zabierzecie mnie ze sobą.

Jestem w takim szoku, że przez chwilę słyszę tylko nasze ciężkie oddechy, zdyszane ze strachu i podniecenia, ale potem niemal się na nią rzucam i krzyczę w jej ramię, bo to cudowne. No jasne! Zawsze miało tak być.

– Jest to prawdopodobnie najbardziej idiotyczna decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam, ale nienawidzę swojego życia tutaj, a wy jesteście ludźmi, bez których i tak nie chcę zostać.

Tata podchodzi i wciska przycisk interkomu:

– Co się tam dzieje, dziewczyny? Niepokoiemy się.

Nie ma czasu na dalszą rozmowę, bo otwiera zasuwkę od zewnątrz, rozsuwa drzwi, za którymi stoją i nagle wszystko zaczyna się dziać.

Tata pewnie się zastanawia, dlaczego go przytulam na do widzenia, bo zwykle tego nie robię, ale pewnie przypisuje to mojemu chwiejnemu stanowi psychicznemu, zwłaszcza że przytuliłam też Oliwię. Później wychodzimy, a ja się nie odwracam za siebie, ani razu.

Nie mam pojęcia, jak to rozegrać, gdy idę między Ronaldem i Marianą w koszmarnie napiętej atmosferze i potwornej ciszy. Nie

zdażyłam jej spytać, jak się umówiła z Domem, więc cały czas się rozglądam, patrząc na każdego mijającego nas faceta w idiotycznej świątecznej czapce i zastanawiam się gdzie i kiedy.

Dochodzimy do basenu, patrząc na tańczące po suficie światło odbite przez wodę i właśnie wtedy odzywa się Mariana:

– Ronny? Muszę z tobą porozmawiać.

Chyba wszyscy wstrzymujemy oddech.

– Jasne. Co tam? – odpowiada po chwili.

Rozglądam się, myślę intensywnie, a wszystkie zmysły mam wyostrzone i aż dziw, że to wszystko wytrzymuję. Nie mogę uwierzyć, że ona daje radę normalnie mówić.

– Musisz coś dla mnie zrobić, dobra? Ja coś dla ciebie zrobiłam i teraz proszę o rewanż.

Nie odpowiada, tylko stoi w absolutnym bezruchu jak pomnik i odzywa się dopiero po chwili, gdy już do niego dociera, że to się dzieje naprawdę.

– Nie chcę gadać o przeszłości, Mari. To nie ma sensu.

– Jasne, zgadzam się. Mówię o przyszłości.

Zerka na poda.

– Muszę odprowadzić tę pacjentkę. Chodźmy.

Kiedy jednak żadna z nas się nie rusza, odwraca się z powrotem do nas i pociera czoło.

– Będziesz miał przez to kłopoty, ale musisz nas puścić.

– I gdzie pójdziecie? – Wskazuje ręką na przestrzeń wokół nas, śmieje się nawet trochę, ale potem śmiech zamiera mu na ustach.

– Nieważne. Mówię tylko, że ja pozwoliłam ci normalnie żyć, iść swoją drogą. Czy możesz dla mnie zrobić to samo?

Podchodzi i pyta ciszej:

– Nie rozumiem, co mam zrobić.

– Nic. – Mariana łapie mnie za rękę. – Zupełnie nic. To martwy punkt monitoringu, wszyscy o tym wiedzą. Po prostu odczekaj chwilę, zanim komukolwiek powiesz, że nas nie ma. I już. Czy to zbyt wiele po tym wszystkim?

Ma dziwną minę i gapi się pod nogi.

– Gdzie ją zabierasz? Jestem odpowiedzialny za jej

bezpieczeństwo.

Ona macha wolną ręką, zbywając go.

– Ze mną będzie bezpieczna.

A później się odwracamy i ruszamy, najpierw powoli, potem coraz szybciej i przed skrętem na schody dla obsługi zauważam jeszcze tylko jedno: to, jak on na nią patrzy, a ona na niego. Już wiem, dlaczego nigdy, aż do teraz, na nią nie spojrzał. Bo wszystko ma wypisane na twarzy: tę miłość, na którą nie pozwolono, ból, którego chciałby nie sprawić oraz słowa pożegnania i przeprosin, których nigdy nie wypowiedział.

Potem znikamy.

Rozdział 31

Dom z plecakiem czeka piętro niżej, ma zapiętą kurtkę, a na głowie czapkę. Przyciąga mnie do siebie i całuje w usta, a potem łapie za lodowatą rękę i biegniemy tak szybko, że nie mogę mówić i z trudem wyciągam rękę do Mariany, która leci za mną.

– Mariana idzie z nami – udaje mi się wystękać.

– Wiem! Genialnie, prawda? – Chcę go wtedy ucałować, ale nie mogę, bo biegniemy, biegniemy, aż docieramy do transporterów dla personelu w Zachodniej i wciskamy guzik przywołujący. Stoimy przed drzwiami, słuchamy dudniącego zgrzytu nadjeżdżającej windy i modlimy się, żeby była pusta, a on mnie otula swoim ciepłem. Podnoszę głowę i patrzę mu w oczy.

– Jak to się wszystko stało tak szybko?

– Wczoraj całą noc spędziłem z Ezrą w wahadłowcu.

– Naprawdę? – Myślę o Ezrze, który przecież nie musiał nam pomagać, a jednak to zrobił i na chwilę robi mi się smutno, że nigdy mu nie podziękuję. Ani się nie pożegnam.

Ale teraz nadjeżdża winda. Zamiast na nią patrzeć, przyglądam się światłu z jej wnętrza, które skacze po twarzy Doma i kiedy wolną ręką wciska guzik otwierający drzwi, już wiem, że jest pusta.

– Załatwił mi uczniowską wejściówkę do Zachodniego Doku, nie wiem, jakim cudem, ale pewnie ma możliwości, o jakich my nawet nie marzymy. – Już jedziemy w dół, zagłębiamy się, mijamy piętro za piętrzem, paski światła spod drzwi przecinają nasze twarze zwrócone w stronę ściany i wszyscy modlimy się, żeby nikt się nie dosiadł. – Siedzieliśmy tam całą noc i większość dzisiejszego dnia, programowaliśmy nawigację, ogarniałem główne systemy. Latanie wydaje się dość łatwe. W szkole miałem czwórkę z podstaw lotu, więc nie powinno być problemu.

Mariana parska śmiechem, ale w tej samej chwili dociera do nas, że zwalniamy, a następnie stajemy i do transportera wsiada ubrana w uniform inżyniera kobieta w średnim wieku, automatycznie kiwa głową w naszą stronę, a potem opiera się o ścianę przy samych drzwiach i

dzwoni do dzieci. Nie zauważa, że żadne z nas nie oddycha, aż wysiądzie trzy piętra niżej.

W Doku, w stróżówce przy wejściu, jest trzech facetów, widzimy ich przez okno, jak piją kawę i oglądają na ekranach mszę, która się właśnie zaczyna, nie zwracają na nas uwagi, kiedy zmierzamy do wejścia dla personelu i przez nie przechodzimy.

– Wiedziałam, że pewnego dnia kiblowanie w Konserwacji się opłaci. – Mariana się uśmiecha i całuje uniwersalną kartę do wszystkich pomieszczeń służbowych. Wchodzimy do pokoju socjalnego, w którym transmisja z procesji nadawana jest dla pustej ławki w kształcie litery L i stosu pogniecionych koron z papieru.

Za następnymi drzwiami jest już przestronny hangar, w którym odbijają się echem nie wiadomo czyje głosy, z oddali śpiewające *Cichą noc*. Dom nie wie, co dalej, rozgląda się, dopiero potem zauważa wejście do luków, więc ciągnie nas tam, przykłada kartę do czytnika, drzwi się otwierają i w tej samej chwili zapalają się światła rozświetlające długi, długi korytarz z włazami po obu stronach. Biegniemy, mijamy jeden za drugim, ściany są strasznie białe, światło strasznie niebieskie, a co jakiś czas rozlega się buczący dźwięk i nagle robię się tak strasznie przerażona, żołądek prawie wyskakuje mi przez gardło, a głowę przeszywa myśl, że nie lecę, w tym jednak momencie docieramy na miejsce i Dom otwiera właz. Stoję i na niego patrzę, stoję i się trzęsę, a obok mnie Mariana kręci głową, patrzy w lewo, a potem w prawo i czuję, jak nerwowo przebiera palcami. Dom już klęczy, zagląda przez właz do środka, potem sięga znów po moją rękę, ale kiedy się nie ruszam, popycha Marianę. Ona wczółguje się do środka, a on tymczasem patrzy na mnie i pyta, czy idę. Kręcę głową.

– Nie sądziłam, że zajdziemy aż tak daleko.

Wstaje i odgarnia mi włosy z twarzy.

– Ale zaszliśmy.

– Skończy się na tym, że umrzemy.

Uśmiecha się i potrząsa głową.

– Pewnego dnia na pewno, ale nie dzisiaj.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. Chodź, zobaczymy, co się wydarzy. Moim

zdaniem się uda. – W tej chwili uświadamiam sobie, dlaczego go kocham, dlaczego nie mogę sobie wyobrazić, że spędzam życie z kimś innym. Zawsze widzę czarne strony wszystkiego, a on jasne i jakimś cudem mu wierzę, nawet nie musi się starać, po prostu nagle cały świat wygląda inaczej i tak oto znajduję się w Explorerze 37, patrzę przez przednią szybę na gwiazdy i nie stać mnie na nic więcej, bo pograżam się w myślach. W końcu dociera do mnie jego głos: – Będę potrzebował twojej pomocy, *amor*. Uruchom systemy główne, dobrze? – Wskazuje na szereg ekranów po mojej lewej, ale kiedy się do nich odwracam, rozlega się za nami odgłos otwieranego włazu. Zamieramy i pewnie każde z nas myśli to samo: Cholera, prawie nam się udało...

To Ezra.

– Co ty tu robisz?

Nie odpowiada, tylko chwyta górną część okrągłego okienka i wsuwa się jednym płynnym ruchem, nogami do przodu. Podchodzi do fotela pilota, wypycha z niego Doma, wkłada słuchawki z mikrofonem, uruchamia komputer i sprawdza ustawienia. Dom na mnie zerka, ale wykonuje polecenia Ezry, który pokazuje mu, co włączyć, a sam jeździ palcem po ekranie systemu nawigacyjnego.

– Co on tu robi? – pyta Mariana. Bierze mnie za rękę i mocno ściska. – To jest pułapka. Ostrzegalam Doma.

Patrzę na nią, w jej gigantyczne źrenice, na pokrytą warstewką potu twarz, na której maluje się odczuwane przeze mnie przerażenie.

– To nie pułapka – chcę powiedzieć, ale głos mnie zawodzi i nawet sama sobie nie wierzę.

– Więc po co przyszedł? – Mariana kręci głową. – Wytłumacz mi. Domingo powiedział, że umie włączyć komputer i uruchomić system. Więc co on tu robi? Wsypie nas, zobaczysz. Zaplanował to.

Obserwuję twarz Ezry w szerokim wypukłym lustrze nad przednią szybą. Przez mikrofon w słuchawkach wydaje systemowi polecenia głosowe. Oblizuje usta, czoło ma spocone, a potem dostrzegam krew, w kąćniku ust, różowy ślad z lewej strony. Coś jest nie tak.

– Ezra? – Nie udaje mi się nad sobą zapanować, wypowiadam jego imię, więc teraz odwraca się do mnie, patrzy oczami wielkimi i czarnymi jak u Mariany, oddycha za szybko i nie spuszcza z siebie przez

chwilę wzroku, a ja usiłuję zrozumieć, o co chodzi, ale mi się nie udaje.

– Stary, dam już radę, dzięki. Musimy ruszać – mówi Dom.

– Wiem – wzdycha i wydaje mi się, że naprawdę mu smutno, bo więcej nas nie zobaczy, w każdym razie na to wygląda, ale nadal się nie rusza, nie wstaje. Wtedy odzywa się komunikator.

Dzyń, dzyń.

Cisza, a my patrzymy jedno na drugie.

Dzyń, dzyń.

Nikt się nie rusza.

Potem Dom proponuje:

– Powiedz im, że to ty. Przyszedłeś poćwiczyć.

Ezra się śmieje, ale Dom patrzy na niego tak długo, aż ten wciska guzik i mówi:

– Tu Młodszy Pilot Lomax. Zamierzam poćwiczyć przed egzaminem. Odbiór.

– Godne podziwu poświęcenie, Lomax, oby wszyscy tacy byli, odbiór.

– Dziękuję, odbiór. – Ściąga słuchawki i rzuca je Domowi na kolana, a potem wypuszcza z płuc powietrze.

– Jak teraz odlecimy? – pyta Mariana. – Obserwują nas.

– Wcale nie. – Odwraca się do niej. – Obserwują mszę i czekają, aż mój braciszek coś zrąbie. Zanim zauważą, że coś jest nie tak... – Wzrusza jednym ramieniem.

– Dzięki, stary – powtarza Dom i wyciąga do niego rękę, ale wtedy...

Dzyń, dzyń.

Znów komunikator.

– Odbierz – poleca Dom, ale Ezra kręci głową.

– Jezu, człowieku, nie psuj teraz wszystkiego! – krzyczy Mariana. Czuję, jak ze strachu ciężko oddycha, prawie sapie. – Pomóż nam, niech się odczepią.

Ale Ezra nie odbiera. Poci się za to, ciężko dyszy, co chwilę przełyka ślinę i wygląda, jakby zaraz miał zwymiotować. Przez kilka sekund żyje nadzieją, że ma jakiś plan. Jeszcze kilka razy przesuwając palcem po ekranie panelu kontrolnego i... Cholera! Co... Słyszymy, jak

wysuwają się wsporniki, syczy śluza powietrzna, silniki ryczą i nagle zdajemy sobie sprawę, że, Boże!, wystartowaliśmy! Przez dłuższą, wypełnioną milczeniem chwilę istniejemy tylko my i setki tysięcy odległych, unoszących się w powietrzu gwiazd.

– Chryste, Lomax, coś ty narobił?! – Dom nie wie, czy wrzeszczeć na Ezrę, czy do mnie, żebym zapięła pasy.

Komunikator już nie podzwania uprzejmie, tylko dudni jak dzwon na wieży. Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń! A my nabieramy prędkości, pęd wbija mnie w fotel i prawie nie słyszę wzajemnych wrzasków Doma i Ezry. W fotelu obok mnie siedzi z zamkniętymi oczami i odchyłoną w tył głową Mariana, na ciemnych rzęsach zbierają jej się łzy, formują się w małe kulki jak ze szkła i unoszą się w powietrze, pierwszy sygnał, że nie ma już grawitacji.

– Mariana! – wołam, a ona powoli otwiera oczy i patrzy na paciorki swoich łez, które jej pokazuję.

– Boże, chyba się porzygam – jęczy.

Komunikator zwariował, nawija bez przerwy.

– Explorer 37, nie macie zgody na lot, zmieńcie trajektorię i wracajcie do doku.

– Namierzyli nas. – Dom zerka na Ezrę, a potem odwraca się do mnie i przekazuje wieści dokładnie takim samym głosem: – Namierzyli nas.

Ezra nie reaguje na wezwania, maże tylko palcem po ekranach dotykowych i wciska jakieś guziki. Na dużym wyświetlaczu obok siebie ustawia widok tego, co się dzieje za nami.

– Przestań pieprzyć, Suarez, i patrz na to.

Dom zerka na ekran, a potem na Ezrę.

– I co? Po co mam na to patrzeć?

– Będziesz sprawdzał, czy za nami lecą.

– Kto?

– Statek wojenny. Uciekliśmy. Nie wiem, czy obito ci się o uszy, ale to zabronione.

– Oczywiście, że się obito!

– W takim razie wiesz też, jaka jest za to kara.

Dom nie odpowiada. Wszyscy milczymy. Dopiero po chwili

melduje:

– Coś leci.

Zerkam na Marianę, która szepcze pod nosem i kręci głową, może się modli, nie wiem, ale od jej zamkniętych powiek odrywa się jeszcze więcej kryształowych łez. Napiętą ręką mocno trzyma się pasa bezpieczeństwa.

– Wyprzedzisz ich? – pytam Ezrę, który wciska jeszcze parę przycisków, uruchamia coś pipczącego, ignoruje jeszcze dwa takie same wezwania, jak to pierwsze, a potem kręci głową.

– Tym? Nie ma mowy.

– Nawet jak przyspieszysz na maksa? – dopytuje Dom.

– Suarez... To już jest na maksa.

Dom i ja patrzymy na siebie w lusterku, a potem oboje odwracamy wzrok. Rozlega się kolejne wezwanie:

– Explorer 37, rozkazujemy wam natychmiast wrócić na Venturę. W przeciwnym razie wdrożymy Protokół Clarke'a i zostanieie potraktowani jak dezercerzy.

Dmucham właśnie w zatłkany palcami nos, żeby jakoś zneutralizować przeszywający ból w uszach, kiedy nagle doznaję olśnienia.

– Twoja matka – zwracam się do Ezry. – Ona wie, że tu jesteś?

– Chyba wie. – Wzdycha.

Kręcę głową.

– Nie, nie wie. – Nie odwraca się do mnie, tylko obserwuje na wstecznym podglądzie, jak bombowiec się do nas zbliża, rozświetlając srebrem panującą wokół czerń.

– Jestem pewien, że długo jej nie zajęło rozgryzienie tego. Wcześniej siedziałem przy niej. Musiałem się potłuc z jednym z jej przydupasów, żeby uciec po drodze na mszę. Sekundę przed odlotem rozmawiałem z Wieżą. Nie ukrywałem swojego położenia.

– Ale dlaczego miałyby pomyśleć, że przyszedłeś akurat tu? To ostatnie, co jej przyjdzie do głowy.

– Już jej przyszło! – krzyczy i robi się czerwony. – Ona dobrze wie, po prostu ma to gdzieś. Nie jestem wart choćby połowy jej kariery i reputacji. Najważniejsza jest misja. Matka taka jest. Zaryzykowałem.

Pomyślałem, że moja obecność nas uratuje. Myliłem się. Pomyliłem się, dobra? Przykro mi. – Krzywi się i na chwilę chowa twarz w dłoniach, ale zaraz sięga do ekranu kontrolnego i coś wciska. W efekcie rozlega się dziwny, nienaturalny głos:

– Sterowanie ręczne aktywowane.

Ezra wysuwa z deski rozdzielczej drążek.

– Co ty robisz? – pyta Dom.

– A jak myślisz?

– Nie mam pojęcia.

– Jak twoim zdaniem mamy uciec przed wahadłowcem wojennym na automatycznym pilocie i opcji lotu rejsowego? Przydad się do czegoś i zwiększ moc silnika. – Kiedy Dom ani drgnie, wskazuje gdzieś palcem i wrzeszczy: – tamten ekran!

Zapada cisza, w której słyhać tylko coraz głośniejsze zawodzenie niewielkiego silnika termojądrowego i dzwonienie komunikatora. Utwierdzam się w swojej teorii.

– Ezra, mówię ci. – Kręcę głową. – Ona nie wie. Trochę to potrwa, zanim się rozejdzie, ale odwoła pościg. Zobaczysz.

On znów zaprzecza, a Dom zerka na podgląd i ogłasza, że się zbliżają.

Wtedy Mariana rzuca się naprzód i wykrztusza do wygrzebanej skądś zamykanej strunowo torebki coś, co przybiera postać bladej kuli wymiocin. Kilka kleksów substancji wydostaje się z torebki i unosi się po całej kabinie, a ich woń uderza nas w nozdrza. Ociera usta rękawem kombinezonu i przepasza. Jest blada, a raczej bladozielona, pokryta potem. Drżącą ręką próbuje zamknąć torebkę. Dostajemy kolejne wezwanie.

– Młodszy Pilot Lomax, proszę o natychmiastowe zgłoszenie się. Odbiór.

To kapitan Kat, nie ma wątpliwości. Zapada cisza, a potem Ezra przyciska odpowiedni guzik.

– Tak, pani kapitan, tu Młodszy Pilot Lomax, odbiór.

– Nakazuję natychmiastowy powrót wahadłowca wraz z całą załogą na Venturę albo staniecie się podmiotem Protokołu Clarke’a i zostanieie potraktowani zgodnie z jego wytycznymi. Czy wyraziłam się

jasno? Odbiór.

Ezra nie patrzy na żadne z nas, ale ja go widzę w kabinowym lustrze. Prawie się uśmiecha.

– Bardzo jasno, pani kapitan, ale niestety w obecnej chwili nie jestem w stanie zawrócić wahadłowca wraz z załogą. Odbiór.

Następuje niekończąca się minuta, podczas której Dom i Ezra na siebie wrzeszczą w sprawie podwyższania mocy silnika i ustawienia skrzydeł, a ja obserwuję Marianę, która leży prawie nieprzytomna i się trzęsie.

– Ezro. – Początkowo kapitan Kat poprzestaje na tym jednym słowie, wypowiedzianym niskim głosem, ostro i zapewne tak samo jak milion razy wcześniej w dzieciństwie, kiedy przekroczył jakąś granicę. To ostrzeżenie. – Nie łudź się, że blefuję. Wiesz, że nie mam tego w zwyczaju. – Dopiero po chwili, po namyśle, pada sakramentalne: – Odbiór.

Uświadamiam sobie w tej chwili, że naprawdę mamy kłopoty i czuję, że do innych też to dotarło. Ale jedno wiemy na pewno, wszyscy, nawet Mariana, która nie ma siły otworzyć oczu: wybraliśmy się w podróż w jedną stronę. To było wiadomo od początku. Nie mamy dokąd wracać ani po co.

– Rozumiem, że bez sensu jest nadzieja, że raz przymkniesz oko i okażesz odrobinę wyrozumiałości, bo... No, nie wiem, na przykład dlatego, że jestem twoim synem? Odbiór.

W milczeniu, które następuje potem, wsłuchujemy się wszyscy, chociaż silnik ryczy, a Ezra mantruje pod nosem:

– Dalej, no dalej! – Przesuwa drążek maksymalnie do przodu i trudno powiedzieć, czy mówi do wahadłowca, czy do swojej matki.

– Nie rób tego, Ezro – odzywa się ona. – Proszę cię, nie zmuszaj mnie.

Widzę, jak na moment zaciska oczy, a potem je otwiera i rozgląda się, patrzy na każde z nas po kolei, a ponieważ żadne nie reaguje, wzdycha i informuje:

– My nie wrócimy, mamó. Reszta należy do ciebie. Odbiór.

Następuje kolejna długa chwila ciszy.

– Moim priorytetem jest Ventura, bez względu na to, co mi

podpowiada serce. Kocham cię, mam nadzieję, że o tym wiesz, ale pomyśl, gdzie byśmy teraz byli, gdyby nie tacy ludzie jak ja, przygotowani na zrobienie tego, co najlepsze dla misji, bez względu na wszystko. Nawet jeśli to tak potwornie boli. – Głos jej się załamuje. – Odbiór.

Wtedy wyrzuca nas z całej siły do przodu, a potem wpadamy w potworny wir, koziółkujemy w próżni, dziób–ogon, dziób–ogon, ja przez cały czas krzyczę, Dom i Ezra wrzeszczą, nie mam pojęcia, co się stało ani jak to się skończy, jeśli w ogóle.

– Walnęli w nas! – krzyczy Dom i zerka na podgląd zewnętrzny. – Rozwalili nam prawą burzę.

Rozlega się tyle alarmów naraz, że tworzą ścianę niezrozumiałych dźwięków i automatycznych głosów. Otwierają się luki bagażowe i ich zawartość fruwa wokół nas po kabinie. Przez cały czas mocno zagryzam wargi i czuję smak krwi. Patrzę na Marianę, jest blada, nie reaguje, wygląda jak kukła, nie człowiek. Tylko ręce i nogi dziwnie jej drgają.

– Mariana! – wrzeszczę i Dom na sekundę obraca się w fotelu.

– Sprawdź status, Suarez! – drze się Ezra, gdy przestajemy się obracać tak szybko jak na początku.

Dom mruży oczy i rozgląda się po ekranach.

– Kurczę... Nie wiem...

– Operacje, systemy główne, przeskanuj je teraz, zanim znowu w nas walną.

Wtedy z komunikatora rozlega się głos dziadka.

– Mówi Sherbakov, Szef Ochrony na Venturze. – Obaj się do mnie odwracają, a ja mocno zaciskam powieki, żeby wyprzeć ten głos, ale nadal go słyszę. – Mam zapewnić wam bezpieczny powrót na Venturę. Z kim rozmawiam? Odbiór.

Ezra się we mnie wpatruje i mówi do mikrofonu:

– Młodszy Pilot Ezra Lomax, odbiór.

– Czy to pan kieruje wahadłowcem? Odbiór.

– Potwierdzam. Odbiór.

– Proszę o dane drugiego pilota. Odbiór.

– Starszy szeregowy Domingo Suarez. Odbiór.

– Proszę o identyfikację członków załogi. Odbiór.

– Bosman Mariana Moreno i szeregowiec Seren Hemple. Odbiór.
Dziadek nie milknie ani na chwilę, co oznacza, że już wie.

– Proszę posłuchać bardzo uważnie. Moim priorytetem jest zapewnienie bezpiecznego powrotu statku i załogi na Venturę. Przeprowadzę pana krok po kroku przez całą procedurę. Proszę o podanie statusu statku.

W tym momencie Ezra traci cierpliwość.

– Między nami mówiąc, status statku nie jest najlepszy, proszę pana. Status jest taki, że oberwaliśmy w prawą burtę i zdaje się, że mamy w niej dziurę. Odbiór.

– Bezpieczeństwo zapewni wam wyłącznie jak najszybszy powrót na Venturę. Za moment rozpoczniemy wdrażanie procedur, proszę się nie rozłączać.

Ezra ustawia nas w najstabilniejszej pozycji od momentu uderzenia, a potem ściąga z głowy słuchawki i rzuca je Domowi.

– Niech ktoś inny się z nim buja.

Dom na mnie patrzy, ale kręcę głową.

– Seren, no dawaj. – Odwraca się i patrzy w okno, na gwiazdy. – Przecież wiesz, że jesteś jedyną nadzieją. Tylko ty możesz go namówić do zamiany decyzji.

– Nie widzę specjalnej nadziei na namówienie go na cokolwiek, naprawdę.

Ezra prawie kładzie się Domowi na kolanach, żeby wcisnąć jakąś kontrolkę po jego stronie.

– Na tym etapie „brak specjalnej nadziei” to i tak całkiem sporo – zauważa Ezra, a Dom daje mi słuchawki i nie spuszcza mnie z oczu.

Zamykam oczy i wkładam je.

– Rozłączamy się – mówię do mikrofonu. – Nic już razem nie dziaaliśmy, odbiór.

– Seren? Tu dziadek. – Nagle robi się to tak nieuchronne, że aż otwieram oczy.

Wtedy obrywamy po raz drugi. Wylatujemy gdzieś w kosmos, lecimy po przekątnej, wirujemy aż do totalnych mdłości, skręca nam bebechy, ścina wszelkie płyny w komórkach ciała, inicjuje kolejne trzy albo cztery alarmy migoczące na tablicy rozdzielczej i piszczące na cały

głos, a Dom i Ezra znów zaczynają krzyczeć.

– Przestańcie! – wrzeszczę do mikrofonu. – Dziadku, powstrzymaj ich. Puść nas, po prostu daj nam odlecieć. Co wam za różnica, czy nas zabijecie, czy puścicie?

– Wasz statek jest bardzo poważnie uszkodzony. Na tym etapie jedynym sposobem na utrzymanie załogi przy życiu jest powrót, nie rozumiesz tego? Muszę was sprowadzić z powrotem. Jeśli teraz odpuszczę, równie dobrze mógłbym was zabić. Proszę cię, Seren, nie chcę cię stracić. Wróć, coś wymyślimy. Znajdziemy wyjście. Odbiór.

Dziadek mnie nie widzi, ale i tak kręcę głową.

– Zrozum. Nie ma powrotu. I nigdy nie było.

– Nieprawda. Wróćcie bezpiecznie, a ja coś wymyślę. Odbiór.

Wciąż kręcę głową.

– Przepraszam, ale... Po prostu nie mogę. Przepraszam, dziadku. Już za późno.

– Nie jest za późno. Nigdy na nic nie jest za późno.

Wiem, że nie ma racji. Rozglądam się i myślę, jakby się to skończyło, gdybyśmy teraz zawrócili.

– Właśnie że jest. Teraz jest.

Ściągam słuchawki i chociaż cały czas go słyszemy, nie odpowiadam, nawet gdy przez jakiś czas mówi raz za razem:

– Seren? Seren? Porozmawiaj ze mną, proszę cię.

Ale ja słucham Doma i Ezry, którzy usiłują dociec, gdzie walnęli i jak fatalna jest nasza sytuacja. Dopiero po chwili zauważamy, że statek wojenny odlatuje. Potem cały wahadłowiec zaczyna się trząść i grzechotać, jakby miał się zaraz rozpaść.

– Explorer 37, wracajcie – mówi dziadek, ale ja nie odpowiadam. – Explorer 37, zgłoś się. Combat 55 dostał rozkaz odwrotu. – W tym momencie głos się urywa, słowa docierają do nas poszatkowane w akordy, to silniejsze, to zanikające. – Chcemy wam ułatwić powrót na Venture. Explorer 37, powtarzam: musicie natychmiast wrócić na Venture. Wasz wahadłowiec został poważnie uszkodzony. Explorer 37, zgłoś się. Słyszycie mnie? Explorer...

W tym momencie tracimy zasięg.

Rozdział 32

Pędzimy przed siebie, wciąż z maksymalną prędkością, jakby nas ktoś ścigał, choć wygląda na to, że pogoń się zakończyła. Dom i Ezra sprawdzają odczyty, a ja odpinam pas i ruszam do Mariany, ale wbrew mojej woli nogi unoszą mi się do sufitu i żeby się zniżyć, muszę chwycić jej pas, wiszę więc głową w dół, a raczej stoję na rękach, jest to strasznie dziwne i tak mnie mdli, że kładę jej głowę na piersi i zamykam oczy na tyle, na ile pozwolą. Czuję oddech, pierś wznosi się i opada, płytkie wydechy lekko rozwiewają mi włosy.

– Mariana! – wołam, ale nie reaguje. Wtedy na nią patrzę i widzę, że ma otwarte usta, a skórę wokół zamkniętych nieruchomych oczu siną.

– Wracaj tam! – wrzeszczy do mnie Ezra.

– Gdzie?

– Musisz zatkać dziurę. Jest mała, ale trzeba to zrobić szybko. Skrytka jeden pięć pięć jeden.

– Skrytka co?

Widzę w lusterku jego wściekle oczy.

– Tam jest zestaw do łatania dziur.

– Ale Ezra, ja...

Wtedy włącza się Dom:

– Zrobimy to razem. Na razie znajdź skrytkę.

Mrużę oczy i wpatruję się w kremową ścianę, a po chwili zauważam wgłębienia, za które można pociągnąć i wytłoczony pod każdym numerem. Chociaż wahadłowiec jest mały, z tej perspektywy wydaje się, że skrytek jest nieskończenie wiele, a mnie wszystko przytłacza. Łapię pierwszą z brzegu, przyciągam się do niej i odczytuję numer: 738. Z prawej na ukos jest 752. Stanowczo za niski; 1551 musi być po drugiej stronie. Przesuwam się tam, a przy okazji przetykam gorący, metaliczny płyn wypełniający mi usta, sygnał, że ostatkiem sił powstrzymuję się od wymiotów. 1169. Bliżej. Zaczepiona palcami o jakąś szafkę to się podnoszę, to spycham się w dół, odczytując kolejne numerki.

– Zasnęłaś? – zrzędzi Ezra.

– Daj jej spokój, szuka. My się zajmijmy trajektorią.

– A co ja do cholery twoim zdaniem robię? Chryste, Suarez, gdybyś się odzywał tylko, jak masz coś do powiedzenia, byłoby całkiem cicho.

Znajduję odpowiednią skrytkę, otwieram ją i już trzymam w rękach torebki z rolkami taśmy klejącej i dziwną metalową siateczką.

– Dobra, mam. Gdzie jest dziura?

Dom zerka na wyświetlacz.

– Tylna część, sektor piąty. Za panelem izolacyjnym, więc będziesz musiała go oderwać. Ciśnienie nam spada, trzeba to zrobić szybko.

– Masz kilka minut! – krzyczy Ezra, jakby uważał, że mi tym pomoże.

– Idę! – Przedostaję się do tylnej części wahadłowca, przy włączu, i usiłuję wpasować palce w ciasne szczeliny między panelami.

– Ostrożnie – upomina mnie Dom. – Jak zdejmiesz panel, poczujesz silne ssanie.

– Czy możesz patrzeć na swój wyświetlacz? Jeśli na manualu spadnie moc, wsteczne silniki rakietowe sterujące osłabną i znowu zaczniemy się kręcić – cedzi Ezra przez zęby.

– Próbuję jej pomóc.

– Wszyscy tu potrzebują pomocy. Pilnuj swojej roboty.

Zauważam jednak, że Dom nadal zerka na mnie w lusterku.

– Dobrze – chwali. – Znalazłaś. Przygotuj się na ssanie. Nie daj się wciągnąć. Naszykuj wszystko i od razu zakryj dziurę.

– Tą siateczką? – pytam i jednocześnie czuję, jak zaczynam się trząść ze strachu. Cała, łącznie z rękami.

– Ta „siateczka” to wysoko rozciągliwy tytan – parska Ezra. – Taśma to wzmocnione płynne włókno szklane. Wyjmij je i dobrze ustaw. Oddziela nas od próżni. Możesz zaczynać albo pogadajmy jeszcze przez parę minut, aż wszyscy stracimy przytomność. Decyduj.

Wyciągam wszystko z torebek, chociaż trzęsę się już tak, że szczękam zębami. Staram się jak najwolniej wdychać powietrze, a potem spokojnie wypuścić. Dam radę. Rozkładam płachtę siateczkowego metalu i przez chwilę nią manipuluję. Potem jeden koniec przytrzymuję

kolanem, a drugi zębami i zaczynam manipulować przy panelu.

– Nie mogę oderwać – informuję ich po kilku sekundach. Czuję, że na miejscu przytrzymuje go ssanie i kiedy się skupię, dociera do mnie, że ani trochę nie wierzę w sukces. Moim przeciwnikiem jest kosmos, jakim cudem miałabym z nim wygrać?

– Możesz – uspokaja mnie Dom. – Te panele mają strukturę plastra miodu. Ssanie oddziałuje tylko na mały fragment powierzchni. Ciągnij.

Więc ciągnę i panel odpuszcza zupełnie niespodziewanie. Odskakuje w moją stronę, a po drodze rozcina mi nogę, czego nie zauważam, bo w tej chwili błyskawicznie lecę do przodu, na lśniąca ścianę z pozostałych paneli. Ratuję się przed rozbiciem na nich twarzy tylko dlatego, że asekuruję się rękami i z całej siły odpycham od metalowej ściany.

– Nic nie widzę! – krzyczę, ale rozszalałe alarmy zagłuszają wszystko, także mój głos. – Nie ma dziury! – Wahadłowiec znów zaczyna się trząść, wszystko grzechocze, łącznie z moim mózgiem we wnętrzu czaszki i nie mogę na niczym skupić wzroku. Ezra coś woła, ale nie rozumiem. – Co? – krzyczę, ale równie dobrze mogłabym tylko poruszać ustami. – Co?! – powtarzam i patrzę w ich stronę. Wtedy widzę, że wskazuje na ekran po swojej prawej. Przesuwa palcami po wyświetlaczu i pokazuje się zielony kontur wyznaczający miejsce, które mam przed sobą. W lewym górnym rogu miga czerwony znak X. To mapa. Pod iksem jest dziura. Nagle podskakujemy tak mocno, że z trudem zostaję na miejscu, ale odwracam się z powrotem do ściany pod panelem i wtedy to dostrzegam: nie dziurę, tylko pęknięcie, syczące i przyciągające mnie do siebie tak mocno, że prawie się poddaję. Wyobrażam sobie, że mnie wysysa jak napój mleczny przez słomkę, rozdartą na miliony kawałeczków.

– Widzę! – krzyczę, a w tej samej chwili Dom popycha w moją stronę coś, co się obraca w powietrzu, a potem uderza mnie w ramię. Maski tlenowa. Miałam taką na sobie tysiące razy w czasie ćwiczeń na Venturze. Wkładam ją, ścieśniam pasek i włączam mikrofon.

– Mariana – mówię tylko, ale Dom już odpiął pasy i przytrzymując się sufitu, wkłada maskę jej. A przy okazji kopie Ezrę w bok głowy.

– Chryste, Suarez, zwariowałaś? – słyszę jego ryk w słuchawce.

Dom wraca na miejsce i wkłada swoją maskę.

– Co miałem zrobić? Zostawić ją, żeby umarła?

– Wszyscy umrzemy, jak nie zajmiesz się tymi chrzanionymi silnikami!

Przykładam siateczkę w rogu panelu, a ssanie utrzymuje ją na miejscu. Potem szamoczę się z rolką taśmy i rozwijam ją na odpowiednią długość, żeby przykleić siatkę na ukos, ale potem nie mogę jej przerwać.

– Jak to się przecina?

– Sprawdź spis sprzętu. Przecinak do metalu – poleca Domowi Ezra.

– Dlaczego nie są w komplecie? – krzyczę i czuję, jak w ciągu sekundy narasta we mnie panika.

Dom sprawdza coś na wyświetlaczu, a potem informuje:

– Sześćset czterdzieści. – Wskazuje na oparcie Ezry. – Tutaj.

Nurkuję naprzód i z całym impetem ląduję na fotelu, walę w coś łokciem i wplątuję się w bezwładne nogi Mariany.

– Ile?

– Sześćset czterdzieści. – Zerka na mnie przez ramię i chociaż widzę zza maski tylko jego oczy, wystarczy, żebym poczuła się lepiej. – W porządku? – dopytuje, a ja kiwam głową, przełykam ślinę, odsuwam nogę Mariany i otwieram skrytkę. Przecinaki są przypięte do tyłu drzwiczek.

Obklejam całą łatę, chociaż przecięcie taśmy pożera resztki sił, jakie mi zostały i sama nie wiem, jakim cudem to robię, zważywszy, że cała się trzęsę, a maska prawie wszystko mi zasłania. Na dodatek jestem umazana czarną mazią o konsystencji masła orzechowego, która skleja mi palce i nie chce puścić.

– Skończyłam – donoszę w końcu, a kilka rozdartych alarmów się ucisza, zostają jeszcze dwa czy trzy i czerwone światła nad przednią szybą, rozbłyskujące co kilka sekund.

– Dobra robota – chwali mnie Dom. – Teraz załóż z powrotem panel i wracaj na fotel.

Dopiero kiedy umieszczam panel na miejscu, zauważam swoją nogę i rozlewającą się czerwoną plamę w pobliżu puszczeli. Krople krwi

unoszą się w powietrzu, a jedna odrywa się od kombinezonu, uderza w drzwi jednej ze skrytek i rozpryskuje się w kałużę o konsystencji galaretki.

– Posłuchajcie – zagajam. – To nic takiego, ale sprawdźcie, gdzie jest apteczka.

Obaj wytrzeszczają oczy i patrzą na mnie we wstecznym lusterku, a Dom dopytuje, co się stało.

– Nic, wszystko w porządku, zraniłam się tylko w nogę. Ale to nic strasznego, tylko że się paprze, więc chyba powinnam opatrzyć ranę. Nic poza tym.

– Pod twoim siedzeniem – wskazuje Ezra.

Wciskam się między mój a jego fotel i wydobywam apteczkę, a Dom chwyta mnie za rękę i ciągnie do siebie, tak że plecami walę w przednią szybę. Łapie mnie za rękę, sadza sobie na kolanach i unieruchamia w ramionach.

– Pokaż gdzie – poleca, ale nie patrzy na mnie, bo jest wpatrzony w ekrany. Obijamy się o siebie maskami. – No, pokaż.

Nie jest łatwo, bo siedzę wciśnięta między niego a panel sterowania, a on cały czas stara się utrzymać moc wyjściową na wyświetlaczu po lewej stronie i kierunek silników po prawej. Po zerknięciu na moją nogę, którą udało mi się wydobyć z kombinezonu, orzeka jednak:

– Dość głęboka. – Następnie kiwa głową w stronę ekranu po lewej. – Zajmij się tym chwilę. Przesuwaj w górę albo w dół, żeby było zawsze zielone. – Trochę panikuję, ale on już sięga po wybebeszoną do połowy apteczkę i wyciąga opatrunek, który przykłada do mojej pizczeli i ustawia w prawidłowej pozycji. – Nic ci nie będzie – szepcze bardziej chyba do siebie niż do mnie. Patrzymy sobie przez sekundę w oczy, a potem wraca do ekranów. – Już jestem, dzięki. Odpocznij chwilę. Dzielnie się spisałaś. – To cały Dom, zawsze gotowy, żeby mnie ratować. Uśmiecham się, opadam na jego pierś i leżę tak przez dłuższą chwilę, wczuwając się w ruchy jego ciała, w adrenalinę płynącą pod jego skórą i pod moją, a potem zauważam, że wbija mi łokieć w biodro na tyle mocno, że powinno boleć, ale nie boli.

Po jakimś czasie robi się spokojniej.

– Jak nam idzie? – pytam.

Słyszę w słuchawkach śmiech Ezry.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Skanowanie układów jeszcze się nie skończyło – syczy Dom i niemal czuję jego wściekłe spojrzenie, które ponad moją głowę posyła Ezrze.

– Nie musi, jeśli się ma do dyspozycji taki oto śliczny obrazek. – Przed oczami pojawia mi się jego ręka i wskazuje na ekran na wysokości biodra Doma. To obraz z wstecznej kamery. Widać odcinające się na czarnym tle kosmosu białe linie wyznaczające naszą trajektorię.

– Co to? – Przełykam z trudem ślinę.

– To, moja droga, zmiażdżone na proch resztki naszej części ogonowej, a do tego, zdaje mi się, większość płynu chłodzącego z osłony termicznej. – Brzmi, jakby był bardzo uradowany i wtedy do mnie dociera, że tak się u niego objawia panika.

– Skanowanie układów jeszcze się nie zakończyło – powtarza Dom stanowczo. Tak samo też patrzy. Potem przełącza kilka suwaków. – Da się jakoś wyłączyć te alarmy?

– Co ty. – Śmieje się Ezra. – Takie są uroki latania prawie rozwaloną maszyną. Robi się straszny hałas.

Dom zerka na mnie.

– A u ciebie w porządku?

Poprzez obie maski widzę tylko jego uśmiechnięte oczy i kiwam głową.

– Skan się skończył – informuje Ezra. – Punkt dla mnie. Mamy przesrane.

– Czy to termin techniczny? – pyta Dom.

– Chcecie najpierw dobre wieści czy złe?

Dom mówi, że dobre, a równocześnie, że złe.

– No więc dobra jest taka – Ezra ściąga maskę i głos słabnie, dobiega jakby z daleka – że ciśnienie w kabinie się od biedy ustabilizowało. Chwilowo.

– A zła? – Też zdejmuję maskę i obserwuję, jak Dom robi to samo. Na policzkach ma czerwone ślady.

– Od czego by tu zacząć... – Ezra analizuje wykresy i rzędy liter, a

potem się przechyla i dotyka wyświetlacza po stronie Doma.

– Powiedz to, co najważniejsze – proponuje Dom, a ja przechylam się nad oparciem i zdejmuję maskę Marianie, a przy okazji odgarniam jej włosy z twarzy.

– No więc, reasumując, straciliśmy prawą tylną część statku i tylne klapy na skrzydłach, system ogrzewania kabiny jest rozwalony i dziwię się, że w ogóle jeszcze działa, a jeden z systemów filtracji tlenu też poszedł się paść. Biorąc pod uwagę zniszczenia, wykorzystaliśmy już swoją jedną do miliona szansę, że w ogóle jeszcze żyjemy.

Słyszymy jęk Mariany, która zmienia pozycję w fotelu i nie otwierając oczu, przechyla się do przodu.

– Nie podoba mi się to wszystko – mówi cicho.

– Mnie też nie. – Śmieje się Ezra.

Dom pyta Marianę, czy wszystko w porządku, a ona kiwa głową i próbuje się uśmiechnąć, tylko że jej nie wychodzi.

Po chwili ciszy Ezra dodaje:

– Ale nie jest aż tak totalnie źle. Wejście w płaski korkociąg nieźle nam zrobiło. Nic nie napędza takiego eksplorera jak nasz równie dobrze jak wyjście spod kontroli silników. Poza tym bez obciążenia częściami, które straciliśmy, możemy nawet podwoić prędkość. Szkoda tylko, że jak już dotrzemy, będziemy martwi. To nam z lekka krzyżuje plany.

– Jeszcze jeden żart i dopilnuję, że będzie ostatni w twoim życiu – ostrzega Dom i kręci głową.

– Spoko, pewnie i tak będzie. Znajdź sobie jakiś inny cel pogrózek.

– To nie pogróżka, tylko obietnica.

– W takim razie baw się dobrze przez ostatnie pięć minut swojego życia bez jedynej osoby, która wie, jak ten cały szajs działa.

– Dobrze, już dobrze – wtrącam się i biorę Doma za rękę, żeby go uspokoić. – Jaka jest konkluzja?

– Taka... – Gdy zaczyna mówić, odwracam się, żeby patrzeć na niego przez ramię. – Widzę marne szanse na dotarcie do Huxley-3, która, jeśli wierzyć nawigacji, znajduje się dwadzieścia trzy godziny lotu stąd, ale nawet jeśli jakimś cudem nam się uda, ja i tak nigdy nie wchodziłem na orbitę ani w pole grawitacyjne poza ćwiczeniami, więc oceniam swoje szanse powodzenia na jakieś dwadzieścia procent.

Dom przełyka ślinę.

– Dwadzieścia procent?

– Oczywiście, gdyby statek był w pełni sprawny. Natomiast przy takich uszkodzeniach spadają do... – Zastanawia się, a my czekamy na werdykt przez całą wieczność, jak nam się wydaje. – Jakichś trzech do pięciu – orzeka w końcu.

– Procent? – dopytuję.

Kiwa głową.

– Mniej więcej.

Dom na mnie patrzy i dotyka palcem mojej dolnej wargi, potem spogląda w bok i gdzieś na dół, a ponieważ widzę w nim przez chwilę strach i zwątpienie, czuję, że zaraz doznam tego samego, coś ze mnie ucieka, powodując zawroty głowy. Spomiędzy włosów, na wysokości ucha, spływa mu kropla potu, ręka, którą obejmuje moją brodę, drży, ale potem kiwa głową, znów na mnie patrzy i stwierdza zdecydowanie:

– Damy radę.

– Skoro chcesz się łudzić... W każdym razie, jeśli jednak nie damy, będzie to wina Hemple. Mogę się mylić, ale jak ostatnio sprawdzałem w podręczniku, siedzenie na siłowniku hydraulicznym nie było zalecane.

Gramolę się z powrotem na swoje siedzenie, ale na chwilę jeszcze odrywam dłoń Doma od swojego policzka, a potem rozchylonymi wargami całuję jej wnętrze. On ciągnie mnie z powrotem, znajduje moje usta i zaczynamy od razu najintymniejszą część pocałunku, kiedy wszystko wokół znika i zostaje tylko słodycz. Kładę mu rękę na szyi, wsuwam palce w wilgotne włosy i mam wrażenie, że on mnie do siebie przyciąga, jakby miał pole grawitacyjne. W sumie przecież ma. Dla mnie miał zawsze. W końcu zbieram się w sobie, odsuwam się i wracam do tyłu, ale jest to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłam.

Dopiero kiedy już siedzę zapięta w swoim fotelu, dostrzegam, że Ezra mnie obserwuje w lusterku, ale kiedy go zauważam, odwraca wzrok.

Rozdział 33

Oto jak się korzysta z toalety na Explorerze. Zamykacie się w maleńkiej kanciapce wielkości skrytki w przechowalni, gdzie mieści się tylko jedna osoba, do tego stojąc. A potem miotacie się wśród gumowych lejków i rurek. Nie ma w tym nic przyjemnego ani prostego, a wręcz wydaje się totalnie niemożliwe, gdy się to robi pierwszy raz.

Ja spędzam tam jeszcze kilka nadprogramowych minut, trzymam się sufitu, przyglądam się sobie w małym kwadratowym lusterku przyczepionym do drzwi i próbuję dociec, co tak naprawdę myślę, pilnując, żeby nie spytać o to na głos. Potem zerkam na swoje ciało, upchnięte w tej ciasnej przestrzeni, która nagle zaczyna przypominać trumnę i prawie krzyczę, bo człowiek w zasadzie nie wie, czy już jest martwy, czy umrze dopiero za chwilę.

Po powrocie do kabiny okazuje się, że wszystkie osie są poprzesuwane. Przy zerowej grawitacji trzeba się cały czas czegoś trzymać, więc toaleta jest za drzwiami w podłodze. W środku wydaje się człowiekowi, że stoi, ale tak naprawdę leży na dnie wahadłowca, więc kiedy wychodzi, musi na nowo orientować się, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Trzymam się oparcia swojego fotela, kiedy odwraca się do mnie Mariana.

– W porządku? – pyta całkiem głośno. Kiwam głową.

– Tak – dodaję, ale teraz mój głos jest ledwie słyszalny.

– Też muszę. – Rozpina pas i pomagam jej trzymać się ścian po drodze do toalety.

Wracając, łapię się oparcia fotela Doma w samą porę, żeby zobaczyć, jak ziewa tak głęboko, że aż drży. Na mój widok wyciąga rękę, a ja obserwuję na jego twarzy taniec światła z ekranów.

– Zostaw mi to na chwilę i idź się przespać.

Kręci głową.

– Nie, dam radę. Zresztą, nie wiem, czybym zasnął w towarzystwie tego. – Macha ręką w stronę czerwonego stroboskopowego światła, które ani na chwilę nie zgasło, chociaż prawie wszystkie pozostałe alarmy się

uspokoili.

– Myślę, że Dom powinien się przespać – informuję Ezrę, który na chwilę odwraca do mnie głowę.

– Jasne, może wszyscy zrobimy sobie małą sjęstę, przecież wszystko jest pod kontrolą. – Jego głos aż ocieka sarkazmem.

– Zastąpię go – przekonuję.

Po chwili zastanowienia rzuca:

– Idź się przespać, Suarez. – Nawet nie odwraca wzroku od ekranu, w który się wpatruje.

Dom patrzy na niego, potem na mnie i znowu ziewa, chociaż wiem, jak bardzo się stara opanować.

– No dobra, słuchaj. – Mruga przez chwilę i rozgląda się po kolorowej desce rozdzielczej pełnej potencjometrów i dotykowych suwaków. – Ten służy do...

– Ja jej wytłumaczę – przerywa Ezra. – Idź.

Dom trochę się krzywi, ale odpina pas, wlatuje do sufitu, całuje mnie, wisząc do góry nogami, a potem się przesuwają do tyłu.

Siadam na jego miejscu, zapinam pas, rozglądam się i stwierdzam, że kompletnie nic nie pamiętam z Podstaw Latania. Ponieważ jednak ekran systemowy mam przed nosem, zerkam na niego i przyglądam się wskaźnikowi poziomu tlenu, paliwa, wspomaganie życia i prędkości. Potem wyglądam przez przednią szybę i widzę Huxley-3, aktualnie wielkości piłki nożnej. Jest niebieska taką niebieskością, jaka pojawia się tylko w snach. Wypełnia mnie uczucie, które muszę w sobie stłumić, bo inaczej rozpadnę się na kawałki.

Patrzę na wszelki wypadek na Ezrę, który zajada batonik proteinowy, kontroluje system nawigacyjny, a drążek trzyma jedną ręką.

– Wszystko u ciebie w porządku? – pytam.

– Czy ja wiem. – Wzrusza ramionami. – Bywało lepiej, ale biorąc pod uwagę okoliczności...

Uśmiecham się.

– Co się w zasadzie stało?

– Kiedy?

– Tam, na Venturze?

– W sumie nic takiego – wzdycha. – Szedłem na wieczorną mszę, z

nią, ktoś zadzwonił i chodziło o ciebie, a może nie, może to było coś kompletnie innego, ale w każdym razie powiedziała, że musi iść, ja próbowałem ją zatrzymać, ale i tak zrobiła swoje. Chyba wiedziała, co mi chodzi po głowie, bo kazała swojemu strażnikowi mnie pilnować, ale... jakoś uciekłem. No i jestem.

Wzdrygam się nagle, bo plastikowe obicie fotela, na którym siedzę, robi się lodowate. Ezra sięga do tyłu po kurtkę i popycha w powietrzu, żeby popłynęła w moją stronę. Przyglądamy się oboje, jak się powoli rozprostowuje w powietrzu, a gdy do mnie dociera, owijam nią nogi.

– Boże, co my w ogóle robimy? – pytam i kręcę głową.

– Chyba żartujesz! – Śmieje się. – Jeśli ty nie wiesz, kto ma wiedzieć? Przecież tak desperacko chciałaś ode mnie uciec, że byłaś gotowa zaryzykować w tej intencji życie. Co swoją drogą zemściło się na tobie, bo teraz jestem jedną z trzech osób, które będziesz widywać do końca życia.

Siedzimy chwilę cicho.

– Nie od ciebie chciałam uciec. Powiedz, że wiesz.

Ale on szybko podnosi rękę i przerywa.

– Zamierzasz się do czegoś przydać czy będziesz cały czas gadać?

Wszystko mi wyjaśnia, wskazując na poszczególne ekrany, mówi o maksymalnej prędkości, sygnalizacji uszkodzeń i innych rzeczach, których zupełnie nie rozumiem, ale nagle coś mi przychodzi do głowy:

– Daj mi poprowadzić.

– Tobie?

– A czemu nie?

Przygląda mi się przez moment, a potem mówi:

– Dobra, sama chciałaś. Chodź tu.

Wstaję, wdrapuję mu się na kolana, przejmuję z jego rąk drążek, a on się spode mnie wysuwa.

Natychmiast zza przedniej szyby znika mi Huxley-3 i czuję, że spadamy.

– Jezu! – krzyczę. – Ratunku!

Ale on się tylko uśmiecha.

– Mówiłaś, że chcesz prowadzić. Wyprostuj statek. Teraz ty masz moc. Podciągnij nas. Myśl dyferencjalnie.

Chociaż to kompletnie nic dla mnie nie znaczy, podciągam stery i kołyszę nimi to w jedną, to w drugą stronę, a kiedy nic nie pomaga, Ezra wyciąga w końcu rękę i kładzie dłoń na mojej.

– O tak, widzisz? I wystarczy. – Przyciąga drążek do mnie, wręcz wkłada mi go między kolana i przechyla lekko na prawo. – O tak. – Słyszę jego głos w uchu. – Musisz utrzymać nas w tej pozycji. Poczujesz szarpanie, zawsze w prawą stronę, dlatego że nie mamy połowy ogona. Tak się będzie działo i nic nie poradzimy, więc musisz to wziąć pod uwagę. Powoli i spokojnie.

Huxley-3 znów się pojawia, najpierw trochę się kołysze, ale potem zamiera na samym środku szyby. Wygląda, jakby Ezra ją tam zawiesił.

– Chyba już wiem. – Lekko trącam go łokciem w bok, więc wraca na swoje miejsce, mierzwi włosy i sprawdza jakieś dane na ekranach.

Robi mi się przykro.

– Ezra, posłuchaj...

Przerywa mi jednak kolejny alarm, tak głośny, że prawie krzyczę.

– Co zepsułam? – dopytuję, ale on kręci głową i odczytuje rozmigotane wiadomości wyświetlające się na ekranach systemowych.

– Nie ty. – Trochę odgarnia włosy. – To ogrzewanie.

– Co z nim?

Uśmiecha się.

– Nic, po prostu przestało działać. Zrobi się naprawdę cholernie zimno. – Po chwili dodaje: – Chyba będziesz mi jednak musiała oddać kurtkę.

Patrzę w lusterku na Doma, który śpi w moim fotelu. Mariana chyba cały czas ogarnia toaletę.

– Mamy coś ciepłego?

Ezra wciska kilka przycisków na ekranie informacyjnym.

– Są jakieś koce. – Kręci głową, potem mówi jeszcze: – Zapasowe mundury, nie wiem, ale w którymś momencie... – Patrzy na mnie i nie przestaje kręcić głową. Światło z jego konsoli podświetla od dołu jego twarz i wygląda zupełnie inaczej niż zwykle.

– Co w którymś momencie?

Uśmiecha się jak to on, bez śladu wesołości.

– W którymś momencie będziemy musieli zacząć się z tym godzić.

– Z czym?

Otwiera szerzej oczy.

– Że nam się nie uda. Po prostu nie ma cudów. Wszystko jest przeciwko nam. Za dużo tego.

– Ja... – zaczynam od razu, ale szybko milknę, bo tak naprawdę nie wiem, co powiedzieć. – Nie chcę. Nie pogodzę się. A nawet gdyby, jak by to miało wyglądać w praktyce? Chcesz otworzyć śluzy i mieć to za sobą?

– Chodzi mi tylko o to, że kończą nam się możliwości. Możemy wychodzić z siebie w każdej minucie, ale przyjdzie taki moment, że nic się już nie da zrobić, bo zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Nie dolecimy na Huxley-3 i już. Zostało nam jeszcze co najmniej siedemnaście godzin lotu. Jeśli masz jakieś niedokończone sprawy, to się do nich zabierz.

– Nie! – krzyczę, a on aż podskakuje. – Nie pogodzę się z tym. Po prostu.

– Dobrze. Nie gódź się. Ale mnie przed tym nie powstrzymuj.

– Ja tego nie zrobię – powtarzam, tym razem ciszej. – Nie i już.

– W porządku. – Kiwa głową i wraca do ekranów systemowych.

Ciszę wypełnia alarm, pulsujący odgłos podobny do tych wydawanych przez łodzie podwodne na starych filmach. Próbuję myśleć o sterowaniu statkiem, ale tak naprawdę zastanawiam się nad czymś innym.

– Dobra – mówię w końcu. – Mam niedokończoną sprawę. Chcę cię o coś spytać.

Wzdycha, ziewa, ale mówi:

– Dawaj.

– Czemu to zrobiłeś? Dlaczego zaryzykowałeś dla nas wszystko, nawet życie?

Wzrusza ramionami, drapie się po głowie i wygląda, jakby sam się temu dziwił.

– Nie było siły, żeby wam się udało beze mnie. Suarez miał dobre chęci, ale nie jest pilotem. Chyba po prostu nie chciałem żyć ze świadomością, że zginęliście z mojej winy. Jakoś tak... Mieliśmy być razem, znałem cię od zawsze i nieważne, czy ci się to podoba, jesteś

częścią mnie.

Odwracam wzrok i patrzę na gwiazdy unoszące się za przednią szybą, choć tak naprawdę ich nie widzę, kiwam powoli głową, mrugam i przystosowuję się do świata, w którym Ezra mówi w ten sposób.

– Kurczę, dzięki – stwierdzam w końcu i jak tylko wypowiadam te słowa, słyszę, jak żałośnie zabrzmiały.

Siedzimy dalej w milczeniu, on coś przestawia na ekranach. Potem moje oparcie nagle się ugina, bo opiera się na nim Mariana po drodze do swojego fotela.

– Co to za hałas? – pyta i przechyla się do przodu, wtykając głowę między nas.

– Ogrzewanie się zrębało – informuje ją Ezra.

– Możemy coś zrobić?

– Co na przykład? – pytam.

– Nie wiem, ale w pracy nauczyłam się trochę o tych systemach. Jeśli się do nich dostanę, mogłabym zerknąć.

– Dostęp jest tylko od zewnątrz – gasi ją Ezra.

– Czyli już po nas.

Znajduje szafkę, w której są koce. Te same śpiwory ze srebrnego materiału, które mieliśmy na Venturze: można je zwinąć w mały wałek, ale jak się je rozwinie, pęcznieją. Patrzę, jak jednym z nich otula Doma, a dwa popycha do nas. Już czuć zimno, gorsze niż to, z którym się zmagaliśmy całe życie.

Podciągam śpiwór do pasa i czuję względne ciepło, ale powagę sytuacji odczuwam na skórze twarzy i dłoniach zaciśniętych na drążku. Widzę lód pojawiający się w rogach szyby. Do kabiny wpada pomarańczowe światło emitowane przez Huxley i aż trudno uwierzyć, że ono nie wystarczy.

Zauważam, że drzemię za sterami, dopiero gdy wyrywa mnie z drzemki kolejny alarm. Patrzę na Ezrę, ale jest całkiem nieobecny, leży na boku, odwrócony ode mnie. Wołam, ale nie mogę z siebie wydobyć głosu. Widzę za to, że za mną porusza się Dom, zrzuca z siebie koc, który dryfuje na tyły kabiny, przesuwa się do przodu, między siedzeniami i sprawdza alarm na ekranach systemowych. Kiedy oddycha, z jego ust unosi się kłęb pary.

– *Madre de Dios*. – Obejmuje się ramionami i zaczyna się trząść.

– Ogrzewanie wysiadło – wyjaśniam, on rozgląda się po ekranach, a ja dodaję: – Kiedy spałeś.

Nachyla się nad kolanem Ezry, żeby odczytać czerwone litery migające na jednym z wyświetlaczy.

– Ostrzeżenie w sprawie filtra powietrza – przekazuje, szczękając zębami.

– Czyli co?

– Jesteśmy trochę rozhermetyzowani, więc zwariował.

Przełykam ślinę.

– To coś poważnego? – On kręci głową i zmusza się do uśmiechu. Jest równie nieprzekonany jak ja. Kładzie mi rękę na czole i całuje mnie w brew.

– Nie wiedziałem, że umiesz sterować wahadłowcem.

Włącza jakoś muzykę, więc słuchamy piosenek, które często leciały na Venturze. Walczę ze sobą, żeby to znieść, ale najchętniej kazałabym mu wyłączyć. Jakiś czas spędzam na zastanawianiu się, jakim cudem coś, co jeszcze kilka godzin temu było moją codziennością, teraz wydaje się przeszłością sprzed miliona lat.

– Nie wziąłem gitary – przypomina sobie Dom. Wisi na oparciu mojego fotela i patrzy mi w oczy w lusterku. Policzek wtula w moje włosy.

– Kurczę. – Nie wiem, co powiedzieć, żeby wyrazić, jak strasznie żałuję.

On też robi smutną minę, ale potem się opamiętuje.

– Przecież mam tu wszystko, czego kiedykolwiek chciałem, *estrellita*, więc uszy do góry. – Całuje mnie w ucho i ogrzewa je oddechem.

Kiedy budzi Ezrę, żeby go zmusić do zamienienia się z nim miejscami, ten się broni.

– Wcale nie spałem – powtarza.

– Tak, jasne. – Śmieje się Dom.

– Słuchaj, Suarez, gdybym zostawił ten statek tobie i Hemple, już dawno byśmy nie żyli.

– A jednak jakoś przeżyliśmy. Kiedy spałeś.

– Nie spałem!

W końcu zgadza się przenieść do tyłu, gdzie zaczyna się kłócić z Marianą i marudzi, że to jakiś absurd, żeby po dwóch latach pracy w Konserwacji nie umiała naprawić któregoś z zepsutych systemów.

– Przecież to ty mówiłeś, że dostęp jest z zewnątrz! Żeby się do nich dostać, musiałabym zacząć rozbierać ten statek od środka! – wrzeszczy Mariana.

– No to rozbieraj! – odwrzaskuje.

Tym sposobem ściągają ze ścian większość bocznych paneli, nie mając oczywiście żadnego sensownego planu. Wahadłowiec, który przez osiemdziesiąt ileś lat stał zaparkowany na dnie Ventury, jest pokryty gęstym kurzem, który wkrótce przenosi się na ich dłonie i twarze, a wezbrane kłęby unoszą się w powietrzu, czarne i wszechobecne. Przez cały czas kłócą się zaciekle, aktywują kolejne alarmy, przeżywają sekundy triumfu, by zaraz potem stwierdzić, że to nie ma sensu. Na tym etapie wahadłowiec jest już w dużej mierze poszatkowany i system główny nie działa, ale kiedy Dom uznaje, że powinni dać spokój, zanim zepsują nawigację albo autopilota, wpadają oboje w furię i kończy się na tym, że to on składa panele z powrotem do kupy. Ezra i Mariana przejmują stery, a ja przesuвам się na tył i podaję parskającemu i kichającemu od kurzu Domowi odpowiednie narzędzia. Oni tymczasem dyskutują, jak pilotować statek, w którym połowa systemów nie działa. Po jakimś czasie Dom podsumowuje:

– Nawet jeśli to nie ma sensu, przy pracy robi się człowiekowi ciepło.

Wtedy komputery odżywają i zaczyna piszczeć kolejny alarm.

Filtr powietrza przestał działać.

Rozdział 34

No tak. – Ezra ziewa. – Filtr powietrza się wysypał. Podejrzywałem, że tak się skończy.

– I co teraz? – pytam.

– No więc – zaczyna Ezra – o ile mnie pamięć nie zawodzi, procedury bezpieczeństwa nakazują nam założyć maski.

– Jaki mamy zapas powietrza?

Wzrusza ramionami.

– Może na osiem godzin.

Dom próbuje otrzeć z twarzy warstwę czarnego kurzu, ale tylko ją rozmazuje.

– Czyli musimy najdłużej jak się da wytrzymać bez masek – podsumowuje.

– Pilnując, żeby nie urwał nam się film – mruczy Mariana.

Ezra się śmieje.

– No tak, pod koniec nie będzie fajnie.

Wszyscy przez jakiś czas milczymy, usiłując zrozumieć to, czego zrozumieć się nie da.

Siedzę na fotelu w drugim rzędzie i przez minutę przesuwam tam i z powrotem palcem po wardze, a potem mówię:

– Moim zdaniem wystarczy po prostu oszczędzać energię. Musimy się wyciszyć, oddychać spokojnie, powoli i wszystko będzie dobrze. – Widzę, że Dom patrzy na mnie z uśmiechem, więc pytam: – No co?

– Nic – odpowiada, ale dalej się uśmiecha.

– Ile godzin zostało do Huxley-3? – pytam teraz Ezrę, a on zerka na ekran nawigacyjny i odpowiada, że jedenaście. Byłam przekonana, że mniej, bo wydaje mi się, że lecimy już od wieków, ale nic nie mówię. Tłumaczę tylko kolejną moją koncepcję: – Słuchajcie, to tylko tyle, co jedna długa noc. Z którą nie wiadomo, co zrobić. Ale trzeba dotrwać do końca każdej minuty, powiedzieć sobie, że nadal się tu jest i rozpocząć kolejną.

Dom kładzie sobie moją dłoń na ramieniu, a potem się nachyla i ją całuje.

Nie wiem, kiedy zasypiam. Wiem tylko, że kiedy się budzę, mam nieprzyjemnie ścierpnięte nogi, a w ustach tak mi wyschło, że nie mogę przełknąć śliny. Poza tym rozlega się jakiś nowy sygnał. Trzy niskie dźwięki brzmiące jak klakson, potem przerwa, a potem znowu trzy klaksony. Podnoszę głowę, w której coś pulsuje i widzę, że Dom patrzy na mnie z przedniego siedzenia.

– Zakładaj – mówi. Ma szeroko otwarte oczy i macha do mnie maską. – Poziom tlenu jest za niski.

Naciągam paski z tyłu głowy, Ezra podgłaśnia muzykę, która już i tak jest głośna, ale nie ma słów, tylko wzbierające dźwięki, prowokujące do spojrzenia na ciemną stronę Huxley-3, widoczną zza warstwy lodu pokrywającego szybę. Myślę o tym, jak blisko już jesteśmy.

W końcu przez interkom odzywa się Mariana:

– Co teraz będzie?

Nikt jej nie odpowiada, nikt się nawet nie rusza, siedzimy w swoich fotelach w kapturach na głowach i śpiworach podciągniętych pod szyję, ale po jakimś czasie zgłasza się Ezra:

– Kiedyś uwielbiałem basen. Ten na głównym pokładzie. Jak byłem mały, umiałem przepłynąć prawie całą długość bez wynurzenia się. Jonah mnie za to nienawidził. – Śmieje się cicho.

– Co to ma do rzeczy? – pyta kontrolnie Mariana.

– Nic. Tak mi przyszło do głowy.

– Czyli co, rozklejasz się?

– A co byś wolała, żebyśmy powiedział? Mamy tlenu na pięć godzin, a droga potrwa siedem? Coś takiego chciałybyś usłyszeć?

– Jeśli tak jest, to oczywiście! – krzyczy, ale wtedy włącza się Dom:

– Proszę was, wyluzujcie, dobra? Nie krzyczcie, to nikomu w niczym nie pomaga. Myślmy wszyscy o czymś miłym.

Mariana dotyka oczu i gdyby chodziło o kogokolwiek innego, byłabym pewna, że płacze, ale to przecież ona, więc niemożliwe. Jednak wyciągam do niej rękę, a ona ją łapie.

– Tak tylko mówię – odzywam się wtedy – ale ja nadal uważam, że nam się uda.

– Zamknij się, Polyanno, bo mnie szlag trafi – syczy Mariana, ale

dalej trzymamy się za ręce, a nasze splecione dłonie zwisają między siedzeniami.

Zachód słońca. Huxley-3 wypełnia całą przednią szybę, słońce zsuwa się z planety, ostatnie promienie są ciemnoróżowe i rozświetlają morze, a potem całkiem znikają. Znajdujemy się w jej cieniu. Ezra steruje, Dom siedzi na miejscu drugiego pilota. Odsuwa maskę, żeby zjeść batonik proteinowy i wypić trochę wody. Sugeruje, żebym zrobiła to samo. Kręcę głową.

– Proszę cię – mówi, a oczy ma smutne, więc jem i piję.

To się dzieje bardzo szybko. A może tylko tak mi się wydaje. W każdym razie zaraz zaczynam to czuć: kręci mi się w głowie, myśli robią się dziwne, nieuporządkowane i momentami wydaje mi się, że śnię. Skupiam się więc bardzo na zachowaniu przytomności i patrzę przez szybę na piękną panoramę niebiesko-jadeitowej planety i wysp skupionych pośrodku. Jakże to okrutne, być już tak blisko.

– Kochałam ten widok – zwierzam się, chociaż Mariana ma zamknięte oczy. – Gdy byliśmy na orbicie, wiedziałam, że tu jest coś wyjątkowego. Planeta do mnie mówiła, jakby... wzywała. Czułam, że się tu znajduję. A to miejsce okaże się ważne w moim życiu. Wicie, o co mi chodzi?

Ręka Mariany wysuwa się z mojej i myślę, że śpi albo straciła przytomność. Przyglądam się jej bladej twarzy i zastanawiam się, co robić, a potem stwierdzam, że w zasadzie nie ma to znaczenia, grunt, żeby oddychała. Dom rozpina pas i, przytrzymując się mojego kolana, przefruwa na tył. Mam wrażenie, że wyrywa mnie ze snu.

– Mogę spytać, co ty robisz, Suarez? – cedzi wściekle Ezra.

– Jesteśmy na kursie, daj mi chwilę. – Rozpinam pas, a on siada na moim fotelu i ciągnie mnie na kolana. Nic nie mówi, więc początkowo tylko sobie leżymy, splatając lodowate palce. Zsunęliśmy maski, żeby móc sobie patrzeć w oczy. Staramy się nie oddychać, ale nic to nie daje, może wręcz przeciwnie.

– Cześć – odzywa się po chwili. Mówi cicho, chociaż oboje wiemy, że słyhać nas w słuchawkach pozostałych.

– Cześć – odpowiadam i stwierdzam, że mam gdzieś, kto słucha.

– Jak się czujesz?

– Teraz lepiej.

Obejmuje mnie mocniej.

– Zastanawiam się cały czas, co zrobimy, jak już dolecimy na Huxley-3.

Nieważne, czy ma halucynacje, czy stara się ze względu na mnie, tego mi teraz trzeba.

– No co? – pytam, włączając się do gry. Bierze mnie za rękę, przyciska ją płasko do swojej piersi i powoli odpowiada:

– No więc najpierw wbijemy naszą flagę w piasek i powiemy: „Chrzczę tę ziemię Krainą Seren”. A potem znajdziemy miłe miejsce, żeby się położyć i odbijemy sobie wszystkie lata, które spędziliśmy bez słońca.

– Kraina Seren?

Uśmiecha się.

– A czemu nie? Wiem, że będzie piękna i niesamowita, więc jaka nazwa mogłaby do niej lepiej pasować?

– Nieźle wybrnąłeś – śmieję się.

– Podoba ci się mój plan?

Kiwam głową i dodaję:

– Kocham cię.

– Jezu Chryste, litości – jęczy w tym momencie Ezra i wyłącza się z rozmowy z cichym piknięciem.

Dom się najpierw z tego śmieje, a potem mówi:

– Ja też cię kocham. Bardzo. – Patrzę, jak jego uśmiech blednie i przenosi wzrok na grzbiet mojej dłoni, którą głaszczę, a szczęście ucieka z jego twarzy, jakby było czymś namacalnym, i czuję, że wzbiera we mnie strach, bo wiem, co teraz będzie. I faktycznie, zaraz potem mówi: – Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak...

Kręcę głową.

– Nie rób tego.

Bierze moją głowę w dłonie i zmusza mnie do spojrzenia na niego. Widzę, jaki jest blady, jak powoli porusza oczami i mam ochotę krzyczeć. Odsuwa maskę na czoło, więc robię to samo, patrzę na niego, jak próbuje się uśmiechnąć, ale marszczy przy tym brwi i wygląda zupełnie inaczej niż zawsze. Całuje mnie, ale słyszę nieprzyjemny

dźwięk, który dobiega z moich ust, odgłos paniki. On mnie ucisza, naciska kciukami moją brodę i przywieramy do siebie zimnymi twarzami, rozmawiamy skóra w skórę, całuje mnie w szyję, ja jego w ucho, wdycham słodki zapach jego włosów, on rozpiną zatrzaski mojego kombinezonu i wsuwa rękę do środka, dotyka moich pleców, czuję jego lodowate palce na kręgosłupie i łopatkach, gdy przyciska mnie mocno do siebie. Przekręca się trochę i dotykam wtedy jego boków; cały jest zimny, bardzo zimny, więc przesuwam dłonie w dół, na biodra, gdzie zostało jeszcze trochę ciepła. Przytulam policzek do jego szyi i czuję, jak pod skórą płynie krew. Przykładam kciuk do kącika ust i całuję go, a potem patrzę mu w oczy całkiem z bliska, dzielą nas dosłownie centymetry. Przez cały ten czas staram się nie rozplakać.

Potem zaczynamy się dusić i musimy z powrotem założyć maski, ale nawet wtedy przytykam swoją do jego, najbliżej jak się da.

– Założę się, że wolałbyś mnie nigdy nie poznać.

– Przegrałabyś zakład – odpowiada, a ponieważ przez interkom jego głos brzmi jak w podzie, w jednej chwili przenoszę się na Venture, do naszych początków, i nagle wszystko rozumiem.

Kulę się dosłownie pod ciężarem tego, co zaraz powiem:

– Wszystko szło dobrze, dopóki się nie pojawiłam. A teraz... umierasz i jest to moja wina.

On kręci głową i się uśmiecha, ale oczy ma mokre i to mnie jeszcze bardziej dobija.

– Bardzo się mylisz, *estrellita*. Pamiętaj, że czas spędzony z tobą był jak sen, jak coś, o czym nigdy nie śmiałybym marzyć. Był doskonały, najcenniejszy na świecie, ważniejszy niż cokolwiek, oddałbym za niego życie, bez chwili zastanowienia. Nawet bym się nie zawahał. Jesteś tego warta. Warta wszystkiego. Po milionkroć. Kocham w tobie każdą rzecz, jaka jest do kochania. Czy postąpiłbym tak ponownie? Oczywiście. Zawsze. Bez wahania, jeszcze tysiąc razy.

Ja zaprzeczam, cały czas kręcę głową, jakbym w ten sposób mogła zatrzymać to, co się dzieje.

– Nie będę się z tobą żegnać – zaczynam, ale potem strasznie mi się kręci w głowie, tracę czucie w bezwładnych wargach, niebył mnie wciąga i wiem, że znacznie prościej byłoby stracić przytomność, ale

wcale nie chcę, tylko że zamykają mi się oczy. Słyszę, jak Dom mnie woła, błaga, żebym z nim została, żebym mówiła dalej, a ponieważ muszę dać mu znać, że wszystko ze mną dobrze, usiłuję wydobyć z siebie głos, który brzmi bardzo słabo i niepewnie nawet w moich uszach:

– Żałuję, że nie mogłam z tobą więcej tańczyć. Nie mogłam leżeć obok ciebie i mieć cię blisko w każdy możliwy sposób... – Zamierzam mówić dalej, ale już nie mogę. Słowa spływają mi po ścianie gardła, jakby były z jakiegoś żelu i wiem, że już nigdy ich z siebie nie wydobędę, wciąga mnie wir rozpacz i bólu, z którym umrę, już to wiem. Udaje mi się powiedzieć jeszcze: – Dzięki tobie byłam bardzo silna. Nikt nigdy nie dał mi tyle siły, co ty. Dostałam cię w prezencie. Całe życie czekałam na kogoś takiego, ale nigdy nie wierzyłam, że dostanę taki dar.

Przytulamy się, a ja się staram przenieść myślami do jego wnętrza, znaleźć się w środku człowieka, którego znałam najlepiej i najbardziej ze wszystkich ludzi kochałam. Nagle uświadamiam sobie, jakie miałam szczęście. Świat się rozplywa, a ja mogę tyle rzeczy wypuścić z rąk, może nawet wszystkie, bo znałam Doma, bo go kochałam, bo ktoś znał mnie tak dobrze jak on i tak bardzo mnie kochał. Co więcej się liczy? Nieważne, że nie dane nam będzie żyć tak, jak marzyliśmy. Żyliśmy przez chwilę, a to i tak więcej, niż jest dane większości.

Takie myśli mi towarzyszą, gdy alarm tlenowy szaleje, życie z nas wycieka, odpływa, a Huxley-3 staje się odległa, nie można jej sobie nawet wyobrazić i wydaje się, jakby nigdy nie istniała. Przyszedł na mnie czas, moje ciało mówi, że czas spać.

I już prawie zasypiam, kiedy słyszę głos Doma.

– *Estrellita!* – Ściąga mi maskę, a zimne powietrze owiewa moją wilgotną skórę. – Coś jest z nią nie tak. Zamień się ze mną.

Kręcę głową i powtarzam, że nie, ale on już mi zaciska paski z tyłu głowy i niechcący szarpie za włosy tak mocno, że aż podskakuję.

– Nie! – krzyczę, bo znam go za dobrze. – Nie rób tego. Dom! – Patrzę mu w oczy.

– Już wiem, co się stało. Naprawię ją. – Łapie mnie za ręce i prawie je miażdży.

– Przysięgasz, że mówisz prawdę? – dopytuję piskliwie.

– Naprawię. – Nie odpowiada na moje pytanie, mruga powoli, a oczy mu się prawie wywracają.

– Dom, nie! – krzyczę. – Nie pozwolę ci na to!

Kaszele i zaciska mocno powieki, ale potem znów otwiera oczy.

– Musisz pomóc Ezrze, dobrze, *estrellita*? Zrobisz to dla mnie? Zostanę tu i zajmę się Mari, ale ty musisz się przesiąść do przodu i pomóc. Ja będę naprawiał. – Ciągnie mnie za rękę, chociaż cały czas kręcę głową. – Musisz to dla mnie zrobić. Proszę. – Wpatruję się w niego, a on przysuwa maskę do mojej i powtarza: – Zrób to dla mnie. – Później pyta: – Prawda, Ezra? – Ale ponieważ Ezra wyłączył swój interkom, nie słyszy, dopóki Dom nie trąci go w ramię. Wtedy podskakuje, włącza się z powrotem do rozmowy i odwraca się do nas, gdy Dom mówi: – Seren musi do ciebie przyjść i ci pomóc, prawda?

Ezra brzmi dziwnie, jakby brakowało mu tchu.

– No tak. Na tym etapie przyda się każda pomoc.

Wiem już, że muszę iść i zostawić Doma. Staram się nie płakać, ale i tak płaczę, słyszę swój żalony skowyt pełen przerażenia, gdy usiłuję się oddalić, ale nie mogę.

– Wszystko będzie dobrze – pytam albo stwierdzam, sama nie wiem.

– Oczywiście, że tak. – Próbuje się uśmiechnąć. – A teraz idź, zawieź nas do domu.

Jakimś cudem idę, bo dzięki niemu wierzę, że tak powinnam postąpić, ale serce zostawiam przy nim, jak przy każdym naszym rozstaniu, od dnia, kiedy go poznałam.

Rozdział 35

Budzę się gwałtownie, nie mam pojęcia po jakim czasie.

Wydaje mi się, że powinnam być martwa, ale nie jestem.

Nie zdawałam sobie w ogóle sprawy, że straciłam przytomność i Ezra chyba też tego nie zauważył, bo mówi do mnie tak szybko i ostro, że dobrą minutę zajmuje mi dostrojenie się.

– ...na orbitę, więc musimy zwolnić na tyle, żebyśmy wpadli w atmosferę. Ten wahadłowiec jest przygotowany na pasywne wejście awaryjne, czyli jeśli tylko osłona termiczna wytrzyma bez schładzania, teoretycznie może się udać.

– Co może...? – Kręcę głową, w której wszystko wiruje. – O czym ty mówisz?

Mruga.

– Nie słuchałaś mnie? Jesteśmy na orbicie. Jeśli uda nam się teraz zwolnić, możemy wejść w atmosferę.

– Powiedz, co mam robić. – Ożywiam się wreszcie, chociaż wypycham z siebie słowa o konsystencji kleju, a sama się czuję, jakbym utknęła na końcu tunelu. – Mów, jak ci pomóc.

Odwraca się do mnie i mruga. Oczy mu uciekają i nie wracają od razu.

– Silniki rakietowe. – Jego głos dochodzi jak spod wody. – Musimy zwolnić na tyle, żeby przejęła nas grawitacja planety. – Zaczyna wciskać różne przyciski i przesuwając palcami po ekranach. Coś zaczyna dudnić pod fotelami, dobiega pohukiwanie z głębi maszyny, fale huku ryczą nam w uszach. On coś krzyczy, ale w pierwszej chwili nie słyszę, dopiero potem jego głos przeszywa mi uszy.

– Śluza! – krzyczy. – Za tobą!

– Co za mną? – Obracam się na fotelu.

– Musimy zrzucić ciężar.

– Jaki ciężar? Wodę?

Patrzy ze smutkiem.

– Ciągłe masz dość nadziei, żeby myśleć tak daleko naprzód? Jezu, Hemple, zrzuć wodę! Pociągnij za dźwignię, tę od śluzy, powinna być

czarna.

Naprężam pas i odwracam się do tyłu. Widzę ją, kilka centymetrów od czerwonej, która otwiera wewnętrzne drzwi. Napieram, bo wydaje mi się, że trudno ją będzie ruszyć, ale przesuwa się bez najmniejszego problemu. Potem obserwuję, jak woda rozpryskuje się za nami niczym pogubione wnętrzości.

– Już – oznajmiam i opieram się o zagłówek, a głowa mi wibruje od gardłowego dudnienia silników, szczękam zębami, czuję, jak się poluzowują w dziąsłach, krew płynąca w czaszce zamienia mi się w pianę, a myśli się płaczą.

– Dom? – wołam wtedy, a potem aż się kulę od obezwładniającego strachu, że nie odpowie. I nie odpowiada. – Dom! – powtarzam i nie mogę już myśleć o niczym więcej. Próbuję się odwrócić, ale siła wgniatająca w fotel jest nie do przewyciężenia. – Dom! – szlocham. – Odezwij się, proszę cię.

– On cię nie słyszy – wyjaśnia Ezra. – Nie ma maski. – Wtedy patrzę na niego w lusterku. Ma martwą twarz, zamknięte oczy i rzeczywiście jest bez maski. – Nic mu nie jest – dodaje Ezra. – Wszystko dobrze.

– Jak to? – krzyczę, ale nie mogę się poruszyć, żeby do niego dotrzeć. Podlegam siłom, których istnienia nie podejrzewałam. Wbijają mnie w fotel z taką mocą, że staję się niemal jego elementem, więc jedyne, co mogę zrobić, to walczyć ze łzami i mówić sama do siebie: – Nie, nie, nie, nie, nie!

Ile to trwa? Na tyle długo, że chyba w międzyczasie znów tracę przytomność, a w każdym razie jestem blisko i ostatkiem sił ratuję się przed zsunięciem się w niebyt, bo wiem, że jeśli sobie na to pozwolę, nie będzie powrotu. Chyba ciepło przyciąga mnie z powrotem, narastające, wszechogarniające i namacalne. Nigdy czegoś takiego nie czułam, nie w ten sposób. Otwieram oczy i widzę przednią szybę w ogniu. Chcę coś powiedzieć, ale nie wychodzi, bo cała szczeka mi wibruje.

– Palimy się.

– To osłona termiczna. – Głos Ezry rozmywa się jak smuga dymu.

Nie wiem, co się dzieje potem, nie wiem. Na pewno Ezra cały czas mówi, a ja trzymam się jego słów jak liny zawieszanej w ciemności pod

powiekami, chciałabym tylko, żeby nie zmuszał mnie do odpowiedzi, bo to strasznie trudne, coraz trudniejsze, aż w końcu nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć, i w głowie mam tylko piosenkę, więc zaczynam śpiewać, tę o mrugającej gwiazdce i Ezra się ze mnie śmieje, ale cicho i słabo i boję się, że jego też stracę, zastanawiam się, czy mamy choć cień szansy, by wyjść z tego cało i chociaż podejrzewam, że prawidłowa odpowiedź brzmi „nie”, to przecież zawsze tak było, więc naprawdę nic nie straciliśmy, wręcz przeciwnie.

Chowam się wówczas, zagrzebuję się w ciemności, w ryku silnika, po drodze spływają mi wymioty, chociaż prawie nie czułam, że cokolwiek się wydostaje z mojego żołądka, a potem robi się spokojnie, cicho, słyszę tylko gwizd, którego źródła nie mogę umiejscowić, ale wydaje mi się, że pochodzi ze środka mojej czaszki i promieniuje na zewnątrz, jeden z tych dźwięków, w których słyhać nieskończone warstwy, a niektóre brzmią jak muzyka.

A później nie ma już nic.

Rozdział 36

Do przytomności przywraca mnie uderzenie. Najgłośniejszy huk, jaki słyszałam w życiu, przeszywający łomot kości, który jeszcze przez kilka minut odbija się echem w moim wnętrzu i tak paraliżuje, że jestem w stanie jedynie odwrócić głowę do Ezry, który w fotelu obok kaszle i szybko mruga.

– Dom! – piszczę strasznie, rozpinam pas, spadam na podłogę, ale doczołguję się do jego stóp, potem podciągam się na kolana i na pierś, żeby zajrzeć w pokrytą kleksami czarnego kurzu twarz, zalaną strumieniami ciemnej krwi płynącej z nosa. Usta ma sine. – Dom! – słyszę zwierzęcy skowyt, którego nie rozpoznaję.

Ezra ściąga maskę Marianie i przykłada dłoń do jej szyi.

– Oddycha – orzeka i podchodzi do mnie. Odpycha mnie na bok i przykłada rękę do jego szyi. Marszczy czoło. – Suarez? – Nachyla się, czeka, potem kręci głową.

– Co jest?! – krzyczę.

Ezra wciąż nasłuchuje, patrzy na mnie.

– Pomóż mi. – Rozpina pas Doma i łapie go za ręce. – Pomóż mi, Hemple! – Wrywa mnie tym krzykiem z oszołomienia, chwytam Doma za nogi i razem kładziemy go na podłodze między siedzeniami. – Suarez! – krzyczy jeszcze raz, a potem odchyła głowę Doma, zatyka mu nos, dwukrotnie wdmuchuje powietrze, a potem zaczyna uciskać klatkę piersiową. Ja tylko patrzę, wpycham sobie pięść do ust, łzy zalewają mi oczy. Nie wiem, jakimi słowami mogłabym opisać, jak długie i samotne są następne minuty, mogę tylko powiedzieć, że zawsze będą częścią mnie. Do końca życia będę słyszała dźwięk swojego głosu, kiedy wypowiadałam jego imię i nigdy nie zapomnę, jak mocno zaciskałam powieki, żeby nie dopuścić do siebie tego, co nie było, nie mogło być prawdziwe.

– Przygotuj się, zastąpisz mnie. – Otwieram oczy, a Ezra patrzy na mnie, czerwony, umazany krwią Doma, spocony od niezmordowanego uciskania jego piersi. Robi to tak mocno, że jakiś dziwny instynkt niemal każe mi go powstrzymać.

Klękam przy biodrach Doma.

– Ale ja nie... Nie umiem. – Ocieram łzy i kręcę głową.

– Umiesz – dyszy Ezra. – Wszyscy umiemy. Robiliśmy to co roku z doktorem Penem. Ja poszukam defibrylatora, a ty go przejmiesz, dobrze?

– Defibrylatora?

– Następna seria jest już twoja. – Patrzy na mnie stanowczo. – Słyszysz? Na litość boską, nie poddawaj się teraz!

Ale to dla mnie za dużo, za dużo wszystkiego, prawie nic nie widzę.

– To moja wina – powtarzam tylko. – Wszystko moja wina. On nie może umrzeć. Nie może. Nie dam bez niego rady. – A potem już tylko zapętlone: „Nie, nie, nie, nie, nie, nie”, coraz głośniej.

– Ani mi się waż, Hemple! – krzyczy Ezra, chociaż brakuje mu tchu. – Chodź tu! – Przyciąga mnie, kładzie dłonie na moich, pokazuje, co robić. – Tak jak teraz. Mocno, jak pokazuję. Trzydzieści razy. Potem dwa wdechy, jasne?

Więc robię to. Uciskam, jak on, ale myślę tylko o tym, ile już razy słyszałam bicie serca Doma, jego niezwykłego serca. Jest piękny, nawet teraz, chociaż bladą twarz ma nieruchomą, a śliczne usta sine. Gorące łzy płyną mi po twarzy, szlocham, a mój oddech brzmi jak głośne rżenie. Biorę w dłonie twarz, którą tyle razy całowałam i czuję pod wargami, że nie ma w niej życia. Chociaż to koszmar dziejący się na jawie, wdmuchuję powietrze w usta ukochanego, człowieka, którego kochałam najbardziej, a między wdechami zaklinam:

– Proszę cię, wróć do mnie. – On się nie rusza, a mnie nowa grawitacja przyciąga tak, że mam wrażenie, że rozpływają mi się kości.

Przez cały ten czas Ezra wybebesza wszystkie skrytki po kolei i wydaje mi się, że wokół mnie wali się świat, co w zasadzie wcale mnie nie dziwi. Potem znów pojawia się obok, klęka i włącza mały żółty defibrylator, który zaczyna przenikliwie piszczeć, gdy się ładuje.

– Nie wiem, jak to działa. – Przedramieniem ociera pot z czoła.

Otwiera się we mnie przepaść przerażenia, zamykam oczy i prawie daję się lękowi przeciągnąć poza krawędź. Nie wiem, co jeszcze mogłabym ze sobą zrobić. Umysł mnie zawodzi jak zawsze, tylko ciało

trwa, znosi kolejne wyładowania, wie, że ma na to siłę, którą przede mną ukrywało. To jedna z tych rozwlekłych chwil, kiedy postrzeganie świata zmienia się tak, że mogę objąć rozumem wszystko naraz, każdy przerażający szczegół, łącznie z małym rombem światła, który pojawia się na głowie Doma, na jego twarzy, uchu i włosach. Wtedy już wiem, że to nie koniec tej historii. Nie może być.

Zatykam mu nos i wdmuchuję do płuc kolejną porcję powietrza, kiedy to się dzieje. Najpierw wydobywa odgłos, jakby się krztusił, potem westchnienie, a później, przysięgam, widzę, jak życie do niego wraca, jak przepływa pod skórą. Zaczyna się trząść, podrywa się, żeby zakaszleć i zderza się z moją twarzą, więc przytulam go wtedy, a on głośno wciąga powietrze. Ożywa, tu, na powierzchni Huxley-3, przesiąknięty moimi łzami, umazany pyłem, wykrztusza krwawe skrzepy, tak jakby coś się rodziło albo odradzało, a potem pada z powrotem na podłogę. Przywieram do niego i płaczę; nawet nie wiedziałam, że można tak płakać, podnoszę jego głowę do piersi, całuję go po włosach, twarzy, ramionach i szyi, a on się rusza, kręci się, aż w końcu, choć prawie tego nie słysząc, odzywa się.

– *Estrellita.*

Rozdział 37

Otwieramy włącz i nie wiemy, co się stanie w następnej chwili: możliwe, że umrzemy natychmiast, gdy do środka wpłynie powietrze. Ale nie umieramy. Wdychamy powietrze bogate w tlen i żyjemy, nareszcie żyjemy naprawdę.

Nikt, kto nie spędził życia w takich warunkach jak my, nie umie sobie wyobrazić, że po raz pierwszy oddycha prawdziwym powietrzem, wacha je, kosztuje jego słony smak, czuje wiatr na skórze. Nie wiecie i nigdy się nie dowiecie, jak to jest zobaczyć ocean i unosić się na wodzie, na nieskończonej masie wody poruszającej się pod wami, pchającej was naprzód niczym jakaś żywa istota.

Nie zrozumiecie, jak się po raz pierwszy patrzy w niebo, gdy dotąd żyło się z dala od niego. Tajemnica, której nie znałam, okazała się tak cudowna, że aż mnie przeraziła i jedyne, co mogłam zrobić, to się ukorzyć w obliczu całego tego piękna. Nagle zrozumiałam, dlaczego ludzie żyjący na planetach wierzą w Boga, tylko że nie mogłam jeszcze mówić, więc w końcu nigdy tego nikomu nie powiedziałam, ale w tamtej chwili, w obliczu nieskończonego, odwiecznego dzieła sztuki, w obliczu bieli i błękitu, wyglądających jak czyjś sen, poczułam w głębi duszy coś, czego nie potrafiłam nazwać.

Nie przebywaliśmy w warunkach zerowej grawitacji na tyle długo, żeby odczuć trwałe skutki, a jednak wypadamy z wahadłowca bezwładni jak kukły i od razu przywieramy z powrotem do niego, bo nie mamy siły płynąć, ale na szczęście ciepła słona woda nas przyjmuje, wciąga głęboko w siebie.

Wyspa znajduje się jakieś dwieście, trzysta metrów dalej. Płaska, jasna i nieruchoma. Planujemy holować Marianę, ale kiedy znajduje się w wodzie, gwałtownie przytomnieje, łapie powietrze, krzyczy i rozgląda się wkoło wytrzeszczonymi oczami, a potem chwyta się mnie, niemal wciągając pod wodę. Kiedy biorę jej twarz w dłonie, pyta:

– Umarliśmy?

– Nie. Udało nam się.

Ściągamy uniformy i pozwalamy im opaść na dno, jakbyśmy

zrzucali skórę. Jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu czuję pod stopami piasek i rękę Doma, który mnie obejmuje i stabilizuje, bo chwieję się w ruchomej wodzie.

Dopiero przy samym brzegu wpadam w panikę, więc odwracam się do Doma i obejmuję go od tyłu, chowam się, chcę, żeby mnie schował przed drzewami o ciemnych liściach, jakich nigdy wcześniej nie widziałam, przed wszystkim, co może się kryć za nimi, przed wślizgującym się za horyzont czerwieniejącym słońcem i krwawym światłem spływającym z nieba. On mnie przytula, całuje i uśmiecha się prosto w moje usta.

– Wszystko jest dobrze – przekonuje, ale na wargach ma ciemne sińce, pod oczami też, a ja nie mogę na nie patrzeć.

– Prawie umarłeś – wykrztuszam i natychmiast zaczynam płakać. Słone łzy mieszają mi się na policzkach ze słoną wodą.

– Ale nie do końca. – Obejmuje moją twarz.

Światło dnia blednie, nad nami pojawiają się gwiazdy, wschodzą dwa półksiężycy i dopada mnie paraliżujący lęk, że kosmos się o mnie upomni.

– Już ci mówiłam, nie jestem tak odważna jak inni ludzie – przypominam, bo chcę jakoś usprawiedliwić to, że się trzęsę.

Dom się śmieje.

– Faktycznie, *estrellita*, nie jesteś taka jak inni ludzie, ani trochę. – Całuje mnie jeszcze raz, przygląda mi się i kręci głową. – Nigdy nie znałem kogoś takiego jak ty.

I bierze mnie za rękę.

Więc idę dalej.

Podziękowania

Dziękuję Madeleine Milburn za przysłany późno w nocy mail z nowiną, że wierzy w moją książkę, i za to, że przekonała do niej innych (łącznie z Carą Lee Simpson i Therese Coen). Karen Ball i ekipie z wydawnictwa Little, Brown Books for Young Readers dziękuję, że dali się przekonać. Sophie Burdess za piękną i przejmującą okładkę. Także Becce Allen i Catherine Coe, ale przede wszystkim mojej redaktorce Kate Agar za bycie najlepszym świeżym okiem, jakie można sobie wymarzyć, i za pomoc w uczynieniu tej powieści taką, jaka miała być.

Dziękuję moim rodzicom za wiarę w marzenia dziwnej małej dziewczynki i podarowanie jej na Gwiazdkę błękitnej jak niebo maszyny do pisania. Dziękuję mojemu mężowi za to, że podaje mi z najwyższych półek to, do czego sama nie dosięgam, dosłownie i w przenośni, od siedemnastu lat, na różnych kontynentach (a potem i tak większość wieczorów spędza sam). A nade wszystko dziękuję moim córkom za wyrozumiałość dla faktu, że jestem znacznie lepszą pisarką niż mamą i za to, że są najwspanialszą motywacją do mojego rozwoju i w jednej, i w drugiej dziedzinie.

